

Sara Blayne

**Morze
tajemnic**

Kapitan Trevor Dane ostro ściągnął cugle i zsunął się z konia. Ze skraju lasu roztaczał się widok na imponujące domostwo w stylu Tudorów, królujące w oddali na wzniesieniu. Dom, oblany srebrną poświatą księżyca w pełni, pomieszana z ciepłym blaskiem świec bijącym z okien, jawił się na tle ciemnego nieba jak wielkie oko. Mężczyzna zacisnął usta, gdy nocny powiew poniosł w jego stronę *wesołe* dźwięki *tanecznej* muzyki.

- Do diabła! - zaklął, widząc, że bal zdążył rozkręcić się na dobre. Byłby skończonym idiotą, gdyby teraz domagał się rozmowy w cztery oczy z Granville'em, choć tylko w tym celu przez trzy dni tłukł się dylizansem przez całą Anglię. Głos rozsądku kazał mu zawrócić do Exeter i tam, w gospodzie Pod Białym Sercem, cierpliwie poczekać na sposobniejszą okazję. Wątpił, czy sir Henry zechciałby porzucić gości, aby porozmawiać z człowiekiem, którego nazwisko okryło się hańbą.

Spojrzenie Dane'a nabrało odcienia stali. W ciągu trzech miesięcy, w czasie których walczył ze śmiercią, sir Henry nie próżnował, Pomimo imponującego zwy-

cięstwa, jakie sześćdziesięciodwudziałowa „Antiope” odniosła nad Francuzem uzbrojonym w siedemdziesiąt dwa działa, kapitana Trevora Dane pominięto przy awansie. Mało tego, po raz pierwszy w czasie niemal dwudziestoletniej morskiej kariery odmówiono mu dowództwa okrętu.

Co właściwie chciał uzyskać Gramdille, widząc Dane^ wyrzuconego na brzeg jak wrak, ze zniszczoną karierą i zrujnowaną reputacją? Przecież nie mógł wiedzieć o spotkaniu z Philippe'em Lambertem. Nikt nie mógł o nim wiedzieć, gdyż Dane zadbał, aby odbyło się w tajemnicy.

Niestety, nie dało się tego powiedzieć o innej, stokroć bardziej ryzykownej wyprawie do katedry Świętego Jana. Ktoś czekał na Dane'a w ciemnym portalu świątyni. Napastnik zaatakował go na schodach i tylko niesłychanemu szczęściu kapitan zawdzięczał fakt, iż nie skończył z nożem w plecach. Z drugiej strony, skoro Admiralicja uważa, że sprzeniewierzył się wojskowej przysiędze na wierność królowi i ojczyźnie, czemu jeszcze nie postawiono go przed morskim trybunałem?

Ta myśl nurtowała kapitana najbardziej. Zaciśnął usta, ciaśniej owijając się płaszczem w obronie przed przenikliwym zimnem lutowej nocy. Za wiele cholernych zagadek!

Nawet admirał Marcus Llewellyn, dowódca pierwszego okrętu, na którym Dane służył jako podoficer przez lata wspierający jego błyskawiczną karierę, tym razem nie mógł, albo nie chciał, mu pomóc. Drzwi jego domu, podobnie jak wielu innych domów człon-

ków Admiralicji, pozostały zamknięte dla kapitana Dane.

Przesłanie było aż nadto jasne. Trevor Dane nigdy już nie otrzyma dowództwa. Dobrze, że jeszcze wypłacają mi połowę żołdu, pomyślał cynicznie. „Colet-te” zatonała niemal u wrót Gibraltaru i zapowiadało się, że nagroda, którą miał szansę otrzymać za jej zatopienie, będzie ostatnią, na jaką zasłużył. Piekło i szatani! Jego kariera w Królewskiej Marynarce jest skończona. Doprawdy, już lepiej by było, gdyby zabiła go zdradziecka kula!

Ciekawe, co powie jego wuj na wieść o hańbie bratanka. Być może stary Blackthorn już dawno zapomniał o młodym rozrabiace, którego wysłał w morze w nadziei, że twarda, okrętowa dyscyplina przytrze mu rogów. Myśl o wuju przywołała gorzkie wspomnienia. W ciągu ponad dziesiętnastu lat, które minęły od tamtego czasu, kontakty Trevora z earlem ograniczały się jedynie do sporadycznej wymiany listów. Przez ten czas wuj musiał już dawno spłodzić dziedzica, któremu zapisał majątek, pomijając krnąbrnego sierotę po swoim młodszym bracie. Dane wołałby zgnieć w celi, niż prosić starego o pomoc.

Co nie znaczyło, że jest bez grosza i szans, pocieszał się. Nie zamierzał poddawać się bezwolnie wyrokowi fatalnego losu. Nie spocznie, dopóki nie dowie się, kto chce go zniszczyć i dlaczego. A sir Henry Granville jest człowiekiem, który zna wiele odpowiedzi.

Wskoczył na siodło, zawrócił konia i pognął go galopem po trakcie wiodącym do tylnej bramy rezydencji. Dawniej zostałby wprowadzony od frontu, jak

należy się dżentelmenowi. A niech to piekło pochłonie! Minęły cztery miesiące, odkąd podniósł się z łoża boleści. Cztery miesiące, w czasie których słał list za listem, błagając o posłuchanie u cholernych lor-dowskich mości. Cztery miesiące wyczekiwania na korytarzach Admiralicji, wśród bezrobotnych kapitanów, tak jak on gotowych zrobić wszystko, aby znów dostać dowództwo.

Duma Dane'a cierpiała na myśl, że sir Henry może po prostu pokazać mu drzwi przy wszystkich swoich dostojnych gościach. Postanowił, że poczeka na Granville'a pod jego gabinetem.

Uwiązał wierzchowca pod wiatą dla powozów i troskliwie okrył parujący grzbiet konia swoim płaszczem. Młody William Parker-Stanhope, jego dawny drugi oficer, wpadłby w rozpacz, gdyby cenny okaz ze stadniny jego ojca, admirała, nabawił się zapalenia płuc.

Ciepły błysk pojawił się w oczach Dane'a na myśl o niewzruszonej lojalności Stanhope'a. Co sir Granville mógł wiedzieć o wspólności ludzi, którzy walczyli i umierali na morzu, w dymie wystrzałów i w kałużach krwi rozlewającej się po pokładzie? Co mógł wiedzieć o braterstwie i męskiej przyjaźni, zrodzonych w piekle walki o przetrwanie?

Dane minął stajnie i skierował się ku drzwiom wychodzącym na różany ogród, gdzie owiane śniegiem słomiane chochoły bieleły się jak duchy.

Na całe szczęście hol był pusty. Ogień buzował wesoło w białym, marmurowym kominku. Dane czujnie ruszył ciemnym korytarzem. Z dala dobiegały

dźwięki muzyki. Kierując się nimi, skręcił w stronę zachodniego skrzydła. Wkrótce trafił na schody dla służby i znalazł się w holu na piętrze.

Przez dziewiętnaście lat zdążył już zapomnieć, jak wygląda elegancka rezydencja. Stopy, przyzwyczajone do stąpania po startych deskach pokładu, tonęły w puszystym dywanie. A przecież jego kapitańska kajuta na dwupokładowej „Antiope” była prawdziwym pałacem w porównaniu z obskurną rufową kajutą na „Mercurym” - osiemnastodziałowej korwecie, która przed ośmiu laty po zażartej walce spoczęła na dnie u brzegów Francji. Mimo wszystko wolałby najbardziej śmierdzącą koję na steranym w bitwach, obrośniętym muszlami okręcie niż puchowe łożo w luksusowej posiadłości. Nie miał ochoty wracać do życia, do którego predestynowało go szlacheckie urodzenie.

Był żeglarzem i jak prawdziwy żeglarz źle się czuł na stałym lądzie, z dala od wielkich wodnych przestrzeni. Być może nie trwałby z takim uporem przy swoich poglądach, gdyby znalazł się ktoś, dla kogo warto byłoby zacząć nowe, inne życie. Serce ścisnęło mu bolesne wspomnienie. Wspomnienie tamtego straszego dnia, w którym, wróciwszy do swojego domu w skromnej dzielnicy Londynu, odkrył, że jedyna nić, która łączyła go z lądem, została brutalnie przerwana. Lynette, smutna, samotna dziewczyna, która tak go kochała, zginęła w dramatycznych okolicznościach.

Czyż przyczyna tej tragedii nie leżała w nim samym, w jego chorobliwej pasji? zastanawiał się gorzko. Lynette Lambert ocaliła mu życie, a tak niewiele

dal jej w zamian. Gdy zaś najbardziej go potrzebowała, był daleko, na morzu, jak zwykle.

Jaki diabeł podszeptał jej, aby wyprawić się do De-von, do siedziby Blackthornów? I czy zamaskowany jeździec przypadkiem zaatakował dylizans, w którym jechała? Czy tylko okrutny traf sprawił, że w strzelaninie, jaka się wywiązała, kula trafiła Lynette?

Umierała samotnie. Zasłużyła na lepszy los. Niech to piekło pochłonie, zasłużyła na kogoś lepszego niż on!

Z gniewem wygnał myśli o Lynette. Będzie jeszcze miał mnóstwo czasu na rozpamiętywanie przeszłości. A na razie musi jak najszybciej uzyskać odpowiedź na swoje pytania. Przyszło mu do głowy, że sir Henry, zajęty balem i gośćmi, nie wróci do gabinetu wcześniej niż przed spaniem. W ciągu paru dni, jakie Granville spędził na pokładzie „Antiope”, Dane zdążył poznać obyczaje tego człowieka, a przede wszystkim jego metodyczną drobiazgowość.

Każdej nocy przed udaniem się na spoczynek, z systematycznością, którą podziwiali oficerowie grywający z lordem w wieczornego wista, sir Henry poświęcał godzinę na uzupełnienie swoich codziennych zapisków.

- Prowadzę dziennik na podobieństwo kapitana statku - powiedział pewnego razu do Dane'a, gdy ten, wszedłszy do kabiny nawigacyjnej, zobaczył Granvika leżącego coś pilnie w notesie oprawnym w skórę. - Robię codzienne zapiski od czasów dzieciństwa - wyjaśnił sir Henry, odkładając pióro i szykując się do wyjścia. - Pomagają mi uporządkować codzienne sprawy.

Niespodziewanie Dane zaczął się zastanawiać, czy pisanie dziennika było jedyną przyczyną, dla której stary lord zjawiał się w kabinie nawigacyjnej. Z pozoru* ru wszystko wyglądało normalnie - dodatkowy cywilny pasażer, który dzielił kajutę z kapitanem, potrzebował wolnego kąta, aby uzupełnić swoje notatki. Trevor zauważył jednak, że wśród walających się na stole map i papierów leżał otwarty dziennik pokładowy oraz ostatni list, jaki otrzymał od Lynette.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że zaniedbał wówczas zwyczaj chowania dziennika na noc do kufra zamykanego na klucz. Tego dnia szalał sztorm i większą część dnia spędził na mostku. Pamiętał, że gdy Henry skończył, powlókł się za lordem do kajuty i w ubraniu padł na kolce, wyczerpany zmaganiem z żywiołem.

Później zapomniał o tym zdarzeniu i dopiero po potyczce z „Colette”, kiedy odzyskał przytomność, w głowie udreżonej gorączką i bólem zrodziło się dramatyczne pytanie: kto mógł strzelić mu w plecy na pokładzie własnego statku?

Jeżeli zrobił to sir Henry, załatwił sprawę bez świadków. Ludzie z załogi twierdzili, że niczego nie widzieli. Ale tylko garstka marynarzy podążała za Da-ne'em w jego szaleńczym rajdzie na pokład francuskiego okrętu. Zajęci walką, mogli łatwo przeoczyć zaczajonego mordercę.

Kapitan zaklął pod nosem. Mimo braku dowodów nie mógł się wyzbyć myśli o upartej znowie milczenia, która odnosiła się do wszystkiego, co działo się wokół niego. Ktoś chciał wyeliminować go z gry -i nadał usiłuje to uczynić.

Skoro nikt nie chce mówić, trzeba kogoś do tego zmusić, pomyślał z gniewem. Jeszcze dziś sprawi, że lordowi Granville rozwiąże się język.

Zmysły Dane'a, nawykłe do bezustannej czujności, zostały nagle zaalarmowane. Kilkanaście kroków od niego, w głębi ciemnego korytarza, drzwi od pokoju stały lekko uchylone. Za nimi dosłyszał szmer. Miał jednak niezachwianą pewność, że nie było tam lorda Granville. Dochodziła północ, a o tej porze żaden gospodarz nie opuszcza balujących gości. Ani też goście nie wymykają się tak wcześnie z przyjęcia.

Z drugiej strony ktoś, kto miał uczciwy powód, aby zjawić się w tym miejscu i o tej porze, nie przyświecałby sobie świeczką, skoro wszędzie były pod ręką lampy i świeczniki, dające o wiele silniejsze światło.

Ha! Tym razem usłyszał cichy, lecz wyraźny szelest papierów.

Dane kocim krokiem jął się skradać w głąb korytarza. Zerknąwszy ostrożnie przez szparę, dojrzał fotele i regał z książkami, co znaczyłoby, że pomieszczenie jest gabinetem lorda.

Znów zaklął, wściekły, że wybrał się bez broni. Nie zamierzał strzelać do Granville'a, choć uczyniłby to z wielką ochotą. Sam miał niemiłe wrażenie, że ktokolwiek czaił się w tym pokoju, w przeciwieństwie do niego nie zapomniał tak ważnego drobiazgu. Lata spędzone na wojowaniu wyczuliły go na niebezpieczeństwo.

Ale czemu właściwie miałby narażać swój kark w starciu ze złodziejaskiem, czyhającym na bogactwa człowieka, którego podejrzewał o zamach na

własne życie? Diabli! Wszak i on zakradł się do domu lorda nieproszony, toteż nie widział powodu, aby mieszać się w nie swoje sprawy.

Już chciał się wycofać, kiedy dosłyszał stłumiony, złowrogi głos, który rozległ się z głębi gabinetu.

- No i co? Przykro mi, ale nie mam innego wyboru, jak tylko znów pana uciszyć, sir Henry. Módl się, aby nie na zawsze.

Dane zaklął bezgłośnie i rzucił się przed siebie skokiem. Drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Zobaczył lorda Granville skulonego przy biurku zarzuconym papierami. Nad nim stał zamaskowany mężczyzna w czarnym płaszczu, z pistoletem wycelowanym do strzału. Oczy w wycięciach zabłyśły na widok Trevora.

- Kapitan Dane! Doprawdy, niebo jest dzisiaj łaska we! - wykrzyknął napastnik, a białe zęby zaśniły w okrutnym uśmiechu. - Zjawiłeś się w sam czas, aby pożegnać się z życiem, kapitanie. Należy ci się kulka za podstępny atak na sir Henry'ego.

Lufa broni uniosła się i bluznęła ogniem. Dane rzucił się w bok, a policzek musnął mu pęd powietrza od kuli, która minęła go o cal. Przetoczył się po podłodze i zerwał na równe nogi - w samą porę, aby zobaczyć, jak zamaskowana postać znika za drzwiami. Chciał rzucić się w pogoń, lecz sir Henry poruszył się i jęknął głośno.

Dane zaklął jeszcze bardziej paskudnie, w jednej chwili uświadamiając sobie grozę swego położenia. Zamaskowany zabójca miał rację. Nikt nie uwierzy w jego tłumaczenia, jeśli znajdą go tutaj!

Na całe szczęście lord żył. Dane musiał jak najszybciej dopaść winowajcę, zanim sam zostanie odkryty. Pędem runął ku drzwiom.

- Na litość boską, niech mi ktoś po... stój, rozkazuję! - wychrypiał Granville, ale Dane już go nie słuchał. Gnał korytarzem ku zbawczym schodom dla służby. Nagle stanął jak wryty, słysząc głosy dobiegające z dołu.

- To był strzał z pistoletu. Trudno go z czymkolwiek pomylić - powiedział ktoś.

- Zdaje się, że strzelano piętro wyżej, sir Oliverze.

- Gabinet! - wykrzyknął zaalarmowany kobiecy głos. - Boże, sir Henry! Mówił, że idzie tam, aby przynieść swojej ulubionej tabaki na spróbowanie dla porucznika Cordella.

- Lady Granville ma rację, sir. Właśnie dyskutowaliśmy z jej małżonkiem o zaletach nowego tureckiego tytoniu, który niedawno sprowadził.

- W takim razie nie możemy tracić czasu na zbędne rozmowy - oświadczył sir OHver teatralnym tonem bohatera, który rusza do ataku. - Sugeruję, aby ktoś poszedł tam i sprawdził, co się stało.

Dane nie miał ochoty tego słuchać. Wbiegł na wyższe piętro i przemknął za załom korytarza, zanim zdążyli go dostrzec ludzie rozmawiający w foyer. Zamarł, widząc, jak z oddali wyłaniają się sylwetki trzech wesoło rozszczebiotanych kobiet.

Nie namyślając się, wpadł do najbliższego pokoju -i napotkał zdumione spojrzenie wielkich, fiołkowych oczu. Porażony pięknnością twarzy, obramowanej włosami czarnymi i połyskliwymi jak krucze skrzydło, za-

niemówił, niezdolny do ruchu. Przez długą chwilę chłonał zjawiskowy widok, obserwując, jak alabastrowe policzki kobiety zabarwia rumieniec.

- Bardzo mi miło z powodu tak niespodziewanej wizyty, ale będę musiała zaprotestować - odezwała się piękność, mimo rozbawienia najwyraźniej przypominając sobie o zasadach przyzwoitości. - Toteż, gdyby pan był łaskaw...

Jednak nocny intruz nie pozwolił jej dokończyć. Dane nagle odzyskał zdolność działania. Zatrzasnął za sobą drzwi, chwycił kobietę w ramiona, przygarnął do siebie i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

Usprawiedliwiając się przed samym sobą, że uczynił to jedynie w celu skutecznego uciszenia niespodziewanego świadka, uchem łowił oddalające się głosy przechodzących kobiet. Jednocześnie z zachwytem odnotował krągłą smukłość kształtów, które trzymał w uścisku, nie mówiąc o słodyczy ust, dziwnie ochoczo poddających się brutalnemu atakowi. Pięknotka o fiołkowych oczach miała gorący temperament, choć od pierwszych chwil było dla Dane'a jasne, że jeszcze nie umie się nim posługiwać.

Dane z ociąganiem oderwał wargi od słodkich ust i przez moment wpatrywał się w uroczą buzię o przymkniętych oczach i błogim, wyczekującym wyrazie. Wreszcie długie rzęsy drgnęły i fiołkowe oczy spojrzały na niego.

Uśmiech zniknął z twarzy Dane'a, kiedy dostrzegł ich głębię, wciągającą jak morska otchłań. Nieznajoma nie była już młódką, jak początkowo przypusz-

czał, lecz wkraczała w kobiecą dojrzałość. Mimo wszystko nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. I z pewnością nie zaznała wcześniej pocałunku obcego mężczyzny, który o północy niespodziewanie wtargnął do jej sypialni. Do diabła, co go podkusiło, żeby potraktować tę kobietę tak obcesowo!

Z ust nieznanym wyrwało się długie westchnienie.

- Nareszcie - powiedziała cicho. - Muszę ci podziękować, kapitanie. Nawet nie wiesz, jak długo czekałam na tę chwilę. A mimo wszystko zastanawiam się, dlaczego to zrobiłeś?

Nieoczekiwane wyznanie nie rozproszyło poczucia winy gnębiącego Dane'a. A może tylko kpi sobie ze mnie, pomyślał nagle, zachodząc w głowę, skąd wiedziała o jego *zajęciu* i stopniu.

Ta kobieta przebywała w domu człowieka, który go zrujnował. Najprawdopodobniej musiała więc wiedzieć, kim jest, a może nawet w przypływie dziewczęcej fantazji wymarzyła sobie romans z awanturczym kapitanem. Z pewnością nie była tak niewinna, jak przypuszczał z początku, a przeciwnie - należała do owych rozpieszczonych piękności, które lubią poigrać sobie z *mężczyznami*.

W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Jeśli tak, będzie zmuszony dać jej nauczkę.

- Czemu miałem tego nie zrobić? ~ zagadnął, unosząc jej podbródek kciukiem. - Masz usta jak dojrzałe maliny, ale nie tak słodkie, jak by się wydawało.

- Nie tak słodkie? - powtórzyła, zaintrygowana. -I dzięki Bogu! A już myślałam, że uczęstujesz mnie lukrowanym komplementem na temat mojej urody.

Nie wybaczyłabym ci takiej niezręczności, drogi kapitanie.

Dane, zachwycony czupurnym błyskiem w jej oczach, musiał po raz kolejny zmienić zdanie. Jest piękna, ale nie zepsuta i z pewnością nie kolekcjonuje męskich zdobyczy i nie unicestwia ich jak modliszka.

Nie sądził także, aby należała do najwyższych kręgów socjety. Chociaż lawendowa suknia o najmodniejszym fasonie była strojna i uszyta z drogiego materiału, w obejściu tej kobiety *nie* czuło się arystokratycznej maniery damy krwi, nawykłej do rozkazywania i gardzącej niższymi od siebie. Może była córką młodszego potomka jakiegoś szacownego rodu, który, mając zamkniętą drogę dziedziczenia, poświęcił się karierze prawniczej lub kościelnej. Albo też miała za ojca zwykłego szlachcica z prowincji. Co nie zmieniało faktu, że była piękna jak księżniczka z bajki.

Dane, wbrew nakazom instynktu, który naglił go, aby jak najszybciej opuścić teren nieprzyjaciela, pochylił się ku dziewczynie.

- O ile rozumiem, jesteś skłonna mi wybaczyć tak obcesowy pocałunek? - zagadnął. - Zatem ostrzegam cię, młoda damo, że zrobię to jeszcze raz, jeśli tylko mnie prowokujesz.

- W takim razie masz szansę - odparła, zdumiewając go swoim tupetem. - Jeśli chcesz wiedzieć, mój dziadek twierdzi, że jestem wyjątkowo prowokująca.

Co za diablica! pomyślał Dane, nagle uświadamiając sobie, że fiołkooka prowokatorka wcale nie zadziera głowy po to, by mu się lepiej przyjrzeć, ale po

■'■fpr.

prostu podaje mu wargi do pocałunku! Na dodatek zarzuciła mu ramiona na szyję, przylegając do niego bezwstydnie całym ciałem.

Dane uznał, że na pewno polubiłby jej kochanego dziadziusia.

- Więc jak, kapitanie? - zapytała, wpatrując mu się badawczo w oczy. - Czy za mało cię prowokuję?

- Ty impertynencka mała żmijko! - syknął. - Jeśli nie będziesz uważać, przekonasz się zaraz, co przyda-^ rza się młodym damom, które rozmyślnie prowokują obcych mężczyzn.

Jeżeli liczył, że ostrzeżenie przywiedzie ją do rozumu, głęboko się pomylił.

- O tym właśnie marzę - odparła bez mrugnięcia okiem. - Przy okazji, mam na imię Violet. Ty zaś wydajesz mi się dziwnie blady jak na człowieka morza. -Fioletkowe spojrzenie spoważniało. - Zdaje się, że chorowałeś, kapitanie.

- Jeśli nawet, to nie twoja sprawa - burknął Dane bardziej nieuprzejmie, niż zamierzał.

Pełne wargi drgnęły.

- Czyżby moje słowa cię uraziły? Nie miałam takiego zamiaru, zapewniam cię. Nie jestem z natury wścibska, ale naprawdę mnie intrygujesz. Jesteś bardzo młody jak na kapitańskie epolety, które nosisz na ramionach. Zdaje się, że zaliczasz się do cichych bohaterów naszej ojczyzny. Wyglądasz na kogoś, kto niewiele zaznał w życiu pokoju, a za to zbyt wiele wojny.

- Naprawdę? - zapytał szorstko. - A co ty, u licha, możesz wiedzieć o mnie, a tym bardziej o wojnie? Jesteś piękną, młodą kobietą i zupełnie nie rozumiem,

czemu kryjesz się w swoim pokoju, zamiast błyszczeć na sali balowej, otoczona wianuszkami wielbicieli?

- Właśnie dlatego, że znudziło mi się obłęzenie tych farbowanych kogutów - wypaliła bez namysłu. - Uciekłam, zanim dla wszystkich stało się jasne, że nie jestem ani boginią, ani czarodziejką, tylko zwykłą kobietą, która potrzebuje normalnego uczucia. Jeśli po znałbyś mnie lepiej, kapitanie, przekonałbyś się, że potrafię być do znudzenia przyziemna i nie zachwycają mnie salonowe gierki ani romantyczne porywy.

Wpatrywała się w niego tak wyczekująco, że poczuł się dziwnie nieswojo. Już od dwóch lat nie miał kobiety i ulotna, słodka woń tej uroczej istoty zaczęła mącić mu zmysły jak mocne wino. Ciepło młodego, prężnego ciała nęciło, budząc utajone pragnienia.

- Młoda damo, prowokujesz mnie do czegoś więcej, niż sobie wyobrażasz - powiedział ostrzegawczo Dane, zdejmując ze swojej szyi nagie kobiece ramiona. Mocno przytrzymał nadgarstki Violet przy swojej piersi. - Czy nie jesteś przynajmniej ciekawa, czemu wpadłem niezapowiedziany do twojej sypialni? Mogę równie dobrze być nieobliczalnym szaleńcem, jak i złodziejem, który obedrze cię z kosztowności.

- Jeśli jesteś tym ostatnim, rozczarujesz się - odparła spokojnie. - Mam tylko wisiorek po mamie - powiedziała, dotykając złotego klejnociku starej, zeszło-wiecznej roboty, wiszącego na łańcuszku na smukłej szyi. - Nie posiadam żadnej innej cennej biżuterii. Już prędzej powiedziałabym, że przyszedłeś, aby mnie uwieść. Jednak nie widziałam cię na sali balowej, z czego wnoszę, iż wtargnięcie do mojego pokoju mu-

si mieć inną przyczynę. Domyślam się, że chodzi o cały łańcuch dziwnych przyczyn i skutków, który sprowadził cię do mnie - a to z kolei wywołało dalszy ciąg zdarzeń, które, mam nadzieję, zostaną ukoronowane ponownym pocałunkiem. Przecież moje prowokacje domagają się rewanzu, nieprawdaż, mój kapitanie?

- Cicho! - syknął Dane, kładąc jej palec na ustach. W nocnej ciszy rozbrzmiał odgłos pośpiesznych kroków dudniących po schodach. - Radbym ciągnął naszą rozmowę, ale obawiam się, że zbyt długo już tu przebywam - dodał, poważniejąc. - Chyba nie muszę ci mówić, że nikt nie może się dowiedzieć o mojej obecności w tym domu.

- W takim razie naprawdę jesteś rabusiem - uśmiechnęła się Violet, sięgając za plecy Dane'a i pewnym ruchem przekręcając klucz w zamku. Ujęła niespodziewanego gościa za rękę, poprowadziła ku oknu i otworzyła je. - Zresztą, nieważne. Wiem, że nie jesteś przestępcą. Mam nadzieję, że nie masz lęku wysokości?

- Żeglarz, który wspina się na maszty, aby związać żagle w czasie sztormu, nie wie, co to lęk wysokości - odpowiedział ze wzruszeniem ramion, przekładając nogę przez parapet. Odwrócił się ku Violet i ujął ją za rękę, czujnie zerkając na drzwi. - Nie jestem rabusiem, ale mam potężnych i bezwzględnych wrogów. Obiecaj mi, że będziesz na siebie uważać. Jeśli odkryją, że udzieliłaś mi schronienia, powiedz, że cię do tego zmusiłem.

- Nie martw się o mnie, kapitanie, dam sobie radę. - Popatrzyła mu w oczy. W jej spojrzeniu żal mieszał się z obawą. - Zatrzymam ich, jak *dlugo* się da, żebyś miał czas na ucieczkę. Spiesz się i również uważaj na siebie.

Byłabym niepokieszona, gdyby została z ciebie mokra plama na ziemi.

- Ja także - wyznał szczerze, tęsknie ogarniając wzrokiem piękną buzię. - Dzięki ci, słodka Violet. Nigdy nie zapomnę ciebie ani tego, co zrobiłaś dla mnie tej nocy.

W następnej chwili był już na zewnątrz i z małpią zrzęnością zsunął się w dół po rynnie. Biegąc ku bramie, usłyszał za sobą szcęk zamykanego okna. Wskoczył na konia, mając jeszcze w pamięci widok fiołkowych oczu, i pognął wierzchowca do dzikiego cwału. Chwile spędzone z piękną nieznajomą zaburzyły jego chłodną, opanowaną naturę i zdawał sobie sprawę, że w trudnych momentach, które go czekają, będzie zmuszony wygnać jej obraz z pamięci.

Jutro musi rozważyć dalszą strategię. Teraz będzie mieć do czynienia nie tylko z sir Henrym, ale i z zamaskowanym zabójcą, który rozpoznał kapitana Tre-vora Dane i postanowił niezwłocznie usunąć go z gry. Z człowiekiem o stalowych nerwach, który potrafi znikać jak duch. Z pewnością był jednym z gości Granville'a - inaczej nie mógłby bez wzbudzania podejrzeń przejść do gabinetu pana domu, przebrawszy się w ostatniej chwili w maskujący strój. To wyjaśniałoby również jego czarodziejskie zniknięcie. Mógł, występując już jako zwykły balowicz, dołączyć do grupki tych, których rozmowę Dane słyszał z dołu.

Kapitan skrzywił się w gorzkim uśmiechu, przypomniawszy sobie ich głosy. „Sir Oliver” musiał być z pewnością wiceadmirałem sir Oliverem Landfor-dem. A skoro tak, u jego boku należało jak zwykle

spodziewać się porucznika Alastaira Cordełła, jego adiutanta.

Świat jest mały, pomyślał ironicznie. To właśnie z rozkazu Landforda wziął sir Henry'ego na pokład swego statku, aby zawieźć go na Gibraltar, dziwiąc się, czemu dla tak dostojnego gościa wybrano jego małą, niewygodną korwetę, a nie „Bluefinę” czy inną reprezentacyjną fregatę. Dopiero po fatalnym postrzale zakiełkowały w nim podejrzania. Jednak dzisiejszy atak na sir Henry'ego dziwnie nie pasował do tragicznych wydarzeń na „Antiope”. Jeśli to Granville strzelił mu w plecy na pokładzie jego własnego statku, kim w takim razie był człowiek w masce, który chciał zabić sir Henry'ego?

Teraz stało się dla Dane'a jasne, że cała afera była o wiele bardziej zawikłana i nie chodziło jedynie o pozbycie się zwykłego kapitana. Ba, ale co miało jedno do drugiego? Odpowiedź niedwuznacznie wskazywała na Maltę, na jego sekretne spotkanie z Philippe'em Lambertem oraz zasadzkę, w którą został wciągnięty w katedrze Świętego Jana. Skończony dureń, jak mógł posłuchać Lamberta! Jako kapitan Królewskiej Marynarki powinien trzymać się z dala od wszelkich tajemnych układów.

Ale skoro się w nie wplątał, pomyślał gorzko, masz marne szanse w tej grze. Był kapitanem bez statku, pieniędzy i wpływów. Tylko na pokładzie swojej jednostki, w ogniu walki, stawał się bogiem. W salonach i w gabinetach, gdzie więksi od niego snuli nici wojennych intryg, czuł się jak nędzny pionek. Chyba za sprawą samego czarta znalazł się w tej piekielnej

sieci, za jedyny trop mając kilka niejasnych podejrzeń i jeszcze więcej pytań, na które nie zna odpowiedzi. Z pasją wrył konia na podwórku gospody w Exeter. Kiedy jednak zasypiał kamiennym snem na wytartym sienniku, jego ostatnia świadoma myśl nie dotyczyła sir Henry'ego ani mordercy w masce, tylko smukłej młodej kobiety o fioletowych oczach morskiej syreny.

Lady Violet Clarice Rochelle, stojąc w kółku adoratorów, z których każdy pragnął przyciągnąć jej uwagę, obdarzała ich hojnie uśmiechami i uprzejmymi skinięciami głowy. Jednocześnie nie przestawała się zastanawiać, co też podkusiło ją, aby dwa tygodnie temu przyjąć zaproszenie na bal u lady Granville. Kiedy zorientowała się, że spotka tam kontradmirała sir Olivera Landforda, brata człowieka, który zrujnował jej ojca, wiedziała, że pożałuje swojej decyzji.

Z drugiej strony nie wypadało odmówić kobiecie, która była jej ukochaną matką chrzestną. Lady Lydia Granville traktowała Violet niemal jak własną córkę. Mimo to Violet, przyjąwszy zaproszenie, błagała Boga, aby zesłał jej chorobę lub inną niemoc, która usprawiedliwiłaby nieobecność na niechcianej uroczystości.

Z dobrze skrywanym niesmakiem odwróciła spojrzenie od rozplamionego oblicza Franklina May-berry'ego, nababa w średnim wieku, który, zrobiwszy fortunę, szukał teraz odpowiednio dekoracyjnej i arystokratycznej żony. Prawda była bolesna: Violet nie miała nic do powiedzenia we własnej sprawie. Musia-

ła podporządkować się każdemu pomysłowi, jaki przyszedł do głowy jej dziadkowi, diukowi Alber-marle. Po raz kolejny wzięła sprawy w swoje ręce, chociaż jak zwykle sobie tego nie życzyła, rozmyślała, stoicko ignorując Geoffreya Whitlowe'a, stojącego miny do swego bliźniaka Jonathana ponad łąsą głową Jacoba Lktele'a, kolejnego kandydata do jej ręki.

Dziadek uwielbiał sterować życiem tych, których egzystencja zależała od jego hojności. A Violet niewiele miała do powiedzenia o własnych sprawach od czasu, gdy przed siedmiu laty została sierotą. Jej starszy brat, markiz Gideon Vere, nie posiadał fortuny wystarczającej, aby wziąć siostrę na utrzymanie. Sam w dużej mierze zależał od laski dziadka.

Violet, obdarzona wrodzonym poczuciem samodzielności, trwała w stanie nieustannego buntu. Pobyt w zamku Albermarle naznaczył jej egzystencję piętnem nudy i samotności. Zostawiona sama sobie, nauczyła się czerpać radość z przeżyć dających złudzenie wolności - długich spacerów po plaży, rozmarzonej kontemplacji na szczycie stromych klifów czy pochłanianiu kolejnych książek.

Niespodziewanie diuk Albermarle, oderwawszy się na chwilę od swoich spraw, raczył zauważyć, iż nie jest jedynym członkiem rodziny zamieszkującym w zamku. Niedwuznacznie zasugerował Violet, aby przyjęła zaproszenie swojej starszej *siostry* Elfridy i jej męża, Guya Herricka, earla Shields, i przeniosła się *do nich. do* Londynu na czas balowego sezonu. Poczucie dumy Violet buntowało się na myśl, że miałyby pozostać na *łasce* szwagra, choć był bogaty jak

Krezus. Niestety, jak zwykle nie miała nic do powiedzenia. Na dodatek Elfrida, władcza i impulsywna, za wszelką cenę postanowiła wprowadzić młodszą siostrę na salony. To było najtrudniejsze do zniesienia.

Jak tylko Violet postawiła stopę w Londynie, pojawiła się wokół niej cała sfera starających się kawalerów. Na szczęście pobyt w stolicy miał również inne, przyjemniejsze strony. Violet wpadła w nałóg chodzenia na wszystkie możliwe spektakle teatralne i operowe. Ciotka Roanna, również mieszkająca w Londynie, która z zapałem wspierała kulturalne eskapady swojej siostrzenicy, okazała się nie mniej apodyktyczna niż Elfrida. Wymusiła na Violet, aby przyjęła zaproszenie do ekskluzywnego towarzyskiego klubu Al-mack. Lady Sally Jersey uprzejmie zgodziła się zostać członkiem wprowadzającym.

Zaistnienie w takim miejscu okazało się niewybaczalnym błędem. Violet została momentalnie obleżona przez jeszcze liczniejsze zastępy adoratorów, którym nie wypadało odmówić żadnego tańca. W końcu pewnego wieczoru wymknęła się cichcem z Londynu i wróciła do Albermarle, aby uniknąć kłopotliwego obowiązku odrzucania niezliczonych małżeńskich propozycji.

Bowiem lady Violet Clarice Rochelle w przeciwieństwie do większości młodych dam swego czasu nie cierpiała szumu wokół siebie, zwłaszcza jeśli wywoływali go mężczyźni w banalny i śmieszny sposób sławiący jej urodę. A wszystko zaczęło się od Jonathana Whithlove'a, który, kiedy oboje mieli po dziesięć lat i biegali razem po łąkach, powiedział jej, że ma cerę

gładką jak brzusek Ruperta, jego nowego wyżła. 2 czasem porównania stały się niepomernie bardziej poetyckie. I tak krucze włosy Violet okazały się „aksamitną kaskadą nocy”, zaś oczy - „niezglębionymi jeziorami ametystu”. A nie dalej niż dziś sir Jeremy Bid-dle zadeklarował, że namaluje ją jako Wenus wynurzającą się z morskiej piany!

Violet zachichotała, osłaniając twarz wachlarzem. Jeremy z pewnością nie poważylby się malować swej modelki w nagiej, mitycznej postaci, zaś wyobrazenie Wenus, wynurzającej się z fal w przemoczonej sukni, było przemożnie komiczne.

Młoda lady Rochelle była doskonale świadoma ironii swojej sytuacji. Od czasu, gdy z dziewczynki zaczęła stawać się kobietą, przyciągała spojrzenia osobników pici męskiej jak ulepek przyciąga osy. Wystarczyło, aby wkroczyła do salonu wypełnionego tłumem rozdyktowanych dżentelmenów, a rozmowy milkły i wszystkie spojrzenia kierowały się na nią z zachwytem. Ona, która nie znośła być w centrum uwagi, przyciągała ją natychmiast jednym spojrzeniem czy słowem. I cierpiała, przywołując na twarz wymuszony uśmiech i marząc, aby wrócić do siebie i zagłębić się w ulubione powieści Ann Radcliffe*.

Wszystko było lepsze niż życie ze świadomością, że wreszcie będzie musiała podjąć decyzję, któremu mężczyźnie z wiernej trzódki obiecać swą rękę. Po

*Ann Radcliffe - Pisarka angielska z przełomu XVIII i XIX wieku, autorka gotyckich powieści grozy, m. in. znanej i czytanej do dziś książki „Tajemnice zamku Udolpno” - przyp. tłum.

stokroć przeklinała upór dziadka, który uczynił z jej życia farsę.

Pragnąc odsunąć w nieskończoność niechcianą chwilę, wyrobiła w sobie reakcje obronne, które po zwałają jej trzymać na dystans starających się, nie obrażając ich jawnie. Jak ognia wystrzegała się zalotności, aż do przesady odgrywając skromność. Na skutek tych działań zaczęła gromadzić wokół siebie głównie mężczyzn bardzo młodych i niewyrobionych oraz starszych, szacownych dżentelmenów. Jedni i drudzy « gotowi byli na długie obłężenie; jednych, i drugich »[®] określała w duchu jako nieznośnych nudziarzy. Tym czasem w głębi duszy pragnęła żyć pełną piersią, zgodnie ze swoją żywiołową naturą, którą zmuszona była starannie ukrywać. Tęskniła za kochankiem, który uczyniłby ją heroiną romansu pełnego przygód i wyzwań;• zwolił z ciasnego gorsetu powinności i zakazów, obowiązków i wiążących damę wysokiego rodu.

Było jasne, iż takie wymagania mógł spełnić jedynie awanturnik spod znaku płaszcza i szpady, mający tyleż wspólnego z jej adoratorami, co wilk ze stadem posłusznych salonowych piesków. Mężczyzna, który nie znudziłby się jej po pierwszych chwilach J małżeńskiej euforii, gdyż życie z nim byłoby nieustanną przygodą i wyzwaniem. Violet, urodzona i pod znakiem Ryb, symbolizowanym przez dwie ryby płynące w przeciwnych kierunkach, była doskonała i naJe świadoma *dziwnej sprzeczności* swojej natury, która pozwalała jej żyć w cnocie wśród marzeń, o tym, co zakazane i naganne. Biernie niesiona codziennym nurtem wydarzeń, gotowa była w każdej chwili

chwili wyskoczyć nad powierzchnię i popłynąć pod prąd.

Buntownicze dążenia zakiełkowały w niej już dawno, kiedy zaczęła zaczytywać się w powieściach grozy i romansach, marząc, aby wyrwać się z nudnych i bezpiecznych murów zamku Albermarle w hrabstwie Devon. Z czasem dążenia, umacniane apodyktyczną postawą dziadka, zmieniły się w skrycie pielęgowaną ambicję. I tylko ona sama i kilka bliskich osób, które znały ją dobrze - na czele z rodzoną siostrą Elfridą - wiedziało, że piękna Violet jest ostatnią osobą, która nadawałaby się na żonę dla któregośkolwiek z gładkich dżentelmenów, emablujących ją w szmaragdowym salonie zamku.

Fatalny krok, jakim było przyjęcie zaproszenia na bal u lady Granville, sprawił, że Violet poczuła się dosłownie osaczona - już nie przez kilku, ale przez cały tuzin zalotników, z których każdy mógł uchodzić za ideał męża. Co gorsza, podążywszy jej śladem do Albermarle, przypuścili prawdziwy szturm, pragnąc nie tylko zdobyć jej łaski, ale i przyciągnąć uwagę diuka.

I rzeczywiście doczekali chwili, gdy Jego Ekscelencja zstąpił z wyżyn swej samotni, gdzie zwykł był jadać otoczony potężnymi tomami dzieł ilustrujących umysłowy ferment swojej epoki - od prac Darwina, poprzez filozoficzne rozprawy Hegla i Schellinga, do „Makro-biotyki - sztuki przedłużania życia” Hufelanda* aby zaszczyścić swą obecnością krąg Violet i jej akolitów.

>:"Christoph Hufeian - słynny lekarz niemiecki z przełomu XVII i XIX wieku, zwolennik łączenia różnych metod leczniczych -przyp. dum,

Jego wnuczka właśnie wzniosła oczy do nieba, skrycie błagając, aby wyzwoliło ją od duetu WhitJo-we'ów naszeptujących jej w uszy bliźniaczo nudne komplementy, gdy nagle zobaczyła zbliżającą się ku nim majestatyczną postać dziadka.

- Ekscelencjo - powiedziała bez tchu, pospiesznie składając ukłon - jak miło, że zechciałeś zaszczyścić nas swoją obecnością.

- Tak też sędzę - odparł, krocząc przez tłumek młodszych samców, rozstępujący się przed nim z szacunkiem. Niebieskie oko, błyskające zza monokla, zdawało się klasyfikować ich jak okazy poddane naukowemu osądowi badacza. - Muszę przyznać, moja panno, że odczuwam lekką konfuzję, a to z powodu mojej mocno już nadwyrężonej pamięci, która z opóźnieniem podszeptała mi, iż winienem zabawiać moich gości - dodał. Monokl, wypuszczony z ciasnego uścisku oczodołu, zwiśł mu na piersi na jedwabnej tasiemce.

- Nie masz prawa narzekać na swoją pamięć, ekscelencjo, gdyż jest wspaniała jak na twój wiek - odparła Violet ze słodką minką grzecznej wnuczki.

Diuk Albermarle, czy to ze względu na fakt, iż urodził się w Wodniku w ascendencie Lwa, czy też dlatego, że jego umysł błądził bezustannie wśród naukowych prawd i ezoterycznych abstrakcji, był znany z częstych zaników pamięci. A może raczej miał irytujący zwyczaj zamykania się bez zapowiedzi w świecie własnych myśli.

- Obawiam się raczej, iż to *ja* zaniedbałam swoje obowiązki, zapominając poinformować cię, że ci

dżentelmeni byli uprzejmi złożyć nam wizytę - dodała bezlitośnie.

- Wizytę, powiadasz? - Badawczy wzrok diuka powędrował po twarzach zachowujących wyraz czujnego szacunku, zatrzymując się przez chwilę na identycznych obliczach jego chrześniaków, Jonathana i Geoffreya Whitlowe'ów. ~ Rzeczywiście, o ile się nie mylę, widziałem jednego z tych dżentelmenów, błądzącego koło Wieży Gideona. Sądzę, że poszukiwał wyjścia z mojego ogrodowego labiryntu. Snadź musiał je znaleźć, skoro widzę go tu dzisiaj. - Alber-marle spojrział bystro na wnuczkę. - Dokładnie od jak dawna mamy zaszczyt przyjmować szanownych dżentelmenów?

- Od prawie tygodnia - poinformowała go bez mrugnięcia okiem. - Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, ekscelencjo, zjechali tu w chwili, kiedy w oranżerii czytałeś głośno Darwina swoim okazom orchidei, aby lepiej rosły, i w związku z tym dałeś wyraźnie do zrozumienia, aby ci nie przeszkadzano. Potem, jak tylko przybyła lady Rutherford, zgodnie z jej sugestią zaplanowałeś seans medytacji, aby oczyścić ciało i umysł z niezdrowych miazmatów. Uznałam zatem, że przez następne dwa dni pozostaniesz w odosobnieniu. Gdyby nie to, nie omieszkałabym przypomnieć waszej ekscelencji, że oczekujemy go w porze obiadu.

Diuk przeszył Violet przenikliwym spojrzeniem, lecz mimo najlepszych chęci nie był w stanie znaleźć luki w spójnym toku jej wypowiedzi.

- Dobrze - odchrząknął. - Lady Rutherford i ja, nie stety, doszliśmy do pewnego impasu w dążeniu do po-

rozumienia duchowego i postanowiliśmy odłożyć dalsze próby na czas nieokreślony.

Violet, która z niejaką trudnością mogła uznać kilkunastoletnią znajomość dziadka i lady Rutherford, pełną wzajemnych afrontów i burzliwych sporów, za miłosny związek, byłaby rada, gdyby nagły wyjazd obrażonej metresy okazał się ostatnim z łańcucha wielu innych gwałtownych rozstań. Najwyraźniej Alber-marle znów miał swój zły dzień, kiedy jego myśli błądziły pokrętymi ścieżkami, nieodstępnymi dla nikogo. Zwykle Wodniki w ascendencie Lwa nie bywają aż tak nieprzewidywalne.

- Ośmielę się twierdzić, Wasza Ekscelencjo - lord Cranston odważnie postąpił krok do przodu - że niedopatrzenie, o ile w ogóle takowe zaszło, nie jest winą lady VioJet, która stanowi ucieleśnienie piękna i mądrości. Nawet jeśli nastąpiłoby za jej sprawą, i tak my, pokorni wasale, będziemy wielbić w niej ideał kobiecej perfekcji.

- Kobiecej perfekcji, hm... - mruknął diuk, lustrując ów ideał, jakby *zobaczył* go po raz pierwszy.

Violet jęknęła w duchu, dostrzegając w oczach dziadka błysk świadczący o nagłym przyspieszeniu myślowego procesu. Była coraz bardziej pewna, że Al-bermarle już wcześniej musiał powziąć niesłychany zamiar - zasiąść ze swoimi gośćmi do obiadu!

A skoro tak, będzie to z pewnością pamiętny obiad. Jej dotychczasowe wysiłki, aby wytłumaczyć Henriemu, francuskiemu szefowi kuchni, że należy przeczekać upór dziadka w kwestii zatrudnienia dodatkowego chińskiego kucharza, gdyż zaowocuje on filozofią równowa-

gi yin i yang w pożywieniu, spelzły na niczym. Dlatego, unosząc pokrywę wazy, nie zdziwiła się *wcale*, że zamiast smakowitej *poisson veronique* zobaczyła zupę z wodorostów, połączonych z cienko pokrojoną cebulą i różnaitością ziaren przypominających śrutę dla drobiu. Nie wątpiła, że nionsieur Henri uciekł z zamku w przypiływie czystej grozy i oburzenia.

Jeśli miała jeszcze złudzenia, rozwiła je ostatecznie przystawka złożona z liści mlecza gotowanego na parze z zieloną fasolką i doprawionego musztardą. Mogła jedynie liczyć, że w tej sytuacji jej adoratorzy, zagrożeni widmem głodu, spakują manatki i odjadą jak niepyszni.

Z radością powitała więc danie główne - prawdziwy majstersztyk z różnych gatunków gotowanego brązowego ryżu i zbożowych ziaren. Albermarle z zacięciem badacza obserwował, jak owo jadlo, mające przywrócić młodość, oddziałuje na Mayberry'ego, który, będąc już jedną nogą w grobie, ambitnie wymarzył sobie żonę w wieku własnej wnuczki.

- Czy ma pan zastrzeżenia, panie... ehm, Little? -odezwał się, znienacka przenosząc swoją uwagę na doktora grzebiącego widelcem w brunatnej brei z miną człowieka, który właśnie pojął, że jest truty.

- N-nie rozumiem, Wasza Ekscelencjo? - zająknął się Little, któremu na łysinie załśniły krople potu.

- Zna pan oczywiście słynny traktat Hufelanda „Makrobiotyka jako sztuka przedłużania życia”? -stwierdził Albermarle tonem wykluczającym jakąkolwiek wątpliwość. - Dla lekarza musi stanowić on

^Franc. - ryba z ziołami.

■/jęę?

prawdziwe objawienie. Wystarczy zresztą popatrzeć na mnie, by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż wschodnia zasada dopełniających się przeciwności czyni cuda. Stosując jaw żywieniu, dzień po dniu odzyskuję utraconą młodość, a moje życiowe energie harmonijnie się równoważą.

- Moim zdaniem pan Little przywiązany jest bardziej do teorii Galena i Paracelsusa* niż do wywodów Hufelanda - zasugerowała Violet, serdecznie współczując Little'owi, który mimo najlepszych chęci nie mógł zaprzeczyć, że Jego Ekscelencja jest świetnie zakonserwowanym starszym panem o włosach ledwie tkniętych siwizną i sprężystej, szczupłej sylwetce.

- A moim zdaniem pan Little oraz większość jego kolegów po fachu to ludzie ślepo wierzący, że jedynymi słusznymi metodami leczenia wszystkich chorób, od niestrawności do obłądu, są lewatywa i puszczenie krwi - oświadczył chłodno diuk, odwracając się z niesmakiem od nieudanego adepta nauk medycznych i szukając wzrokiem kolejnej ofiary.

- Ciekaw jestem, panie Biddle, jakie jest pańskie zdanie w interesującej nas kwestii - zagadnął sir Jere-my'ego, który poddawał dokładnym oględzinom prażone ziarna dyni zaserwowane na deser.

- Moje, wasza ekscelencjo? - zająknął się. - Prawdę mówiąc, nie mam zdania na temat dzieł pana Hufelanda. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z tak, przyznam, interesującą teorią.

*Galen - najslawniejszy po Hipokratesie grecki lekarz starożytności. Paracelsus - średniowieczny lekarz, przyrodnik i alchemik z przełomu XV i XVI wieku - przyp. tłum.

- To tylko ziarna dyni, sir Jeremy - wyj aśniła z uśmiechem Violet.

- Naprawdę? I co trzeba z nimi robić?

- Jak przypuszczam, zjeść - odpowiedział Jonathan Whitlow. - Choć moim zdaniem lepiej byłoby podać je gołębiom - wyznał, zwracając się do Geoffreya.

- Wolałbym raczej gołębie na moim talerzu - mruknął Geoffrey do Violet. - Powiedz, że wyjdiesz za mnie, słodka Violet, a obiecuję ci, że nigdy nie będziesz musiała jeść śruty dla ptaków.

- Geoffrey, przecież tak naprawdę wcale nie pragniesz mnie poślubić - odparła, marząc w duchu, aby posłać swoich adoratorów do wszystkich diabłów. - Jesteś tutaj wyłącznie ze względu na Jonathana, który niesłusznie uważa, że się we mnie zakochał, podczas gdy oboje wiemy, iż pociąga go wyłącznie sama idea miłości. Jestem pewna, że obaj wialibyście stąd gdzie pieprz rośnie, gdybym nagle na serio oświadczyła, że jestem gotowa wyjść za jednego czy drugiego.

- Och, Violet, jak możesz! - Na młodej twarzy Jonathana pojawił się wyraz żalu. - Przecież dobrze wiesz, że Geoffrey i ja jesteśmy w tobie zakochani po uszy i martwi nas tylko, co będzie, jeśli zechcesz wybrać między jednym a drugim.

- No nie, to już przesada! - zawołała z komicznym grymasem. - Zbyt długo się przyjaźnimy, żeby udawać, że coś poważnego może wyniknąć między nami. Nawet gdybym wybrała któregoś, czułabym się tak, jakbym wyszła za braciszka. Mam wrażenie, że jestem dwa razy starsza od was.

- Uchroniłoby cię to przynajmniej od wyjścia za

kogoś, kto mógłby być twoim ojcem - rzucił Geof-frey, coraz bardziej naburmuszony.

- Pewnie, Violet - basował mu Jonathan, wypinając pierś. - Tobie potrzebny jest prawdziwy mężczyzna.

- Święta racja - rozpromienił się znów Geoffrey. -Ktoś, kto potrafiłby oczarować cię i wyrwać z twojej ukochanej samotni.

- I sprawić, żebyś nigdy się nim nie znudziła - dodał jego brat z mądrą miną.

- O tak, na przykład dzielny żeglarz - rozmarzyła się. - Może kapitan korwety Królewskiej Marynarki, opromieniony sławą morskich bitew. Czy przypadkiem nie znacie takiego?

Zaśmiali się zgodnie, nie przypuszczając, że wcale nie żartuje. Od czasu przypadkowego spotkania z przystojnym zbiegiem marzenia, coraz bardziej awanturnicze, pomagały jej przetrwać nudę jałowej egzystencji w niechcianym świecie pustych słów i afektowanych gestów.

Na nieszczęście tajemniczy kapitan nie zdążył się jej przedstawić i nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie może go znaleźć i czym jeszcze się zajmuje poza wdzieraniem się po nocy do cudzych rezydencji, a zwłaszcza *do* kobiecych sypialni.

Nawet teraz, kiedy tylko przymknęła powieki, widziała w wyobraźni jego silną, wysoką postać i przystojną, śniadą twarz o inteligentnych, ciemnych oczach, długim, prostym nosie, mocnej szczęce i pełnych, zmysłowych ustach, skrzywionych w lekkim, sardonicznym uśmiechu. Intrygująca cienka blizna, jakby zadana ostrzem brzytwy, która zdobiła jego policzek, przydawała mu tajemniczości.

Włosy miał kruczoczarne jak ona sama, a ciemne oczy, w których krył się demoniczny błysk, patrzyły wyzywająco, powodując w duszy Violet zamęt, jakiego jeszcze nigdy nie doznała pod męskim spojrzeniem.

Nie wiedziała nic o owym dziwnym człowieku poza tym, że zakradł się po nocy do domu sir Henry'ego - a jednak bez wahania ukryła go i pomogła w ucieczce. Wszystko za sprawą tego niespodziewanego, oszałamiającego pocałunku, który wyzwolił w niej ukryte *demony*, o jakich nie miała pojęcia! Nagle z siłą, która wstrząsnęła całym jej bytem, Violet pojęła, co może się zdarzyć, gdy kobieta znajdzie się w bliskości prawdziwego mężczyzny.

Kim on naprawdę jest? zastanawiała się bezustannie od czasu pamiętnego zdarzenia na balu u lady Granville. Sir Henry, kiedy opatriono mu głowę, nie potrafił powiedzieć nic konkretnego o napastniku, poza tym że jest wcielonym diabłem, podstępny jak żmija. W głębi duszy była jednak dziwnie pewna, że człowiek w masce, który omal nie zabił Granville'a, i tajemniczy kapitan nie są tą samą osobą. Przeczyła temu nie tylko logika, ale jej wyczulona, kobieca intuicja. Jej kapitan

- bo tak nazywała go w myślach - z całą pewnością nie należał do ludzi, którzy potrafiliby podstępnie zdradzić kogoś czy sprzeniewierzyć się *lojalności* wobec króla i ojczyzny. Przecież patrzyła mu w oczy i wyczytała z nich wiele - o bolesnych przejściach, cierpieniu i samotności. Ten człowiek bowiem był samotny i gnębiony udręką, której przyczyn nie znała.

Co go spotkało? rozmyślała, siedząc w swoim pokoju u okna, przez które nieznajomy uciekł w ciem-

ność, ku swojemu niewiadomemu przeznaczeniu- Od razu domyśliła się, że dopiero co wyszedł z ciężkiej choroby, o czym świadczyła bladość twarzy, cienie pod oczami i gorzkie bruzdy wokół ust. Świetnie skrojony kapitański mundur nie opinał jego silnej sylwetki, tak jak to musiało być całkiem niedawno.

Najwidoczniej nie odzyskał jeszcze sił po ciężkich przejściach. Violet odczuła nagłą, kobiecą potrzebę zaopiekowania się nim. Zapagnęła być z tym człowiekiem, rozmawiać z nim, ukoić jego cierpienia, patrzeć w te piękne, zmęczone oczy.

Przekonanie, że tajemniczy kapitan potrzebuje pomocy, prześladowało ją z narastającą siłą, zaburzając senną egzystencję w zamku Albermarle. Boże, gdybym tylko wiedziała, jak się nazywa, myślała z udręką. Przynajmniej mogłabym go poszukać.

"Westchnęła ciężko. Jej dziadek powiedziałby z pewnością, że jest to kwestia czysto akademicka. W odniesieniu do wnuczki liczyło się dla niego tylko jedno zagadnienie, które domagało się jak najszybszego rozwiązania. Po słynnym makro biotycznym obiedzie wezwał Violet do swojego gabinetu i oświadczył jej stanowczo, że nie zamierza w nieskończoność gościć w swoim zamku gwardii dżentelmenów starających się o jej rękę. Zrozumiała, że wkrótce postawi jej ultimatum i zmusi, aby wybrała któregoś z tych sześciu najbardziej wytrwałych. Znając go, podejrzewała, że jeśli sama tego nie uczyni, zniecierpliwiony Albermarle wybierze za nią, a to byłaby już zupełna klęska!

Wkrótce potem usłyszała to, czego się spodziewała. I tak powinna być wdzięczna dziadkowi, że pozwolił

jej przetrwać spokojnie do dwudziestych czwartych urodzin i dopiero teraz, siedemnastego marca, oznajmił, że za niecałe dwa tygodnie ma zdecydować się na męża. Łatwo powiedzieć! Nie chciała żadnego z tych dżentelmenów, ale też wzdragała się urazić któregoś z nich odmową, gdyż wrodzony takt nakazywał jej nie ranić cudzych uczuć.

Sytuacja była beznadziejna. Violet wiedziała z całą pewnością, że nie wybierze ani Geoffreya, ani Jonathana. Poślubienie lorda Cranstona, podstarzałego hipochondryka obdarzonego w dodatku apodyktyczną i nadopiekuńcza mamusią, również nie wchodziło w grę. Podobnie jak Mulberry'ego, stetryczałego skąpca, który, choć bogaty jak nabab, żałował każdego grosza. Co do Little'a, nie wątpiła, że byłby całkiem tolerancyjnym i niekłopotliwym mężem, gdyby tylko zdobył żonę z upragnionym znacznym posagiem. Nie spełniała tego warunku, toteż podejrzewała, że musiałaby przywyknąć do ciężkiej domowej harówki. Pozostał jeszcze sir Jeremy Biddle, zubożały baronet, nieudacznik oderwany od rzeczywistości. Doprawdy, nie było o czym dyskutować!

Ach, gdyby mogła uciec jak najdalej od tych męczących ludzi i jeszcze bardziej męczących decyzji! Było tylko jedno miejsce, gdzie potrafiłaby znaleźć upragniony spokój i samotność - dom, który kiedyś należał do jej matki, a obecnie znajdował się w gestii Elfridy. Bath znajdowało się zaledwie czterdzieści mil od Honingto-nu. Wystarczy jeden dzień jazdy dylizansem... , Violet zerwała się na równe nogi, gotowa do natychmiastowego działania. Miała odłożoną wystar-

czającą ilość pieniędzy, oszczędności z kwartalnej renty, którą "wyplacał jej dziadek. Na całe szczęście samotnicze życie, jakie wiodła w Albermarle, nie sprzyjało pokusom wydatków na stroje i przyjemności.

Pozostał jeszcze dziadek. Z jednej strony diuk powinien być zadowolony, że kłopotliwa podopieczna zniknie z zamku razem z równie kłopotliwymi adoratorami. Z drugiej strony problem, który dręczył jego "w tym samym stopniu co Violet, nadal pozostawał nierozwiązany. Wątpiła, czy dziadek pozwoli jej tak po prostu odejść. A zresztą w końcu będzie musiała wrócić, gdy wyczerpią się fundusze.

W takim razie powinna wziąć byka za rogi i wymknąć się bez pozwolenia. Znając Albermarle'a, mogła przypuszczać, iż postawiony przed faktem dokonanym dozna któregoś ze swoich słynnych zaników pamięci i póki co ześle w zapomnienie sprawę nieszczęsnego małżeństwa, aby z zapalem zagłębić się w swoje naukowe teorie.

Jeśli zdoła wymknąć się szybko i niepostrzeżenie, jest szansa, że zauważą jej nieobecność dopiero późnym popołudniem - a w tym czasie będzie już siedzieć w dyliżansie toczącym się ku Bath. Zostawi w pokoju list, zaadresowany do diuka, w którym powiadomi Jego Ekscelencję, że oddaliła się, aby wykorzystać czas wyznaczony na podjęcie decyzji i na rozważenie jej w samotności i w skupieniu. Jednocześnie, zapewniając o posłuszeństwie i oddaniu, obieca, że niezwłocznie prześle wiadomość o bezpiecznym przybyciu na miejsce.

Wszystko poszło jak po maśle. Kiedy dotarła do

stacji pocztowej w Honington, zobaczyła dylizans gotowy do drogi. Skromny neser podróżny Violet ulokowano na dachu i wehikuł ruszył. Była szczęśliwa, że udało się jej zająć miejsce przy oknie.

Pozostali pasażerowie - dwóch kupców, którzy wyraźnie cierpieli po nocnych, mocno zakrapianych hulankach, oraz mieszczanin z *żoną o twarzy jędry* natychmiast odnotowali fakt, iż młoda kobieta podróżuje bez stosownej asysty, a swoją dezaprobatę wyrazili ostentacyjnym milczeniem. Violet, która poza poprzednim wyjazdem z siostrą do Bath nie podróżowała w życiu zbyt wiele, wlepiła wzrok w okno, z zainteresowaniem śledząc przepływający krajobraz.

Zima była tego roku łagodna i wiosna rozkwitła szybciej niż zwykle. W palącym słońcu zaczynały się rozchyłać pąki azalii i magnolii. Violet nawet nie zauważyła, kiedy zajechali do oberży na obrzeżach Yeovil, aby zmienić konie.

Zadowolona, że ma okazję rozprostować nogi, wyskoczyła z powozu na brukowany dziedziniec. Zdążyła już zapomnieć, jak piękna jest tutejsza okolica, której mieszkańcy szczycili się swoimi siedmioma źródłami i leśnym jeziorem o zielonej wodzie. Podobno znajdowało się niedaleko, więc ruszyła powoli ścieżką w jego kierunku. Woń ziół i kwiatów wypełniała nozdrza, a uszy pieścił szmer strumyka. Violet szła przed siebie, zostawiwszy z tyłu obcych, obojętnych ludzi, zatopiona w marzeniach, w których główną rolę odgrywał przystojny kapitan.

W pewnej chwili ocknęła się i przypomniawszy sobie, że postój nie potrwa długo, zawróciła niechętnie

ku gospodzie. Lecz było już za późno. Gdy wyłoniła się z lasu, usłyszała trąbienie i łomot kopyt ruszających koni. Kiedy biegiem wpadła na dziedziniec, zobaczyła tył dyliżansu, toczącego się żwawo ku Bath.

Boże, co za ironia losu, pomyślała z rozpaczą, nie wiedząc, czy ma śmiać się, czy płakać. Po chwili opanowała się na tyle, aby rozsądnie zauważyć, że wszystko jest lepsze niż nuda w Albermarle. Teraz przynajmniej zapachniało przygodą!

Czemu nie miałyby spędzić reszty dnia i nocy w tak przyjemnym miejscu? Jutro pojedzie porannym dyliżansem i odbierze swoje rzeczy na końcowej stacji. Pocieszona tą myślą, wkroczyła do gospody z zamiarem zarezerwowania pokoju. Tymczasem szybko przekonała się, że sytuacja bynajmniej nie jest sielankowa.

- Naturalnie będzie pani potrzebowała siennika na poddaszu - powiedział Ambrose Tankersley, oberżysta, mierząc ją uważnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek, gdy zapytała o nocleg.

- Słucham? - zająknęła się, nagie wytracona z marzeń o miękkim łóżu ze szkandelą*.

- Dla pokojówki, która pewnie czeka na dziedzińcu z bagażami - wyjaśnił oberżysta lodowatym tonem.

- Ach, rozumiem - przytaknęła Violet, do której dopiero teraz dotarło, czemu pan Tankersley z taką niechęcią myśli o przenocowaniu młodej kobiety bez bagaży i bez przyzwoitki. Podejrzewał, że jest osobą lekkich obyczajów, która przybyła tu, aby uwodzić jego męskich

^Szkandela - płaski, zamykany metalowy pojemnik, który wypełniano żarzącymi się węglami i wkładano w pościel, aby rozgrzać ją przed położeniem się - przyp. tłum.

gości! - Rzeczywiście, podróżuję bez służącej - oświadczyła, z godnością unosząc głowę. - Natomiast moje bagaże odjechały parę minut temu do Bath na dachu dylizansu, który nie był uprzejmy na mnie zaczekać.

- Sądzę, droga pani - powiedział bezlitośnie oberżysta - że Frank Jessop miał pełne prawo nie czekać na pasażera, który, wiedząc, że postój trwa krótko, bezmyślnie oddalił się od stacji. Ponadto winna pani wiedzieć, że to miejsce ma swoją renomę i niemile widziane są tu kobiety podejrzanego konduity.

- Podejrzanego konduity? - Violet, przerażona perspektywą spędzenia nocy na dworze, z gorzkim rozbawieniem powitała fakt, że wzięto ją za kokotę sprzedającą swoje wdzięki podróżnym. Już otwierała usta, aby zrobić tępemu gburowi wykład o swoich koneksjach i pochodzeniu, kiedy wyręczył ją dźwięczny, męski głos, który rozległ się za jej plecami.

- Mimo woli usłyszałem, jak właściciel szacownej gospody przemawia w sposób, który, delikatnie mówiąc, określiłbym jako wysoce obraźliwy, a ponieważ uważam się za dżentelmena, postanowiłem dowiedzieć się, czy ktoś nie jest w kłopotcie.

Violet odwróciła się i zrozumiała, czemu jej serce zniecka ruszyło do dzikiego galopu. Od razu rozpoznała przystojnego kapitana. Ciemne oczy mierzyły ją bystrym spojrzeniem spod trójgraniastego kapelusza, a wysoką postać spowijał długi, błękitny płaszcz, uwydatniający szerokie ramiona.

Oberżysta momentalnie spokorniał, wyczuwając niebezpiecznego przeciwnika, i na jego tłustej twarzy pojawił się zawodowo przymilny uśmiech.

- Proszę wybaczyć, kapitanie, ale zaszło tu pewne nieporozumienie, które właśnie zostało wyjaśnione. Doprawdy, szkoda pańskiego cennego czasu na taki drobiazg.

- Bynajmniej nie chodzi o drobiazg, lecz o poważną sprawę - zaprotestowała Violet. - Ten człowiek właśnie zamierza odmówić mi pokoju na noc - dodała, zwracając się do nowo przybyłego.

- Czyżby? - zapytał kapitan, spoglądając na oberżystę tak, że ten spuścił wzrok i nerwowo zaczął wycierać ręce w brudny fartuch.

- Szacowny pan Tankersley nie ma w zwyczaju wynajmować pokoiów kobietom, które podróżują bez towarzystwa i bez bagażu - wyjaśniła Violet. - Obawiam się, że wziął mnie za hm... osobę, która może mieć zły wpływ na jego męskich gości.

- Czy to prawda, panie Tankersley? - głos kapitana był cichy i lodowaty. - Jeśli tak, najwyraźniej nie potrafi pan rozpoznać prawdziwej damy, a taki błąd wymaga natychmiastowych przeprosin. Zwłaszcza, drogi panie, że ma pan do czynienia z moją małżonką.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony nagłym zwrotem sytuacji - Violet czy oberżysta. Pewne było tylko, kto zachował niezmałony spokój.

- Z pańską... małżonką? - wyjąkał Tankersley.

- Zgadza się, mój panie - potwierdził chłodno kapitan.

- W-w takim razie proszę o wybaczenie - oberżysta z głupią miną złożył niezgrabny ukłon. - Ale skąd mogłem wiedzieć? Pani była bez bagaży i służącej, więc miałem chyba prawo się zdziwić. A już to, że odeszła, nie dbając o odjazd dylizansu... niech pan sam powie, czy tak zachowuje się prawdziwy pasażer?

- Różni bywają pasażerowie - odparł kapitan, wykazując kompletny brak zrozumienia. - Ktoś taki jak pan powinien szczególnie znać się na ludziach, nieprawdaż? Zresztą moja żona nie jest zwyczajnym pasażerem. Wystarczy na nią spojrzeć, by zrozumieć, że nie jest przyzwyczajona do korzystania z dylizansów.

Violet poczuła nagle na sobie uważny wzrok dwóch par męskich oczu i mimo woli poprawiła biały kapelusz z podwiniętym rondem i fioletowym strusim piórem, zawadiacko sterczącym nad uchem.

- Tak, kapitanie, *przyznaję* pokornie, że teraz widzę, o co panu chodziło - przyznał uniżenie oberżysta, z nagłym szacunkiem patrząc na wysoką i smukłą kobiecą postać w eleganckiej podróżnej pelisie z niebieskiego aksamitu bramowanego gronostajem, spod którego wystawała koronkowa stójka jedwabnej bluzki. - Karygodnie myliłem się co do pani, madame - powiedział, nie patrząc Violet w oczy. - Jednak ee... niezwykłe okoliczności sprawiły, że... zbyt pochopnie powziąłem podejrzenia.

- Zaiste, zbyt pochopnie - potwierdził kapitan z taką miną, że nieszczęsny oberżysta skulił ramiona, jakby bał się ciosu. - Jednakże pewną okoliczność łagodzącą stanowić mogą wspomniane niezwykłe okoliczności. Otóż moja żona i ja padliśmy ofiarą nieprzyjemnego nieporozumienia, które spowodowało jej przedwczesny wyjazd z domu dzisiejszego ranka.

Violet doznała niemałego szoku, dowiedziawszy się, że nie tylko jest kapitańską żoną, ale do tego taką, która ucieka z domu, a kto wie, może nawet była niewierna. Stłumiła atak śmiechu.

- Wiesz, że zostałam do tego zmuszona - wykrztusiła z trudem, podejmując grę.

- I właśnie z tego powodu - ciągnął, jakby jej nie słyszał - zmuszona była podróżować pospolitym środkiem transportu, bez towarzystwa służby. To również tłumaczy fakt, czemu była tak rozkojarzona, że poszła na spacer, zapominając o rychłym odjeździe dyliżansu.

- Przyznam, że gdybyś wtedy stanął mi na drodze, nie wiem, co bym zrobiła - przyznała Violet ze słodyczą.

- Na szczęście - podsumował z naciskiem kapitan - łaskawy los przerwał tę nieszczęsną eskapadę i pozwolił mi zjawić się w samą porę.

Dopiero teraz popatrzył Violet prosto w oczy i choć szybko przymknęła powieki, znajomy dreszcz zdążył przeszyć jej ciało i poruszyć zmysł). A kiedy silne, długie palce chwyciły jej dłoń, miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

- Czy uważasz, że nie powinienem jechać za tobą, moja śliczna Violet? - zapytał, przyprawiając jej serce o palpitacje zmysłowym, mrocznym spojrzeniem. - Czy zdziwi cię, jeśli powiem, że jesteś bezustannie obecna w moich myślach od czasu naszego rozstania? Mam tylko nadzieję, że ufasz mojemu postępowaniu i bez względu na wszystko, co mogłaś na ten temat usłyszeć, zachowasz przekonanie, że nigdy nie uczynię ci krzywdy.

- Mam przede wszystkim nadzieję, że wszystko, co robisz, ma sens - odparła, zdając sobie sprawę, jak bardzo w tym momencie jest szczery. Czyżby dlatego, że całkiem niepotrzebnie odczuwał wobec niej wdzięczność? Jak sam wcześniej wyznał, miał wrogów gotowych na wszystko, może nawet był człowiekiem ściganym i wyjętym spod prawa. A skoro tak, fakt, iż stanął w jej obronie i przejął za nią odpowiedzialność, z pewnością komplikował jego i tak już trudną sytuację. Teraz Violet zaczęła się zastanawiać, jak szybko oberzysta, nawet niezbyt bystry, zacznie nabierać podejrzeń.

Z drugiej strony miała prawo zachowywać się wyniosłe i chodzić własnymi ścieżkami. Jest w końcu ła-

dy Violet Rochelle, w której żyłach płynie książęca krew. Dlatego nie może pozwolić, aby ten rycerski kapitan pogrążył się przez nią.

- Z pewnością wiesz dobrze, mój drogi, że nigdy nie wierzyłam w ani jedno oszczerstwo wypowiedziane w związku z tobą - oświadczyła z mocą. - Nie mniej jednak nie mogę zapomnieć dramatycznych okoliczności naszej ostatniej rozmowy. Dlatego uważam, że dla twojego dobra nie...

Chciała zasugerować mu, aby nie brnął dalej w kłamstwo. Postanowiła położyć kres tej farsie i zaprzeczyć, iż jest czyjąkolwiek żoną, gdy nagle urwała, zobaczywszy, że przystojna twarz kapitana blednie jeszcze bardziej, a na jego czole zaczynają perlić się krople potu. Palce, trzymające jej dłoń, zaciskały się coraz bardziej kurczowo. Zerknęła w dół i tłumiąc okrzyk przerażenia, zobaczyła sączącą się spod rękawa strużkę krwi.

- Odtąd pozostanę najlepszą żoną na świecie! - do kończyła szybko w obawie, że z przejęcia załamie się jej głos. - Wybacz mi, kochanie, zachowałam się ka rygownie. Miałeś absolutną rację. Wszystko było tylko głupim nieporozumieniem. - Przynęła się bliżej do kapitana i miłośnie patrząc mu w oczy, przytknęła krawędź swej futrzanej mufki do *krwawego* śladu, aby krople nie spadły na podłogę. Poczula, że mąż czyzna zeszytniał, kompletnie zaskoczony.

Nagły błysk czujności pojawił się w ciemnych oczach.

- Nie mam ci czego wybaczać, moja miła - powiedział kapitan. - Twoje wzburzenie było całkowicie zrozumiałe.

- Dzięki, kochany - odparła niemal bez ironii. - Nie podejrzewałeś mnie chyba, że kiedy usłyszałam, iż cię raniono, zadowolłam się siedzeniem w domu i czekaniem, aż wstaniesz z łóżka bóleści i wrócisz do mnie?

Ponowny, jeszcze silniejszy błysk zaskoczenia w ciemnych oczach nappełnił ją przewrotnym zadowoleniem. Po raz pierwszy udało się jej przebić przez mur chłodnej rezerwy tego człowieka.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie wiem, czego jeszcze mogę się po tobie spodziewać, najmilsza - odparował kapitan z ostrzegawczym uśmiechem. - Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

- I zrobię to jeszcze nie raz - powiedziała, przema-gając nagły ucisk w gardle. Kapitan zachwiał się i miała wrażenie, że zaraz upadnie. - O, mój najmilszy! -wykrzyknęła z przejęciem, przytrzymując go z całych sił. - Ty słabiesz! Wszystko przez to, że za wcześnie "wstałeś z łóżka.

Ignorując kolejne ostrzegawcze spojrzenie kapitana, Violet popatrzyła na oberżystę.

- Myślę, kochanie, że wybaczmy panu Tankersleyowi jego potknięcie - oświadczyła chłodnym tonem księżniczki krwi, władczo unosząc głowę. - Zda je się, że zamierzał pan zaproponować nam pokój? Oczywiście najlepszy, jakim pan dysponuje, najchętniej z osobną sypialnią.

Tankersley, uszczęśliwiony, że wreszcie będzie mógł uwolnić się od towarzystwa tego diabelskiego oficera i jego szalonej żony, z ochotą spełnił żądanie Violet.

- Z przyjemnością, madame - powiedział. - Mam

coś, co będzie odpowiadało szanownemu państwu. Proszę za mną, jeśli pozwolicie.

Schylił się po kuferek kapitana i żwawo podążył na górę po stromych schodach. Violet, wspierająca coraz bardziej słabnącego swego towarzysza, miała nadzieję, że ich pokoje nie leżą daleko. Z obawą zerknęła na pobladłą twarz i zaciśnięte w bólu usta. Niewiele wiedziała o opatrywaniu ran, nie mówiąc już o ich leczeniu. Mimo to była pewna, że ranny osłabł z powodu upływu krwi. Gdyby obrażenia były ciężkie, nie stałby i nie rozmawiał przez tyle czasu.

Z ogromną ulgą przekroczyła próg przytulnego saloniku o podłodze pokrytej wzorzystym dywanem, z pluszowymi kotarami, dwoma fotelami o wysokich oparciach, stoliczkiem do herbaty i komodą. Szerokie drzwi prowadziły do sypialni, którą niemal całkowicie wypełniało solidne, podwójne łóżko.

- Bardzo tu miło - powiedziała do gospodarza, który ukląkł przy kominku i podpalał przygotowane drewno. - Jeśli będzie pan tak uprzejmy, proszę jak najszybciej przysłać nam herbatę, gorącą wodę i ręczniki. Ponadto, jak sam pan rozumie, mój małżonek wolałby coś bardziej wzmacniającego niż tylko herbata.

- Brandy, jeśli można - odezwał się kapitan, który odszedłszy kilka kroków od Violet, stanął w drzwiach sypialni i oparł się ręką o framugę. - Albo porto, jeśli nie ma nic innego.

- Na pewno znajdzie się coś, co posmakuje szanownemu panu - zapewnił oberżysta, wycofując się z ukłonem na korytarz.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi, Violet rzuci-

ła się ku kapitanowi. W samą porę, gdyż zachwiał się i zaczął osuwać, trzymając się kurczowo framugi.

- Szybko, musimy położyć cię do łóżka - powiedziała, podtrzymując go w pasie.

- Niech to szlag! - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Nie chciałem ciebie w to mieszać. Co też cię podkusiło, żeby spóźnić się na dylizans?

- Nieważne. - Aż stęknęła z wysiłku, kiedy oparł się na jej ramieniu całym ciężarem. - Czy jesteś poważnie ranny?

- Byłem już w gorszych opalach... i jakoś przeżyłem - oznajmił, z jękiem padając na łożo. - To tylko rana postrzałowa. Ciągłe krwawi. Te cholerne psy są na moim tropie. Potrzebuję... trochę odpoczynku, to wszystko. - Kiedy Violet sięgnęła do zapinki płaszcza, chwycił jej przeguby i unieruchomił. - Obiecuj mi, że bez względu na to, co się stanie, jutro rano wsiądziesz w dylizans i odjedziesz stąd - powiedział cicho, z naciskiem. - Nie chcę, żebyś ryzykowała życie z mojego powodu.

- Nie mów tyle, kapitanie, bo niepotrzebnie tracisz siły - upomniała go, zdziwiona spokojnym tonem własnego głosu. Tymczasem wewnątrz drżała jak osika, z przerażeniem myśląc o tym, co zobaczy za chwilę. - Lepiej nie utrudniaj mi zadania, dobrze? Sam rozumiesz, że *muszę* jak najszybciej dostać się do rany.

Po czym, ignorując jego poirytowane spojrzenie, jednym zdecydowanym ruchem rozchyliła płaszcza, odsłaniając rękaw przesiąknięty krwią.

- Do stu tysięcy diabłów, mój kapitanie, to nie jest żadna lekka rana - stwierdziła, starając się nie ze mdleć. - Ty potrzebujesz lekarza!

- Nie! - warknął przez zaciśnięte zęby. - Żadnego lekarza. - Kula... - ciężko łapał oddech - przeszła przez mięsień... czysto, nie tknęła kości. Wystarczy przemyć i zabandażować. Szybko się z tego wyliżę.

- Dobrze, kapitanie - Violet energicznie zdjęła kapelusz i pelisę - zaraz się tym zajmiemy. - Pochyliła się nad rannym i zaczęła rozpinać guziki jego munduru. - Nie przypuszczam, byś powiedział mi, w jakich okolicznościach zostałeś ranny - mówiła, pragnąc zagadać własne przerażenie. - Ale przynajmniej mógłbyś mi zdradzić, jak masz na imię. Bo jeśli nie, wkrótce nie będę wiedziała jeszcze, jak cię nazwać w rozmowie z panem Tankersleyem.

Przygryzła wargi i z determinacją ściągnęła z mężczyzny zakrwawiony mundur. Syknął z bólu, a twarz poszarzała mu jak popiół, lecz znosił wszystko bez skargi. Violet odetchnęła głęboko na widok czerwonego rękawa białej koszuli. Nie namyślając się, oderwała go jednym ruchem. Wlot i wylot po kuli, która przebiła biceps, pulsowały żywą krwią.

- To cud, kapitanie, że coś jeszcze krąży w twoich żyłach - skomentowała.

- Rana wygląda na groźniejszą niż jest w rzeczywistości - skrzywił się. - Całe szczęście, że nie należysz do tych, co mdleją na sam widok krwi.

- W ogóle nie należę do tych, co mdleją na jakikolwiek widok - zapewniła buńczucznie. Używając całej siły woli, tłumiała narastającą w niej histerię. Starła się sobie przypomnieć wszystko, co czytała na temat ran - nawet sceny z powieści, gdzie bohater został ranny. Najważniejsze było powstrzymanie krwawienia.

- Od razu wyczułem, że jesteś nietuzinkową kobietą - zaznaczył z lekką ironią.

- Ależ skąd, jestem po prostu okropnie przyziemna - powiedziała, odrywając drugi rękaw, aby prowizorycznie obwiązać nim ranę.

- O tak, i bardzo życiowa - zakpił. - Tak *życiowa*, że podróżujesz bez pokojówki i pozwalasz, aby uciekł ci dyliżans z bagażem.

Gdzie, do licha, jest ta obiecana gorąca woda i brandy? gorączkowała się w myśli Violet. Ranę trzeba koniecznie przemyć, zanim zostanie zabandażowana. Czekwała jak na zbawienie, aż rozlegnie się pukanie do drzwi.

- Kiedy mi uciekł, właśnie myślałam o tobie - rzuciła. - Uważaj, żeby opatrunek się nie zsunął - dodała, bezskutecznie usiłując wytrzeć dłonie w resztki koszuli. Wreszcie z irytacją sięgnęła po rękawiczki z niebieskiej kozłej skóry. - Zaraz wracam, kapitanie,

- Dane - powiedział. - Nazywam się Trevor Dane, moja słodka Violet.

- Miło mi ~ odparła odruchowo, a w następnej chwili niemal straciła oddech z wrażenia. - Nie ruszaj się i czekaj na mnie - powiedziała i wybiegła z pokoju. Na korytarzu oparła się o ścianę, by się uspokoić. Kapitan Trevor Dane, bohater niezliczonych morskich kampanii; człowiek, o którym jej wuj, komandor Richard Rochelle, wyrażał się z najwyższym uznaniem - leżał teraz na łożu boleści, zdany na jej łaskę! Nagle wiele spraw stało się dla niej jasne, łącznie z faktem, że kiedy go spotkała, sprawiał wrażenie, że jest po ciężkiej chorobie. Przecież czytała w „Gazette”, że

Dane został ciężko ranny w czasie bohaterskiego ataku na francuski okręt u wybrzeży Morza Śródziemnego. Działo się to na kilka miesięcy przed ich niespodziewanym spotkaniem u Henry'ego Grandville'a.

I było coś jeszcze. Violet zapamiętała dokładnie, jak ciotka Roanna pisała do niej oburzona, że kapitan Trevor Dane przejął francuski okręt osobiście, w brawurowym wypadzie, a w nagrodę za ten wyczyn nie tylko nie dano mu awansu, ale pozbawiono dowództwa. Richard, mąż Roanny, obawiał się poważnie, że Dane naraził się komuś bardzo potężnemu i będzie musiał zapłacić własną karierą, a może i głową.

Ale komu? I dlaczego? Kto w Anglii pragnąłby śmierci takiego patrioty i wojennego bohatera? zastanawiała się Violet, czując lodowaty dreszcz w krzyżu. I po co Dane zakradał się do domu sir Henry'ego?

Tej tajemnicy nie potrafiła rozwikłać, przynajmniej na razie. Za to z tym większą jasnością uświadomiła sobie, że tylko ona stoi w tej chwili między kapitanem Dane a wrogami, którzy życzą mu śmierci.

Nie opuści go w potrzebie, poprzysięgła sobie, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu na widok nadchodzących dwóch pokojówek i zażywej jejmości o dobrodusznym obliczu i energicznych ruchach, która niewątpliwie musiała być panią Tankersley.

Od razu dało się wyczuć, że, jak przystało na żonę oberżysty, pani Tankersley była wtajemniczona w sytuację i gotowa do działania. Musiała już wcześniej wydać stosowne dyspozycje, gdyż do pokoju wniesiono nie tylko herbatę, wodę i ręczniki, ale i kilka drobiazgów niezbędnych dla damy, która pozostała

w podróży bez bagażu. Znalazła się bawełniana nocna koszula i czepiec dla Violet, które, jak usłużnie poinformowała gospodyni, należały do jej synowej. Nie zapomniano także o szczotce i grzebieniu.

- Marn nadzieję, że szanowna pani nie *pogniewa* się, że przyniosłam te rzeczy bez pytania - powiedziała jejmość, starannie układając wszystko na komodzie.

- Ależ skąd, przeciwnie - uśmiechnęła się Violet. - Jestem pani ogromnie wdzięczna.

- Nie ma za co - odparła gospodyni, sprawnie dyrygując dziewczynami. - To i tak za mało, aby naprawić omyłkę mojego małżonka. Dobry z niego chłop, ale zdarza mu się za szybko wydawać sądy.

- Już dawno zapomniałam o tej sprawie - powiedziała Violet, z niepokojem myśląc o rannym leżącym w sypialni. - Nie mam zwyczaju chować urazy, proszę mi wierzyć. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę zająć się swoim kapitanem.

Violet nie omieszkała zauważyć, że kobieta z zaciekawieniem zerka w stronę sypialni. Pani Tankersley była bez wątpienia o wiele bardziej bystra *od* swojego małżonka i z pewnością powzięła jakieś podejrzenia. Domysły Violet zamieniły się w pewność, kiedy jejmość gestem odesłała panny służebne i starannie zamknęła za nimi drzwi.

- Moja miła pani ~ zaczęła - możesz sobie mówić, że to nie mój interes, ale Tankersley powiedział mi, że kapitan nie wyglądał za dobrze, zgadza się? Nie musi mi się pani tłumaczyć, jeśli nie zechce, ale ta pla ma na sukni mówi sama za siebie.

Violet, kompletnie zaskoczona, popatrzyła po sobie i z przerażeniem dostrzegła krwawą plamę na spódnicy. Nic gorszego nie mogło się stać - właśnie teraz, kiedy natychmiast powinna wrócić do kapitana.

- Moje ty biedactwo! - ciągnęła pani Tankersley za troskanym tonem. - Pozwól, żebym ci pomogła. Mo że i jestem starą, wścibską kobietą, ale jak trzeba, po trafię trzymać język za zębami.

Czy rzeczywiście potrafi? zastanawiała się gorączkowo Violet, niepewna, czy może powierzyć gospodyni swój sekret. Z jednej strony nie chciała dodatkowo narażać Dane'a, ale z drugiej czuła, że pomoc starszej, doświadczonej kobiety może być nieoceniona. Lepiej będzie dopuścić pocziwą oberżystkę do spisku, niż zbywać ją, pozostawiwszy na pastwę domysłów. A nuż wygada się przed mężem lub którymś z gości?

Violet wzięła głęboki oddech i popatrzyła pani Tankersley prosto w oczy.

- Mój mąż to kapitan Trevor Dane z „Antiope” - powiedziała. - Został postrzelony po drodze, kiedy wracał, by spotkać się ze mną. Boję się o jego zdrowie, ale nie pozwala mi wezwać doktora. Sądzę, że by łąby lepiej, aby nikt nie dowiedział się, że tu jest, w dodatku w takim stanie. Podejrzewam, że kapitan ma w Anglii wrogów, którzy nastają na jego życie, choć nie chce mi o tym powiedzieć. - Głos zaczął jej drżeć; długo tłumione napięcie coraz bardziej dawało znać o sobie. - Służył wiernie królowi i ojczyźnie, na rażając dla nich życie. Nie zasłużył na taką śmierć, pa ni Tankersley.

- W takim razie zrobimy wszystko, aby nie umarł -odparła kobieta z wojowniczym błyskiem w oczach. -Straciłam syna w bitwie nad Nilem i myślę, że Anglia posłała zbyt wielu swoich synów na wojnę, aby pozwolić, żeby jeszcze jeden zginął z ręki skrytobójców. I to samo powiem mojemu mężowi, jeśli będzie mnie pytał.

- Serdeczne dzięki, pani Tankersley - wyszeptała wzruszona Violet, ściskając dłonie kobiety. - Nigdy tego pani nie zapomnę. Ale teraz musimy się pospieszyć. On stracił już za wiele krwi.

Gdy weszły do sypialni, zobaczyły kapitana leżącego bez przytomności na podłodze przy łóżku. Violet dziękowała Bogu, że zgodziła się na pomoc gospodyni. Dane musiał stoczyć się z łóżka w ataku gorączkowych majaczeń. Pani Tankersley udowodniła, że jest prawdziwie krzepką kobietą mimo swego wieku. Wspólnym wysiłkiem udało im się wtaszczyć nieprzytomnego mężczyznę z powrotem na łóżko. Potem zaczęły zdejmować z niego ubranie.

Dziwne, ale Violet nie czuła się ani trochę zmieszana czy zawstydzona, gdy ściągała kapitanowi buty i pończochy, a potem, z pomocą gospodyni, spodnie i pantalony. Była zbyt zaabsorbowana swoim zadaniem, by zwracać uwagę na wyłaniającą się męską nagość. Dopiero kiedy legł przed jej oczami w całej okazałości, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu widzi nagiego mężczyznę, i krew uderzyła jej do twarzy. Musiała przyznać, że jest piękny - ale jeszcze większe wrażenie niż silne, pięknie zbudowane ciało wywarła na niej cała kolekcja

blizn. Doprawdy, ten człowiek był chodzącą kroniką poświęcenia dla króla i ojczyzny! Violet doznała prawdziwego szoku, gdy zobaczyła, że został postrzelony w plecy. Jeszcze świeża, wielka różowa blizna świadczyła, że chyba nigdy w swojej karierze nie otarł się tak blisko o śmierć.

Później, po wyjściu gospodyni, kiedy Dane, starannie opatrzony, spał, przykryty kołdrą, Violet opadła bezsilnie na krzesło u wezłowia łóżka i pogrążyła się w niewesołych rozmyślaniach. Groza ogarniała ją na myśl, że kapitan mógł odejść na zawsze, zanim się tu spotkali. Miał szczęście, gdyż poprzednia kula wyszła pod prawym obojczykiem, nie naruszając żadnego z ważnych organów ani nawet żeber. A jednak rana musiała być ciężka, podobnie jak inne odniesione wcześniej, których historii nie znała. Blizna po cięciu szabłą, idąca przez żebra, o nierównych krawędziach, była zapewne wspomnieniem starcia na pokładzie, a może pojedynku - podobnie jak cienka, biała szrama na policzku.

Doprawdy, myślała, marszcząc ciemne, jaskółcze brwi, kapitan Trevor Dane zdążył już wystarczająco zasłużyć się dla króla i ojczyzny, gromadząc więcej blizn niż niejeden wiekowy weteran. Zejście na ląd okazało się dla niego równie, a może nawet jeszcze bardziej niebezpieczne niż życie na pokładzie wojennego okrętu. Przy ich pierwszym spotkaniu Dane sprawiał wrażenie człowieka, który ciężko chorował. Teraz był ranny. Czy ktoś poza nią przejmuje się jego losem? Czy nie ma ojca, matki, siostry? Albo kochanki?

Myśl, że kapitan mógłby mieć kobietę, która czeka na niego i tęskni, nie była przyjemna dla Violet. Dane jest żeglarzem, a tacy potrafią nie wracać do domów miesiącami, a nawet latami. Gdyby miał żonę, skazałby ją na samotność, przerywaną krótkimi chwilami powrotów, Ale nawet kochanka, tak samo jak żona skazana na bezustanne czekanie, nie może bez końca odkładać decyzji o małżeństwie i dzieciach. Violet uświadomiła sobie, że kapitan pocałował ją dwa razy. Raczej nie uczyniłby tego, gdyby jego serce należało do innej.

Leciutki, zmysłowy uśmiech zaigrał na wargach Violet na wspomnienie tamtej chwili. Jakże różniły się te pocałunki od delikatnych muśnięć wargami składanych na jej dłoniach przez tych, którzy deklarowali, że panna Rochelle jest ich niebiańskim natchnieniem.

Kiedy wargi Dane'a spadły na jej usta, ich dotknięcie paliło ogniem, który stał się diabelską podniecią dla zmysłów. W objęciach kapitana poczuła się jak prawdziwa kobieta w ramionach prawdziwego mężczyzny. Ale jeszcze nigdy nie spotkała mężczyzny takiego, jak kapitan Trevor Dane.

Z trudem powstrzymała odruch, aby czułym gestem odgarnąć rannemu kosmyk włosów z czoła. Nie zrobiła tego, bo nie chciała go obudzić. We śnie wyglądał młodziej. Twarde rysy złagodniały, a gorzkie bruzdy wokół ust wygładziły się. Zniknął wyraz czujności i władcza mina człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Zupełnie jak gdyby Dane odłożył na bok swoje kapitańskie „ja” wraz z mundurem i szablą.

Violet dopatrzyła się w jego rysach ukrytej wrażliwości, choć nie wskazywała na nią twarda linia szczęki pokrytej cieniem zarostu. Wyczuła, że pod powłoką silnego ciała żołnierza ukrywa się subtelność, której nie zdołały zabić wojenne doświadczenia.

Nagle Violet gwałtownie wciągnęła powietrze. Czarne oczy, błyszczące od gorączki, patrzyły wprost na nią.

- *Lynette? C'est toi?** - wyszeptał. Palce zacisnęły się żelaznym chwytem na przegubie Violet.

- Nie, kapitanie - odpowiedziała, zaskoczona gwałtowną reakcją mężczyzny. - Nie...

Nieprzytomne spojrzenie nabrało bolesnego wyrazu.

- *Non, c'est impossible. Lynette est morte.*** - Puścił ją i przymknąwszy oczy, odwrócił głowę, zasłaniając twarz zdrowym ramieniem. - Cholerne złudzenia - wymamrotał. - Lynette odeszła i teraz Philippe ma tylko mnie. - Westchnął ciężko, a ręka opadła mu bezwładnie wzdłuż ciała. - On nie powinien być sam - powiedział glucho. - Jaki czort podkusił ją, żeby je chała do Blackthorn?

Violet tkwiła nieruchomo jak skamieniała, a serce mocno waliło jej w piersi. Dane zamilkł i znowu spał spokojnie. Zdawała sobie sprawę, że majaczył, a teraz znów śni. Pewnie o ukochanej, pomyślała, śledząc mimowolne ruchy gałek ocznych pod powiekami. Doznała dziwnego uczucia ni to żalu, ni to zazdrości, lecz szybko zdominowało je głębokie współczucie dla

ⁱ¹"Franc. - Lynette, czy to ty? ^{*1}"Franc. - Nie, to niemożliwe, Lynette nie żyje.

kapitana. W głosie Dane'a było wszystko - gorycz,
rozpacz i gniew. I poczucie winy. Boże, jak musiał ko
chać tamtą kobietę!

;

Ale kto nie rozpaczałby po stracie ukochanej osoby? Aż za
dobrze pamiętała moment, gdy zabrakło jej rodziców. W
takich chwilach człowiek na przemian nienawidzi siebie i tych,
co odeszli. Dopiero z czasem ból i żal łagodnieją. Przychodzi
uspokojenie, które pozwala żyć dalej.

Sama pogodziła się wreszcie ze stratą, lecz zachowywała
się biernie, pozwalając nieść się nurtowi codziennych spraw.
Czekała, kiedy znów będzie mogła pozwolić sobie na uczucia.
I trwałaby dalej w tym dziwnym stanie, przypominającym sen
na jawie, gdyby nie zaburzył go dziadek. Obudziłam się,
dumała z gorzkim uśmiechem, i stoję na krawędzi, gotowa dać
krok w nowe, inne życie.

Nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że uda się jej uniknąć
konsekwencji swego buntu. Wyjedzie z Yeovil jako kobieta o
zrujnowanej reputacji lub jako mężatka. Trzeciego wyjścia nie
ma. Patrząc na mężczyznę leżącego obok, uznała, że wolałaby
raczej to drugie.

Czemu nie? Przecież właśnie takiego człowieka za-
pragnęłaby na męża, gdyby tylko pojawił się wśród jej
adoratorów. Ale kapitan był jak najdalszy od proszenia o jej
rękę i nie wątpiła, że kiedy się przebudzi, pošle ją do
wszystkich diabłów. Dla kogoś takiego jak on najważniejsza
jest służba dla kraju i z pewnością nie będzie chciał obciążać
się małżeństwem. Zwłaszcza teraz, gdy wpadł w poważne
tarapaty.

Nalegał, by Violet odjechała porannym dylizanssem. Mógłby się z nią ożenić, aby ratować jej reputację, ale zamiast tego wołał ją odesłać. W ten sposób zyskałby pewność, że będzie bezpieczna.

Tym gorzej dla niego, pomyślała, kuląc się w pożyczonej koszuli. Ogień na kominku dogasał i w pokoju robiło się coraz chłodniej. Do tego zaczęły ją boleć plecy i poczuła, że nie wysiedzi dłużej na twardym krześle.

Czuwanie przy rannym było wyczerpujące. Dane znów zaczął majaczyć. Czasami wykrzykiwał *coś po* francusku, lecz częściej posługiwał się angielszczyzną nieprzeznaczoną dla uszu damy. To, co mówił, nie miało większego sensu, ale kazało Violet myśleć o wojnie, która naznaczyła życie tego dzielnego człowieka.

Nigdy nie potrafiła pojąć, co pcha mężczyzn do walki, choć niekiedy gdzieś w głębi duszy skrycie sama pożądała dreszczu przygody.

Mężczyźni z rodu Rochelle walczyli od jego zarania. Jeden służył pod Wilhelmem Zdobywcą; inny za zasługi wojenne otrzymał tytuł barona i ziemie w De-von. Jego następcą pomnożył sławę rodu w trzech kampaniach Wilhelma II w Walii, zyskując kolejne nadania ziemskie*.

I earl Rotham, i markiz Vere, i pierwszy diuk Al-bermarle, wszyscy z rodu Rochelle, byli żołnierzami, a później mężami stanu, znanymi z twardej polityki

[^]Wzmianka dotyczy XI wieku. Wilhelm I zwany Zdobywcą, księżę Normandii, podbił Anglię i założył dynastię normandzką. Wilhelm II był jego synem - przyp. tłum.

i wojennego kunsztu. Czemu więc lady Violet Rochelle nie miałyby odziedziczyć po nich wojowniczej natury?

Jej brat Gideon, markiz Vere, który w wieku dwudziestu jeden lat miał za sobą trzy zwycięskie pojedynki, jest z pewnością Rochelle^{em} z krwi i kości, rozmyślała nie bez ironii. A siostra Elfrida, urodzona pod wojowniczym znakiem Barana, wiele razy udowodniła, że potrafi odważnie bronić swoich bliskich.

Pod tym względem Violet bardzo różniła się od rodzeństwa. Zamiast brać byka za rogi, wołała uciekać w samotność. Kapitan Trevor Dane, który tak niespodziewanie zjawił się w jej życiu, należał do tej samej kasty urodzonych wojowników co jej rodzeństwo. Nagle Violet zrozumiała, że ucieczka w samotność nie jest dobrym wyjściem w obliczu zagrożenia i przemocy. Czy Violet la Rochelle podejmie wyzwanie i ruszy do walki, aby bronić tego, co jest jej drogie?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, podobnie jak na wiele innych, które ją dręczyły. Wiedziała tylko, że jest skrajnie wyczerpana, przemarznięta i najchętniej wślizgnęłaby się choć na chwilę do ciepłego łóżka.

A właściwie czemu nie miałyby tego zrobić? Jej reputacja i tak już bezpowrotnie została zniszczona w chwili, gdy wkroczyła z obcym mężczyzną do tego pokoju. Dane znów spał spokojnie, równo oddychając, i Violet nabrała nadziei, iż ma za sobą kryzys. Gorączka spadła, co świadczyło, że w ranę nie wdało się zakażenie.

Może przysłużył się temu upływ krwi, zastanawia-

ła się, ziewając. Doktorzy często upuszczają krew pacjentom w gorączce. Brandy, którą przemyła ranę, też pewnie zrobiła swoje.

W każdym razie nic nie zaszkodzi jej pacjentowi, jeśli położy się na chwilę obok niego i zdrzemnie odrobinę. Podniosła się z krzesła, pokuśtykała do łóżka i z ulgą wślizgnęła pod kołdrę obok Dane'a. Po chwili już spała.

Dane budził się powoli i nie otwierając jeszcze oczu, zastanawiał się, co za ciężar spoczywa mu na piersi. Ów ciężar łączył się z miłym doznaniem czyjejs bliskości. I jeszcze delikatny zapach lawendy... Było mu tak dobrze, że zamierzał ponownie zasnąć, aby jeszcze nie wracać do rzeczywistości.

Nagle w ułamku sekundy pojął, kto tuli się ufnie do jego boku. Natychmiast otworzył oczy. Wielki Boże, pomyślał, gdy odwrócił głowę i ujrzał śliczną buzię, która od pewnego czasu bez przerwy towarzyszyła mu w snach.

Po kilkunastu przyspieszonych uderzeniach serca uznał, że tym razem jednak nie śni. Jedna ręka kobiety spoczywała przerzucona przez jego nagą pierś, a lekki oddech ogrzewał mu szyję i ramię.

Wreszcie doszedł do wstrząsającego wniosku - oto goły jak go Pan Bóg stworzył leżał w jednym łóżku z pięknotką, która ułatwiła mu ucieczkę z posiadłości Granville'a! Piekło i szatani!

Zacisnął powieki, usiłując uprzytomnić sobie, jak mogło dojść do tej skandalicznej sytuacji. A więc było to tak...

Kiedy stało się dla niego jasne, że przez tę cholerną dziurę w ramieniu nie podoła dalszej drodze, postanowił zatrzymać się w Yeovil, aby trochę wydo-brzeć, choć zdawał sobie sprawę, ile ryzykuje. Jakby tego było mało, zaraz za progiem natknął się na śliczną pannę, która znalazła się w opałach z powodu tego gbura, oberżysty. Tylko ślepiec mógłby wziąć damę krwi za kobietę lekkich obyczajów!

Z leniwym uśmiechem przywołał obraz niebiańskiej istoty, wystrojonej według najnowszej mody, w białym, aksamitnym kapelusiku z zawadiackim piórem, kontrastującym z kruczą czernią włosów. Promieniowała wdziękiem i urodą, a jednocześnie wyczuwało się wokół niej aurę dystynkcji, właściwej osobie szlchetnego rodu.

Znów otworzył oczy i wpatrzył się w śpiącą. Na Boga, w rzeczywistości była jeszcze piękniejsza niż w jego sennych marzeniach! Do tego musiała mieć dobre serce, gdyż jego chore ramię było starannie zabandażowane i opatrzone. Chociaż widzieli się przedtem tylko raz i nawet nie znała jego imienia, nie opuściła go w potrzebie.

Dane doznał palącego uczucia wstydu. Niezdolny do zadbania o siebie, musiał pozostać na łasce kobiety. Obcy mężczyzna na łożu boleści nie jest odpowiednim towarzyszem dla damy, a zwłaszcza damy wysokiego rodu. Ale ta kobieta była inna niż wszystkie, które znał.

Kim ona jest, do kroćset, i co robiła w dylizansie bez żadnej asysty, nawet pokojówki? zastanawiał się. Kosztowny strój i arystokratyczny sposób bycia zwio-

diy Dane'a. Było jasne, że piękna Violet ma poważne kłopoty. Tylko to mogło tłumaczyć samotną wyprawę tak pospolitym środkiem transportu. Może wydała ostatni grosz na elegancki podróżny strój, aby udać się - no właśnie, dokąd i po co?

Dane zmarszczył brwi, uświadamiając sobie z nagłą jasnością, jaki mógł być powód desperackiej eskapady. Fakt, że nie przedstawiła mu się, tylko potwierdzała przypuszczenia. Chryste, czyżby Violet była porzuconą metresą jakiegoś bogatego dżentelmena? Nie, tylko nie ona! Bolesne wspomnienie, zepchnięte w niepamięć, wróciło z upiorną *jasnością*.

Przez długą chwilę dwie pary oczu - czarne i fioletowe, wpatrywały się w siebie. Dane czekał, aż piękne stworzenie u jego boku wróci do rzeczywistości i uświadomi sobie, w jakiej sytuacji się znalazło. Ale nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewał się reakcji Violet.

- Witaj, kapitanie Dane - odezwała się dźwięcznym, pogodnym głosem, wyraźnie rada, że pacjent czuje się lepiej.

- Witaj, słodka Violet - odpowiedział, ciągle jeszcze z lekką rezerwą.

- Przebudziłeś się - stwierdziła, skonfundowana jego chłodem.

- Jak widzisz - potwierdził bez drgnienia powiek. -I z góry pragnę przeprosić za kłopot, jaki ci sprawiłem.

- Niepotrzebnie się sumitujesz, kapitanie - zapewniła. - Byłeś w takim stanie, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko zająć się tobą, gdyż majaczyłeś w gorączce.

- Ta okoliczność niewątpliwie tłumaczy fakt, że znalazłem się w łóżu, lecz w żaden sposób nie wyjaśnia, czemu ty, do diaska, jesteś ze mną. O ile pamiętam, zanim zapadłem w malignę, kazałem ci odjechać stąd pierwszym porannym dylizansem - powiedział twardo. Jeśli oczekiwał, że Yiolet będzie się kajać, grubo się przeliczył. W odpowiedzi wyzywająco uniosła brew.

- Poranny dylizans już dawno odjechał, więc jak, twoim zdaniem, miałabym się stąd oddalić? Piechotę? Zresztą - stwierdziła - nie widzę możliwości, abyś dał sobie radę bez mojej pomocy. Wiem, że bywałeś w większych opalach, ale prawda jest taka, iż w tej chwili nie potrafisz o własnych siłach wstać z łóżka, mój dzielny kapitanie.

Chcąc nie chcąc, musiał przełknąć tę gorzką pigułkę. Rana pulsowała tępym bólem, a ciało, które zawsze tak sprawnie *mu* służyło, było drżące i słabe. Z irytacją patrzył, jak Violet delikatnymi dotknięciami sprawdza bandaże, opasujące mu ramię.

- Marne masz pojęcie o mojej osobie, mój panie - powiedziała zadowolona, że opatrunek nie wymaga zmiany. - Gorzej, obrażasz mnie, sądząc, że mogłabym opuścić przyjaciela w potrzebie. - Podparła brodę dłonią i popatrzyła mu śmiało w oczy. - Przepraszam, jeśli uważasz, że znalazłam się w niewłaściwym miejscu, kapitanie. Zaręczam, iż miałam szczerzy zamiar zniknąć z twego łóżka, zanim się obudzisz.

- Ale nie znikłaś - podsumował chłodno.

- No cóż, w pewnym momencie stwierdziłam, że skoro mojej nadszarpniętej reputacji i tak już nie da się uratować, nie widzę sensu, abym miała marznąć

przez całą noc na niewygodnym krześle. Toteż uległam pokusie wślizgnięcia się do ciepłego łóżka. Nigdy nie byłam dobrego zdania o ludziach, którzy na siłę odgrywają męczenników. Jak myślisz - spoważniała -czy ja czasem nie cierpię na niedorozwój moralności?

Dane wwiercił się w nią spojrzeniem czarnych jak węgle oczu, w których błyszczwały jeszcze resztki gorączki. Niedorozwój moralności, dobre sobie!

Ta słodka istota po prostu przyznała się, że jest kobietą upadłą, nie mającą żadnych zahamowań przed położeniem się do łóżka z mężczyzną, o którym właściwie nic nie wiedziała!

Nic dziwnego, że nie czuła się speszona faktem, iż nieznanym, który w środku nocy wpadł do jej sypialni, zaczął ją całować. Przeciwnie, odwzajemniała pocałunki z wyraźną uciechą, a na dodatek sprowokowała go, aby pocałował ją raz jeszcze!

Zaiste, gdyby była czyjąś porzuconą utrzymanką, nie dbałaby zbyt o swoją i tak już mocno nadszarpniętą reputację. Z niespodziewanym uczuciem gniewu pomyślał o jej niewdzięcznym protektorze, który bez skrpułów pozbył się kochanki, gdy mu się znudziła. Utrzymanką czy nie, absolutnie nie zasługiwała na tak haniebnny los. Tym bardziej *nie* powinna narażać się na zemstę okrutnych morderców tylko dlatego, że z całym poświęceniem pomogła człowiekowi, którego ledwo co знаła! Co będzie, jeśli uznali Violet za jego współniczkę?

- Odnoszę wrażenie - stwierdził z posepną miną -że zupełnie nie dbasz o swoje bezpieczeństwo. Do kroćset, przecież nie masz najmniejszego pojęcia, kim

jestem i na co się narażasz, pomagając mi - wybuchnął. - Musisz natychmiast zniknąć z tego łóżka i z tej gospody, zanim zaczniesz żałować, że w ogóle mnie poznałaś.

W odpowiedzi Violet przylgnęła do niego mocniej, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie zamierza się nigdzie wynosić.

- Zdaje się, że usiłujesz mnie nastraszyć, mój kapitanie - mruknęła rozkosznie.

Nastraszyć? To raczej on się bał. *On*, który stojąc na kapitańskim mostku z kamienną twarzą szykował się do walki z flotyllą wroga, teraz prowadził rozgrywkę ze śliczną panną, która bez najmniejszego trudu łamała linie jego obrony. Coraz bardziej zmieszany, czuł, że nie potrafi oprzeć się kuszącym wargom i uwodzicielskiemu spojrzeniu Violet i za chwilę nastąpi prawdziwy bunt na pokładzie. A przecież nie mógł zmienić się w rozpalonego żądzą samca! Jeszcze pomyśli, że on chce wykorzystać jej dobre serce... Musi szybko uświadomić Violet, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, igrając z nim tak lekkomyślnie.

Nie zważając na przeszywający ból w zranionym ramieniu, Dane uniósł się *na zdrowym* łokciu.

- Niełatwo cię przestraszyć, co? - zapytał, pochylając się nad Violet. Bezlitośnie przyspilił ją do łóżka nogą, przerzuconą przez jej uda, a zdrową ręką przytrzymał głowę.

Violet stłumiła okrzyk zaskoczenia. Leżała na plecach, przygnieciona ciężarem nagiego mężczyzny -i to jakiego mężczyzny!

Pytającą patrzyła w czarne oczy, płonące jak wę-

gle, czekając, co będzie dalej. Znała już dziwny, nagły dreszcz, który teraz przebiegł najtajniejsze zakątki jej ciała.

Dane znieruchomiał na chwilę, zaskoczony niezwykle spokojem swojej ofiary.

- Przeciwnie, sir ~ odparła niewzruszenie Yiolet. -Jestem jak najbardziej lękliwa i gotowa do salwowania się ucieczką przy najmniejszej oznace zagrożenia mojego błogiego spokoju. Właśnie z tego powodu znalazłam się w Yeovil.

- Chcesz powiedzieć, że uciekasz przed czymś? -zapytał Dane, nie kryjąc sceptycyzmu. W czasie ich krótkiej znajomości Violet zdążyła wykazać się niezwykle zimną krwią i opanowaniem godnym weterana morskich potyczek. - Doprawdy, jakoś nie mogę uwierzyć w twoje słowa.

- A jednak moje słowa są prawdziwe - upierała się, lekkim ruchem przesuwając palce po ciemnych włosach na jego piersi. Uczyniła to z taką swobodą, jakby od dawna byli kochankami. - Uciekłam od przymusu wybrania sobie męża spośród całej plejady dżentelmenów starających się o moje względy. Uciekłam, bo żaden mi nie odpowiadał, a nie chciałam nikogo urazić odmową.

- Starających się! - Dane popatrzył na nią jeszcze uważniej. Zdążył się już pogodzić z myślą, że Violet jest porzuconą metresą i należała tylko do jednego kochanka, a tymczasem okazało się, że ściga ją cała banda samców chętnych do czulej opieki!

- Bzdura, prawda? - stwierdziła z komicznym grymasem. - Rzecz w tym, że jestem sierotą bez mająt-

ku i opiekę nade mną sprawuje dziadek. Ostatnio postanowił, że powinnam wreszcie wyjść za mąż.

- Wyjść *za* mąż! - Dane nie krył ulgi. Jakirnż głupcem okazał się, wątpiąc w cnotę słodkiej Violet! Powinien od razu się domyślić, że chodzi o kandydatów do jej ręki, a nie chętnych do wzięcia sobie utrzymanki.

Z drugiej strony radość z tej nowiny stała się natychmiast powodem do nowej konfuzji - oto, nagi, trzymał w objęciach dziewiczą pannę na wydaniu, w dodatku ze szlachetnego rodu! Piekło i szatani! zaklął w duchu.

- I niestety obawiam się, że dziadek tym razem po stanowił być nieugięty - dodała Violet, z zachwytem badając dotykiem dłoni rzeibę twardych mięśni. Nie przypuszczała, że męskie ciało potrafi być tak piękne i tak pociągające. Dziwiła się uczuciu niezwyklej, zmysłowej bliskości, która przyspieszała bicie jej serca i budziła ukryte, gwałtowne pragnienia.

Nie przerywając podróży po nieznanym lądzie, obserwowła stężałą twarz Dane'a, z rosnącą urazą stwierdzając, że jej bliskość nie budzi w nim nawet części emocji, które kipiały w niej samej.

- Dziadek posunął się do oświadczenia, że jeśli w ciągu dwóch tygodni sama nie wybiorę sobie męża, wybierze go dla mnie. Wówczas postanowiłam zniknąć tja jakiś czas z jego horyzontu, w nadziei że zapomni o całej sprawie i znów pozwoli mi żyć tak, jak lubię. Chyba mam do tego prawo, nie sądzisz?

- Oczywiście, że masz - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. Ta diablica nie miała zielonego pojęcia, co się z nim dzieje! Męki, które musiał znosić, udając spo-

kój pod jej dotknięciem, były gorsze od tępego bólu zranionego ramienia, które coraz mocniej protestowało przeciwko niewygodnej pozycji, w jakiej trwał od dłuższego czasu.

- Jak na kobietę wrażliwą i nade wszystko lubiącą świąty spokój, jak sama o sobie mówisz, wykazujesz dziwnie awanturnicze zapędy - powiedział z przekąsem. - Mało tego, że uciekłaś z domu, to jeszcze dwa razy pozwoliłaś odjechać swojemu dylizansowi, w tym raz z całym bagażem, a na koniec wpakowałaś się w poważne tarapaty. Czy masz chociaż pojęcie, jak bliski jestem potraktowania cię tak, jak na to zasługujesz?

- To zależy - odparła rezolutnie Violet, skubiąc go w sutek. - Na przykład *od tego*, jaką karę *powinnam* według ciebie ponieść za opiekę, jaką roztoczyłam nad tobą, gdy byłeś bezradny jak dziecko.

- Och, za to należy ci się moja najgłębsza wdzięczność - wycedził Dane. - Natomiast to, iż zlekceważyłaś mój rozkaz i nie odjechałaś stąd w porę, za chwilę ściągnie ci na głowę poważne niebezpieczeństwo. Lepiej, żebyś nie dowiedziała się, jak reaguje męczyzna na obecność w swoim łóżku pięknej i ponętnej kobiety.

- A *powinnam* się dowiedzieć? - dopytywała się Violet, otwierając oczy szeroko jak dziecko. - Ach, mój biedny kapitanie, obawiam się, że nie uda ci się wymyślić argumentu zdolnego wygonić mnie z twego łóżka. Bez najmniejszych wątpliwości wyświadczyłbyś mi przysługę, uwodząc mnie. Przynajmniej nie czułabym się zmuszona do małżeństwa, na które nie mam ochoty. Winienesz bowiem wiedzieć, że oblegają mnie wysoce moralni dżentelmeni, którzy odko-

chaliby się we mnie natychmiast, gdyby dowiedzieli się, że ich muza stała się upadłą boginią. Mogę wyjść za mąż jedynie za człowieka, któremu z własnej woli oddam swe serce. W każdym innym przypadku wolę pozostać samotna. - Wygłosiwszy tę tyradę, Violet, zachwycona własną śmiałością, zarzuciła kapitanowi ramiona na szyję. - Jak więc, drogi panie, czy masz zamiar mnie uwieść?

Dane, zaczarowany spojrzeniem fiołkowych oczu, nie marzył o niczym innym. Ta młoda piękność, osobliwie chętna do miłosnej przygody, w niezwykle sposób emanowała niewinnością i miała w sobie czarodziejski romantyzm jakby nie z tego świata. Była urocza jak kwiat, który dał jej imię, i równie jak on skromna.

Kim ona jest, u diabła? dociekał, świadom, że prawie nic o niej nie wie poza tym, że ma na imię Violet i jest sierotą bez posagu, choć ze szlacheckiego rodu, całkowicie zależną od woli dziadka. Z drugiej strony wypróbowany instynkt ostrzegał go przed rozmarzoną czarodziejką, należącą do gatunku tych pięknych kobiet, które nieświadomie usidlają mężczyzn, nie podejrzewając, że mają nad nimi straszliwą władzę. A on ośmielił się publicznie nazwać ją swoją żoną! Sam czort musiał wplątać go w pułapkę! Powodowany szlachetną chęcią niesienia pomocy, dobrowolnie ustawił się w roli protektora Violet. I to w chwili, gdy zaszczyty jak ściągane zwierzę dwie godziny wcześniej został trafiony kulą prześladowcy. Czyżby upływ krwi i osłabienie aż tak zamąciły mu rozum? Możliwe, pomyślał gorzko, lecz nie był to jedyny powód. Nie mógł zaprzeczyć, że od czasu gdy w przypiływie czystego szaleństwa pocałował

Violet w domu sir Henry'ego Granville'a, obraz tej kobiety ani na chwilę nie zniknął z jego myśli.

Kiedy wszedł do gospody, nie tylko rozpoznał ją od razu, ale doznał prawdziwego zmysłowego wstrząsu, który kompletnie go oszołomił. Violet zachwyciła go nie tylko zjawiskową urodą, ale i niezwykłą osobowością. Wcale się nie dziwił, że dziadek zapragnął wreszcie pozbyć się swej nietuzinkowej wnuczki. Dane przypuszczał, że pod romantyczną powłoką kryje się żelazna siła charakteru i potrzeba niezależności, które już zdążyły zaburzyć jego chłodny umysł, zaprawiony w rozgrywkach z życiem. Uczuciowy poryw, któremu uległ pod wpływem Violet, w nieodwracalny sposób związał ich losy.

Miałaby nie pójść za mąż i żyć w hańbie? Nie, to wyjście nie wchodziło w grę. Od chwili gdy Dane otworzył oczy i zobaczył ją obok siebie w łóżku, pojął, że wybór jest tylko jeden: Violet powinna wyjść za niego. Zwłaszcza że, jak sama mu powiedziała, jest sierotą bez posagu. Nawet jeśli kapitan Trevor Dane znalazł się na życiowej mieliźnie i nie ma co marzyć o karierze, nie mówiąc już o odzyskaniu dawnej reputacji - nie znaczy to, że upadł tak nisko, by pozostawić na łasce losu niewinną kobietę, którą zhańbił.

A jednak nie powinien zapominać, że już wcześniej zgubił inną dziewczynę, która gotowa była poświęcić dla niego wszystko. Ona również pochodziła z wysokiego rodu i zasługiwała na lepszy byt niż ten, który potrafił jej zapewnić. I zapłaciła najwyższą cenę - własnego życia, gdyż Dane nie potrafił ochronić jej przed niebezpieczeństwem.

Przekłete fatum! Czy ma ryzykować, skazując piękną Violet na ten sam los?

- Kapitanie! Kapitanie Dane...

Szept Violet wyrwał go z zamyślenia. Po raz kolejny przeklął przepastną głębię fiołkowych oczu swej wybawicielki. Musi stawić czoła prawdzie - pragnie tej kobiety pierwotną żądzą, która nie ma nic wspólnego z honorem czy poczuciem obowiązku.

Jej niewinna słodycz, tak inna od wszystkiego, czego doznał od czasu, gdy jako dwunastoletni chłopak musiał wejść w dorosłe życie, obudziła w nim dawno zapomniane tęsknoty. Świeży, kobiecy zapach, zmieszany z wonią lawendy i rozmarynu, przypomniał mu najwcześniejsze dzieciństwo, spędzane w zacisznym wiejskim domu pod Combę Martin z dwiema starszymi siostrami i cichą, łagodną kobietą o ciepłym, wesołym spojrzeniu, która była jego matką.

Od jak dawna nie miał wieści o starszej siostrze, Annę? I od młodszej, Kate, która była zaręczona z młodym klerykiem? Od siedemnastu lat, a może dłużej... Annę wyszła za syna miejscowego szlachcica na rok przed tragiczną śmiercią na morzu kapitana Morgana Dane. Ukochana żona Morgana, Meredith, zmarła w rok później. Kate musi być teraz szacowną panią pastorową, hodującą gromadkę dzieci.

Dane wyruszył na morze, nie oglądając się za siebie, zachęcony perspektywą ucieczki od znieawidzonej egzystencji w Blackthorn Manor u wuja, który dręczył go i poniżał przy każdej okazji. Nigdy nie zdołał pojąć, czemu Blackthorn tak bezinteresownie nienawidził jego - jedyne go syna swego młodszego brata.

Lecz dużo wcześniej, zanim jeszcze earl przejął jego wychowanie, Dane dziecięcą intuicją odgadywał, że tatę i wuja dzieli jakaś ponura tajemnica. Rodzice nigdy nie mówili przy nim o tych sprawach, ale kiedy umarli i Dane jako sierota przeszedł pod władzę Blackthorna, ukryte zło objawiło się z całą siłą, uderzając w niego.

Zbuntowany i gniewny, postarał się przeciąć wszystkie więzy łączące go z lądem, nawet te serdeczne. Musiało minąć wiele lat, aby poznał dziewczynę o fiołkowych oczach, która przywróciła mu pamięć dawno minionego szczęścia niewinnych, dziecięcych dni. Diabli, diabli, diabli! Miała nad nim magiczną władzę, której tak bardzo pragnąłby się poddać. I nie może tego zrobić, jeśli pozostała mu jeszcze odrobina uczciwości. Nie może!

Łagodne dotknięcie dłoni Violet po raz kolejny wyrwało Dane'a z otchłani ciemnych myśli.

- Mój najdroższy kapitanie - szepnęła niemal błagalnie, nie mogąc spokojnie patrzeć na pobladłą twarz Da-ne'a. - Proszę, nie bierz sobie mojej osoby aż tak bardzo do serca. Nie wiesz, jakie wyroki losu zetknęły nas ze sobą, i nie wiesz, co jeszcze nas czeka, więc przestań się dręczyć. Cieszymy się chwilą, tak po prostu, zwyczajnie. A dalej wszystko potoczy się tak, jak nam było pisane.

Co za bzdury! pomyślał Dane. Przecież człowiek sam wykuwa swój los, dokonując życiowych wyborów. Jego własne życie jest sumą decyzji, które podjął, obojętnie, właściwych czy niewłaściwych.

A jednak miał poczucie duchowej próżni, która tkwiła w nim głęboko utajona i otoczona murem. Na-

wet Lynette nie potrafiła skruszyć tych ścian, które wznosił w ciągu długich lat samotności i fanatycznego oddania wojennej służbie na morzu. Wierzyła, że robi wszystko dla sławy, on zaś nigdy nie próbował wyprowadzić jej z błędu.

Gdy poznał Violet, po raz pierwszy zaczął myśleć inaczej. Zrodziło się w nim irytujące poczucie, że piękna, rozmarzona czarodziejka potrafi przeniknąć wzrokiem jego duszę. Co więcej, czuł, że kiedy są razem, nie pragnie już samotności. Do diabła, może miała rację, twierdząc, że należy żyć tak, jakby przyszłość nie istniała. Zaiste, w oczach świata nie miało znaczenia, czy prześpi się z nią dzisiaj, czy nie. Wystarczyło, że spędziła z nim noc w jednym pokoju.

Niech więc będzie, pomyślał i pochylając głowę, zaczął całować czoło, oczy i policzki Violet. Nagle przerwał i zaglądając jej głęboko w oczy, rzekł:

- Powiedz mi jedną rzecz, Violet. Mówiłaś, że wtedy, w czasie pierwszego spotkania... stało się coś, o czym nie miałaś pojęcia?

Patrzył zafascynowany, jak uśmiecha się radośnie do wspomnień.

- Pocałowałeś mnie - odparła z prostotą - a na to nie poważyl się ani jeden z moich adoratorów. Jestem dla nich niebiańskim natchnieniem. Gdzie tu miejsce na pożądanie? W pewnym momencie zaczęłam się już obawiać, że żaden mężczyzna nie potraktuje mnie jak prawdziwą, czującą kobietę z krwi i kości. - Oczy jej pociemniały. - Kapitanie, ja...

- Ciicho - wyszeptał, uciszając ją namiętym pocałunkiem. Violet nie podejrzewała, że w pocałunku mo

gą brać udział nie tylko wargi, ale i języki. Fala nieznanych, zmysłowych sensacji przeniknęła jej ciało. Poddawała się im z zapalem, poszukując z pasją nowych doznań. Nie uszło to uwagi Dane'a. Niewinność, kipiąca namiętnością, zwielokrotniała magiczną moc czarodziejki o rozmarzonych oczach. Yiolet podniecała go bardziej niż jakakolwiek kobieta, a miał ich w życiu wiele. Nawet obeznana z kunsztownymi pieszczotami Ly-nette nie mogła się z nią równać, pomyślał z gorzkim poczuciem winy.

- Violet, nie chciałem tego - wyszeptał bez tchu. -To istne szaleństwo.

- Nie mów głupstw, kapitanie - odparła z roztargnieniem, zajęta pieszczotą, którą właśnie z uciechą wynalazła - podskubywaniem zębami jego ucha. -Żadne z nas nie przypuszczało, że tak się stanie. Ale skoro się stało, musimy uznać to za zrządzenie losu, na który nie mamy wpływu. Więc przestań się zamartwiać i żyj chwilą.

Przestań się zamartwiać? Dane omal się nie roześmiał. Boże, czy była aż tak naiwna? Czy naprawdę nie rozumiała, do czego mogą prowadzić igraszki kobiety i mężczyzny?

Dziecko... Perspektywa ojcostwa w tych okolicznościach była ostatnią rzeczą, jakiej mógłby sobie życzyć. Nie teraz, kiedy ścigali go nieznani zabójcy, a nad horyzontem jego życia zbierały się ciemne chmury!

A jednak Violet dwa razy go ocaliła, nie zważając na własne bezpieczeństwo, i winien był jej dozgonną wdzięczność, choć nie żądała niczego w zamian.

Dobrze, pomyślał z gniewem. Zatem pokaże jej, jak

czuje się kobieta z krwi i kości w ramionach mężczyzny, który za nic ma bzdury o niebiańskim natchnieniu i płonie czystym, zwierzęcym pożądaniem.

2 furią odrzucił okrycia.

Kiedy Dane paroma szybkimi pociągnięciami rozwiązał jej koszulę, obnażając piersi, Violet przeczuła, że pocałunki były tylko wstępem do miłosnej sztuki. Przeczucie zamieniło się w rozkoszną pewność, gdy pochylił głowę i dotknął językiem napiętego sutka, pieszcząc ręką drugą pierś. Violet lewitowała, niesiona wirem emocji, a kiedy dłoń Dane'a, sunąc pod koszulą, zawędrowała między jej uda, była już tylko jedynym wielkim oczekiwaniem.

Palce mężczyzny zagłębiły się w wilgotnych zakamarkach najtajniejszego kobiecego miejsca, znalazły czuły punkt i dotknęły go.

- Kapitanie! - wydyszala Violet, przeniknięta błogim spazmem. - Kapitanie, ja nie... przed tobą... ty... Boże, powinnam ci powiedzieć...

- Nie musisz nic mówić, Violet - przerwał, po raz kolejny zaskoczony jej natychmiastową gotowością. Anioł zmienił się w uwodzicielskiego demona, prowokującego go do granic wytrzymałości.

- To tylko pierwsze ogniwo z całego łańcucha wydarzeń - powiedział głuchym głosem, sunąc ustami po szyi Violet, gdzie pod napiętą skórą tętnił puls - którego naturalnym ukoronowaniem - ciągnął, schodząc niżej, ku krągłościom piersi - będzie finał, o którym marzysz. Zaraz przekonasz się, jak to jest być kobietą z krwi i kości - zakończył triumfalnie, wsuwając palec w wilgotną, gorącą szczelinę.

Oślepiający blask rozbłysnął w głowie Violet. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że człowiek może od drugiego człowieka otrzymać w darze taką rozkosz. Nawet najśmielsze sceny z gotyckich powieści, w które czytywała się z zapartym tchem, nie dały jej bladego pojęcia, jak kobieta może się poczuć w objęciach mężczyzny - takiego mężczyzny!

Wygięła się i wpiła Dane'owi paznokcie w barki, nie panując nad oszalałym ciałem. Tylko Dane'owi udało się przełamać bariery, które wzniosła wokół siebie; tylko przy nim, po raz pierwszy w życiu, przestała odczuwać potrzebę ucieczki w samotność. Pragnęła pozostać przy swoim kapitanie, bo wiedziała, że jej potrzebuje. Potrzebuje kogoś, kto uwolni go od jego demonów. A jeśli nawet jej nie pokocha, będzie przynajmniej wiedziała, jak to jest w ramionach jednego jedyne go mężczyzny, któremu pragnie oddać swoje serce.

To była ostatnia myśl Violet, nim zapadła w udrękę rozkoszy, wahającej się na krawędzi spełnienia. Z całych sił pożałowała tego, czego jeszcze nie знаła.

Dane, doskonale wyczuwając tę potrzebę, dotknął czułego punktu na ciele Violet, uwalniając lawinę do znań.

O Boże, już nie mogła wytrzymać! Ekspłodowała w szalonej ekstazie, wykraczającej daleko poza granice jej wyobraźni.

"Wreszcie, drżąca i osłabia, legła na prześcieradłach, cudownie nasycona swoim pierwszym przeżyciem w roli kobiety z krwi i kości. Dane, ciężko dysząc, obrócił się i padł twarzą na poduszki. Kapitan pokazał Violet nowy świat, pełen zawrotnych możliwości,

które czekały na odkrycie, budząc w niej ducha przygody. A jednak mimo całej euforii czuła, że nie wszystko odbyło się tak, jak powinno.

Dane wyniósł ją na wyżyny, sam z rozmysłem pozostając z boku! Kiedy ona rozpływała się w błogostanie, on leżał w czujnym napięciu.

- Tak mi przykro, kapitanie - powiedziała, poważniejąc. - Obawiam się, że zbyt przywykłam do tego, by stanowić obiekt męskiej adoracji. Tymczasem

spotkałam człowieka, który nie tylko nie uważa mnie za niebiańskie natchnienie, ale nawet niezbyt mnie lubi. Cóż, przyda mi się taka nauczka. Bynajmniej nie winię cię za to, że okazałeś się odporny na moje prześadnie chwalone wdzięki.

Dane, udręczony niespełnieniem, nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać. Odporny na jej wdzięki? J Chryste, czy ona *nie zdaje sobie* sprawy, jak bliski był **■!** przed chwilą zapomnienia o swoim honorze?

Zaraz jednak Yiolet pożałowała przedwczesnych wniosków na temat jego obojętności. Teraz dopiero spostrzegła, że ciało kapitana trwało w napięciu, a na czole perli mu się pot.

- Dane ~ czułym gestem położyła mu dłoń na barku - błagam, powiedz coś. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś przeze mnie poczuł się jeszcze gorzej.

Dane, który całą siłą woli usiłował przywrócić swoje ciało do normalnego stanu, w milczeniu pokręcił głową.

W fiołkowych oczach pojawiło się prawdziwe przeświadczenie.

- Dane, to moja wina - jęknęła Yiolet. - Nie leż tak, powiedz coś!

Jej bezsensowny lęk, wynikający z dziewiczej niewiedzy, budził w nim przewrotną uciechę. Wreszcie udało mu się sprawić, że zrzuciła maskę beztroskiej marzycielki, żyjącej chwilą.

- Spokojnie, moja piękna dziewczynko. Sztorm miota okrętem, ale masz ciągle stoi.

Jednym ruchem odrzucił okrycie i odwrócił się na plecy. Zrzucał reputację słodkiej Violet, ale przynajmniej nie zostawił jej z panięńskim dzieckiem. Marne to było pocieszenie, lecz nie miał lepszego.

Violet, która po raz pierwszy w życiu widziała mężczyznę w stanie pełnej gotowości, nagle doznała olśnienia.

- Ach, kapitanie - powiedziała bez tchu - teraz chyba zaczynam rozumieć. - Patrzyła okrągłymi oczami to na twarz Dane'a, to niżej, aż wreszcie powolnym ruchem uniosła koldrę i troskliwie okryła jego nagość. - Widzę, że twoja rycerskość nie ma granic - powiedziała z szacunkiem.

Wstała z łóżka i podeszła do krzesła, gdzie leżało ubranie, wyczyszczone i uprasowane przez nieocenicioną panią Tankersley.

- Wybacz mi, kapitanie, że przyczyniłam ci dodatkowych cierpień - powiedziała, sięgając po suknię. Nerwowym gestem przycisnęła ją do piersi i popatrzyła na Dane'a w napięciu. - Obawiam się jednak, że twój szlachetny gest niczego nie zmieni. Powinam się kajać, ale jeśli mam być szczerą, wcale nie żałuję tego, co po prostu musiało się stać. W końcu chodziło o...

- Zdobycie nowego doświadczenia - dokończył nie bez ironii. - Już mi to mówiłaś. - Urwał i zmarszczył

brwi. Miał przemożne poczucie, że jego życie gwałtownie zmieniło bieg, podążając w nowym kierunku, od którego nie ma już odwrotu. I dziwną pewnością, że niezwykła dziewczyna o fiołkowych oczach wie o tym. Piekło i szatani! Nieuchronnie nadeszła chwila, kiedy musi dać jej do zrozumienia, że nie ma dla niej miejsca w jego życiu. Jutro lub najdalej pojutrze, jak tylko wrócą mu siły, odjedzie, nie oglądając się za siebie, tak jak kiedyś, gdy uciekł na morze. Tylko w ten sposób może zapewnić Violet spokój i bezpieczeństwo.

- Violet - zaczął, szukając najłagodniejszych słów, aby uświadomić jej nieuniknione. - Posłuchaj, ja nie...

Nagle ktoś załomotał wściekle do drzwi salonu. Dane błyskawicznie sięgnął po pistolet leżący na stoliku.

- Kto tam? - zawołała zaskoczona Violet.

- *Otwierać, w imię Jego Królewskiej Mości!*

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

Dane zaklął szpetnie i usiadł na łóżku, odbezpieczając pistolet.

- Chwileczkę - odrzyknęła Violet, popychając kapitana z powrotem na poduszki. - Nie jestem jeszcze gotowa.

- Odejdź, kobieto - warknął, odsuwając ją od siebie gwałtownym gestem. - Jeśli chcesz pomóc, podaj mi ubranie.

- Nie ma mowy - powiedziała twardo, wytrzymując jego wściekłe spojrzenie. - Nie szalej, dobrze?

- Hej, tam - dobiegło z korytarza. - Otwierać w imieniu króla!

- Tak, tak, już *idę*. - Violet ruszyła ku drzwiom, lecz przystanąła, obejrawszy się jeszcze raz na Da-ne'a. - Uspokój się, kapitanie, bo wszystko zepsujesz - wyszeptła. - Leż spokojnie i zaufaj mi. Poradzę sobie z tymi panami.

Nie czekając na odpowiedź, uchyliła drzwi salonu.

- Zapraszam panów do środka - oznajmiła z uśmiechem. - Zechciejcie usiąść i chwilę poczekać, a zaraz do was wyjdę - dodała, znikając w sypialni.

Słowa protestu zamarły na ustach Dane'a, kiedy zo-

baczył Violet błyskawicznie zdzierając z siebie nocną koszulę, która z wdziękiem opadła jej do stóp. Szybko założyła bieliznę, a potem pończochy i suknię, nieświadoma piorunującego efektu, jaki wywarła na kapitanie, który pożądlivym wzrokiem chłonał ten spektakl.

Miała nadzieję, że Dane okaże się rozsądny i zaufa jej. Jeżeli królewscy ludzie mają rozkaz aresztować jej rycerskiego kapitana, sytuacja jest właściwie bez wyjścia. Znaczyłoby to, że jego wrogowie mają poparcie w najwyższych sferach.

Z drugiej strony ona sama, nawet będąc sierotą bez posagu, mogła liczyć na wpływy swojej potężnej rodziny. Najwyższy czas, aby prześladowcy Dane'a uświadomili sobie, że ich ofiara ma sojusznika, z którym będą musieli się liczyć.

Oczywiście teraz on będzie musiał się z nią ożenić, gdyż inaczej żaden z jej krewnych nie zechce narażać dla niego kariery, rozważała, zakładając suknię i zapinając ją w pośpiechu. Zapewne Dane nie spodziewał się takiej komplikacji, lecz dla niej byłoby to całkiem sensowne wyjście. Wszak potrzebowała męża, aby uszczęśliwić swojego dziadka, a Trevor Dane potrzebował jej pomocy.

O, tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie, pomyślała, uśmiechając się do siebie. Szkoda, że nie ma czasu, aby przedstawić kapitanowi obopólne korzyści takiego układu. Miała nadzieję, że wkrótce sam je zrozumie. Ubrawszy się, przysiadła przed lustrem, aby doprowadzić do porządku splątane włosy. Klnąc na czym świat stoi, szarpała grzebieniem gęstwę kru-

czych loków, stanowiących obiekt zazdrości innych kobiet, które, aby sprostać wymogom mody, musiały pracowicie fryzować swoje proste włosy żelazkiem.

Dane, obserwujący z łóżka Violet, doznawał nieznośnego poczucia bezsilności, uwłaczającej mężczyźnie jego pokroju - nie mówiąc o równie nieznośnym pożądaniu. Nie potrafił się pogodzić z faktem, że po raz pierwszy jego los zależał od dzielnej kobiety, która zdążyła uczynić dla niego więcej, niż miał prawo żądać.

- No - powiedziała, zadowolona z efektu, rzucając ostatnie spojrzenie w pęknięte lustro. - Mam nadzieję, że *wystarczy*. Nie sądzę, aby nasi dzielni żołnierze oczekiwali, iż w tej sytuacji będę ubrana i uczesana jak na bal. - Idąc do drzwi, rzuciła Dane'owi konspiracyjne spojrzenie. - Zostań w łóżku, bardzo cię proszę - nakazała. - I suponuję, abyś to schował - dodała, wymownie zerkając na pistolet. - Liczę na to, że rozmowa nie potrwa długo.

Zanim nacisnęła klamkę, wzięła głęboki oddech, przyjmując postawę wyniosłą i pełną godności.

W saloniku zobaczyła trzech żołnierzy zbrojnych w muszkiety. Czerwone mundury nosiły ślady długiej drogi. Młody, jasnowłosy porucznik zerwał się na jej widok z krzesła i trzasnął obcasami.

- Czujcie się jak u siebie, dżentelmeni - powiedziała z uśmiechem, zamykając za sobą drzwi sypialni i stając przed porucznikiem. Jego mina świadczyła o tym, że natychmiast uznał ją za swoje niebiańskie natchnienie. - Przepraszam, że kazałam wam czekać tak długo, poruczniku, ale nie spodziewałam się po-

ranych gości. Miałam właśnie zamówić śniadanie. Może pan i pańscy podwładni przyłączycie się do mnie? - Urwała, lekko zaniepokojona, gdyż wyraz napięcia nie zniknął z twarzy młodego człowieka. - Poruczniku? - zagadnęła łagodnie.

- Ehm... - odchrząknął zakłopotany. - Dziękuję za zaproszenie, madame, lecz z żalem muszę odmówić - powiedział, zerkając na swoich żołnierzy, którzy stali z kamiennymi twarzami i wzrokiem wbitym w jakiś daleki punkt na ścianie. - Nasza wizyta jest ściśle oficjalnej natury.

- Rozumiem doskonale, poruczniku - odparła Vio-let. - Wyraził się pan wystarczająco jasno. Mimo wszystko nie uważam, by o poważnych sprawach nie można było porozmawiać w miłej atmosferze. Proszę przynajmniej zezwolić, aby pańscy ludzie wypili sobie po piwie na mój koszt. Widać, że są zdrożeni, i łyk tego ożywczego napoju z pewnością dobrze im zrobi.

Mówiąc to, sięgnęła wymownym gestem do sakiewki leżącej na komodzie.

- Chyba nie ma w tym nic złego, poruczniku? - za pytała swobodnie. - Podejrzewam, że dzielni żołnie rze, którzy narażają życie w obronie naszej ojczyzny, w nawale służbowych powinności rzadko mają oka zję, aby cieszyć się spokojną chwilą wytchnienia. Chciałabym zapewnić im tę drobną przyjemność...

Mówiła szczerze, tak jak dyktowało jej serce. Dane uśmiechał się, słuchając tyrady Violet. Być może znalazłoby się w armii kilku oficerów, którzy oparliby się proście czarodziejki, ale młody porucznik z całą pewnością się do nich nie zaliczał.

- Zgoda, skoro pani tak uważa, madame - odparł z ponurą miną. - Myślę, że nie będzie szkody, jeśli wypiją po kufelku. Kapralu Blanchett, zaprowadź ludzi na dół. I pamiętajcie, tylko po jednym. Miejcie oczy i uszy otwarte. Zejdę, kiedy tylko załatwię sprawy na górze.

- Tak jest, sir - kapral służbiście strzelił obcasami. -I bardzo pani dziękujemy, madame. Chłopakom przyda się łyceczek.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rozpromieniła się Violet, wsuwając mu w rękę monety.

Wziął je, dziękując raz jeszcze i obrzucając Violet na odchodnym byстрым spojrzeniem starego lisa, który ufał wyłącznie swojemu niezawodnemu instynktowi. Ten gołowąs, porucznik, dał się podejść jak dziecko. Ale Blanchett czuł, że jeśli nawet piękna lady prowadzi swoją grę, nie skrzywdzi ich młodego dowódcy. Był pewien, że nie ma nic wspólnego z mordercą, którego postrzelono przy próbie zamachu na admirała, o czym świadczyły krwawe tropy, oddalające się z miejsca zasadzki. Do diabła, co za durnie siedzą w tym sztabie! Idzie ostra gra o wysoką stawkę, a tu jakiś idiota wysyła w pościg za francuskim szpiegiem takiego zielonego młodzika, jak ich poruczniczyna. Nic, tylko się napić!

- Słyszeliście, co powiedział porucznik - warknął do żołnierzy. - W tył - zwrot! Odmaszerować!

- A teraz - powiedziała Violet, kiedy za żołnierzami zamknęły się drzwi - proszę powiedzieć, czym mogę panu służyć, drogi poruczniku... przepraszam, nie wiem, z kim mam przyjemność?

Nie czekając na odpowiedź, z gracją usiadła w fotelu, gestem zapraszając oficera, aby zajął miejsce naprzeciwko niej.

-> Freeman, do usług - wykrztusił miody człowiek, usiłując zmieścić się między poręczami fotela wraz z szablą, która sterczała nieporęcznie. - Porucznik Nathan Freeman z Coldstream Guards.

- Miło mi pana poznać, poruczniku - uśmiech Violet był wprost olśniewający.

Freeman uciekł spojrzeniem w bok.

- Obawiam się, madame, że rychło zmieni pani zdanie - powiedział, wyraźnie skonfundowany faktem, że będzie musiał przesłuchać tę piękną kobietę.

- A to czemu? - zdziwiła się uprzejmie Violet.

- Ponieważ, madame, zlecono mi misję wyśledzenia i schwytania niebezpiecznego francuskiego agenta, znanego nam pod pseudonimem *Le Corbeau**.

- I dlatego zjawił się pan u mnie? - zapytała, szeroko otwierając oczy. - Co prawda włosy mam czarne, ale chyba nie myśli pan serio, że mogę być wcieleniem tajemniczego *Le Corbeau*? Rzadko opuszczam granice Devon, zapewniam pana. Jeśli pan nie wierzy, proszę spytać mojego dziadka, diuka Albermarle, lub mojego brata, markiza Vere, bądź też mojego szwagra, earla Shields. Z pewnością powiedzą panu, poruczniku, że nie przejawiam zainteresowania polityką.

Dane, który słuchał pilnie, podparty na łokciu, opadł na poduszki, porażony tymi rewelacjami. Do tej chwili bawił się świetnie, wyobrażając sobie minę

*Franc. - kruk.

porucznika, wodzonego za nos przez jego słodką Vio-let. Teraz przekonał się, że potrafiła omamić nawet kapitana Trevora Dane, starego wyjadacza! Nie dość że kobieta, którą zniesławił, była dziewczyną panną na wydaniu, to jeszcze należała do jednego z najstarszych i najszacowniejszych rodów Anglii!

Nawet jeśli jakimś cudem uda mu się uniknąć aresztowania za zdradę ojczyzny i ocalić kark przed mordercami, i tak czeka go pojedynek na dwadzieścia kroków z markizem Vere, broniącym honoru siostry. Dane miał wrażenie, że przestał panować nad swoim losem. Przymknął oczy i słuchał dalej, jak biedny porucznik wije się, bezlitośnie urabiany przez piękną czarodziejkę.

- Ależ s-skaąd, milady, w żadnym wypadku... nawet nie przyszłoby mi do głowy, że... - Freeman wyprostował się w fotelu, przypominając sobie, że przebywa tu służbowo. - *Le Corbeau* jest mężczyzną, szanowna pani - oświadczył sztywno. - Bezwzględny łotrem, który nie cofnie się przed żadną zbrodnią. Ledwie dwa tygodnie temu zakradł się do rezydencji sir Henry Granville'a, aby ukraść ważne rządowe dokumenty. Takiego bandytę rozpoznaje się od razu.

- Och, z jaką ulgą przyjmuję pańskie słowa - westchnęła Violet, serdecznie współczując biedakowi, któremu policzki płonęły ze wstydu na samą myśl, że piękna kobieta mogła się poczuć urażona jego posądzeniami. - Ale skoro *nie należą do osób* podejrzanych, czemu szuka pan owego Francuza u mnie, poruczniku?

- On nie jest Francuzem, milady - wyjaśnił Fre-

eman, znów odzyskując rezon. - Przeciwnie, mamy powody przypuszczać, że jest obywatelem naszego królestwa, skaptowanym przez obcy wywiad, a zatem zdrajcą.

- Co za straszna historia - Violet z udawanym przerażeniem zakryła sobie usta dłonią. - Co gorsza, ten zabójca musi krążyć w okolicy, bo inaczej nie przesłuchiwałby mnie pan, prawda?

- Proszę wybaczyć, milady - biedny porucznik znów zaczerwienił się jak piwonia - jestem jak najdalszy od metod hiszpańskiej inkwizycji, ale muszę przyznać, iż nie pani spodziewałem się tutaj.

- Nie mnie? - Violet szeroko otworzyła fiołkowe oczy. - W takim razie kogo, poruczniku Freeman? Czemu właściwie zjawiał się tu pan ze swoim oddziałem?

- Ponieważ, szanowna pani, człowieka, którego szukamy, widziano nie dalej jak wczoraj rano w Exeter w miejscu, gdzie podjęto próbę zamachu na życie wiceadmirala sir Olivera Landforda. Dzięki Bogu adiutant admirała zapobiegł nieszczęściu. Strzelił do napastnika i zranił go, ten jednak zdołał ujść pościgowi.

- To musi być niebezpieczny przeciwnik - oceniła Violet, która nie chciała uwierzyć, że człowiek, którego ocaliła i wspierała, może być mordercą i zdrajcą. Z drugiej strony miała nieodparte wrażenie, że gdyby Dane życzył sobie śmierci admirała, sir Oliver już dawno by nie żył. - I na pewno nie będzie łatwo go znaleźć - dodała z przejęciem. - Pewnie zapadł teraz w jakiejś kryjówce i leczy się z ran, więc nieprędko znów o nim usłyszymy.

- Zapewne ma pani rację, milady, lecz nie ustajemy

w pościgu. Najpierw przeszukiwaliśmy okolicę Yeovil, a teraz zbliżamy się do miasta.

- Ach, rozumiem! - wykrzyknęła Violet z błyskiem w oku. - I powiedziano wam w gospodzie, że pewien dżentelmen, który wynajął ten pokój wczoraj po południu, wygląda na chorego lub rannego! - ciągnęła z rosnącym gniewem, zerwawszy się z fotela. Stała przed porucznikiem i spiorunowała go wzrokiem. -Pan śmie podejrzewać, że ukrywam szpiega! Bóg mi świadkiem, poruczniku Freeman, iż powinnam poczuć się głęboko urażona, gdyby nie żalosna śmieszność pańskich podejrzeń!

- Jeśli pomyliłem się, pani, będę winien najszczerze przeprosiny - odparł, zagryzając usta. - Jednakowoż obowiązek wymaga, abym sprawdził, kim jest mężczyzna, znajdujący się w drugim pokoju.

- Zaraz zobaczy go pan, poruczniku - odpowiedziała Violet tonem, którym mówiła zwykle o sprawach oczywistych i niewartych wzmianki. Jej brat, Gideon, podziwiał nie raz, jak potrafiła zbyć najcięższe zarzuty wzruszeniem ramion i chłodnym spojrzeniem. -W tej sypialni leży ranny oficer marynarki, który służył swojej ojczyźnie z poświęceniem i z honorem. Nie wątpię, poruczniku, że słyszałeś o jego morskiej sławie. To kapitan Trevor Dane, niedawny dowódca „Antiope”, na której odniósł miażdżące zwycięstwo nad Francuzami u brzegów Morza Śródziemnego.

- Kapitan Dane? Wszyscy święci, jasne, że słyszałem o nim! - wykrzyknął porucznik. - Zatopienie „Colette”, mającej tak wielką przewagę dział, było prawdziwym wyczynem!

- Zasługi kapitana Dane są poza wszelką dyskusją - przyznała Violet, nie kryjąc dumy. - Jedyne, co można mu zarzucić, to pewna słabość, która sprawiła, że zakochał się we wnuczce diuka i wziął z nią potajemny ślub. Ale takie przewinienie, jak rozumiem, nie podlega pańskim uprawnieniom, poruczniku. Proszę - otworzyła drzwi do sypialni, zachęcając Freemana królewskim gestem, by wszedł. Miała nadzieję, że nie domyśli się, jak mocno bije jej serce. Drżała z obawy, czy Dane posłuchał jej i czy leży w łóżku.

- Proszę tylko, aby starał się pan nie denerwować chorego - zaznaczyła z naciskiem. - Kapitan jeszcze nie wydobrzył z ciężkich ran, jakie odniósł w obronie króla i ojczyzny.

Za plecami wchodzącego porucznika Violet odetchnęła z ogromną ulgą. Dane leżał na wznak, okryty kołdrą po brodę, z miną stosownie bolesną i z zamkniętymi oczami, a jego pierś unosił ciężki oddech. Nigdzie nie było widać broni.

- Chwileczkę, poruczniku - na palcach podeszła do łóżka i pochyliła się nad kapitanem. - Najdroższy, śpisz? - szepnęła, delikatnie dotykając ramienia chorego. - Ktoś chce z tobą rozmawiać. - Wiedziała z całą pewnością, że Dane musiał słyszeć każde słowo wypowiedziane w salonie, lecz nie była pewna, jak daleko się zachowa jej szlachetny kapitan. W każdym razie nie przewidziała, że nagle uniesie głowę i muśnie wargami jej usta.

- Moja słodka lady Violet - wyszeptał z udanym wzruszeniem - wróciłaś do mnie.

Natychmiast dostrzegła podejrzany błysk w oczach

kapitana i zrozumiała, że ów wcielony diabeł chce ją ukarać za to, iż utaiła przed nim swoje pochodzenie. A przecież próbowała mu powiedzieć o Vere'em i Al-bermarle'u! Odwrócona plecami do porucznika, skrycie pogroziła Dane'owi palcem.

- Oczywiście, że wróciłam, najdroższy - zagrucha-ła. - Chyba nie myślałeś, że cię opuszczę?

- Wybacz, ale chyba majaczyłem - wyznał, patrząc jej prosto w oczy. - Znów byłem na morzu, a ty zostałeś w swoim pałacu, w Devon, otoczona jak zwykle chmurą adoratorów. Wnuczka diuka dla skromnego kapitana? To przecież niemożliwe! Przywykła do luksusów, których nie znajdzie w domu kogoś takiego jak ja. Lepiej więc, jeśli zapomni o mnie i wróci do dziadka, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno, najdroższy - odparła Violet, przeklinając porucznika Freemana i jego służbowe zadania. - Powiem nawet więcej - spaliliśmy za sobą mosty w chwili, gdy przedstawiłeś mnie jako swoją żonę. Dlatego możesz być pewien, że nie zostawię cię, a zwłaszcza teraz, kiedy nieomal udało się nam odbyć miodowy miesiąc.

Dane miał ochotę chwycić Violet i potrząsać nią, dopóki nie zacznie błagać o litość. Niechybnie uczyniłby to, gdyby nie obecność porucznika i przekłeta rana. Diablica, dobrze wiedziała, co robi, pogrążając się z nim w niesławie i wciągając go w pułapkę, z której wyjściem stało się poślubienie jej. I tylko jedno pytanie nurtowało Dane'a ~ co było prawdziwym powodem postępowania panny Rochelle?

Zresztą wszystko jedno, i tak nie zostanie jego żo-

ną. Wolałby zginąć na morzu, niż wciągnąć słodką Violet w bagno, jakim było jego życie! Ta kobieta musi w końcu przejrzeć na oczy i zrozumieć, że jej kapitan jest mniej wart niż dżentelmeni, przed którymi uciekła. Kiedy tylko ten piekielny porucznik zmyje się stąd, wyśle lady Violet Rochelle tam, gdzie jest jej miejsce. Szanowny dziadek dla świętego spokoju zatuszuje sprawę i odetchnie z ulgą, że szalona wnuczka nie wyszła za jakiegoś kapitana bez grosza, o zaszarganej reputacji.

- Każdy zerwany most można odbudować, moja najdroższa Violet - stwierdził ponuro Dane, odgarniając jej kosmyk włosów z policzka. - A teraz proponuję, żebyśmy zajęli się wreszcie naszym gościem. Zbyt długo kazaliśmy mu czekać.

- Tak, słusznie - skinęła głową, obdarzając Dane'a ostatnim, przeciągłym spojrzeniem. - Poruczniku Freeman... - zaczęła, odwracając się. Ale nikogo za nią nie było. Poruszyła się tylko klamka cicho zamykanych drzwi sypialni.

W ciągu ostatnich kilkunastu godzin Violet wiele razy myślała, że to złośliwy los postawił na jej drodze kapitana Trevora Dane'a, aby dać jej lekcję pokory. Zakrawało na gorzką ironię, iż jedyny mężczyzna, który potrafił się oprzeć jej czarowi, był jednocześnie tym, który ją naprawdę pociągał.

Pociągał? myślała, krocząc leśną ścieżką wzdłuż strumyka. Gorzej, była prawie pewna, że zakochała się w nim po uszy już w czasie pierwszego spotkania, gdy chwycił ją w ramiona i zaczął całować. Ale nie

z powodu samych pocałunków i niezwyklej urody. Znała wcześniej wysokich, przystojnych mężczyzn, lecz żaden, tak jak Dane, nie pobudził jej zmysłów do granic szaleństwa. Bo nigdy też nie spotkała kogoś takiego jak kapitan Trevor Dane, uosabiający siłę połączoną z wrażliwością. Taki był jej ukochany ojciec i Dane bardzo go przypominał.

■

Violet nie wątpiła, że Dane postanowił opuścić ją dla jej dobra. Ta świadomość tylko zwiększała jej irytację. Jakim prawem miałby decydować, co jest dla niej dobre, a co nie? Dlatego, na przekór upartemu kapitanowi, postanowiła na własną rękę pokierować biegiem wydarzeń, w odpowiedni sposób sterując rozmową z porucznikiem. Normalnie brzydziła się podobnymi sposobami, ale tym razem czuła, że nie ma innego wyjścia. Była absolutnie przekonana, że najlepszym rozwiązaniem dla obojga będzie małżeństwo.

Boże, kto by pomyślał, że Violet Rochelle, która ukochała własną wolność, będzie z takim zaparciem dążyła do związku z człowiekiem, który nie miał na to ochoty?

Istniała możliwość, że Dane nigdy nie zechce jej pokochać. Violet musiała brać pod uwagę fakt, iż pamięć o nieszczęsnej Lynette nie pozwoli mu na uczucie do żadnej innej kobiety. Z bólem przypomniała sobie ogromny żal w jego głosie, gdy wzywał w majaczeniach straconą kochankę, a może nawet i żonę. Jeśli kochał ją tak, jak Romeo swoją Julię albo jak diuk Albermarle swoją Genevieve, nigdy nie będzie zdolny pokochać Violet Rochelle.

Ciepły uśmiech pojawił się na wargach Violet na

wspomnienie niezwykłego uczucia, jakim jej dziadek darzył swoją żonę. Owa jasnowłosa piękność ukradła mu serce na zawsze. Zapewne i Dane należał do tego rzadkiego rodzaju mężczyzn, którzy kochają tylko raz.

Trudno, skoro tak, musi wystarczyć, że ona pokochała jego i bez względu na wszystko pozostanie u jego boku, aby bronić go przed wrogami - zwłaszcza jeśli zalicza się do nich sir OÜber Landford.

Lodowaty dreszcz przeszedł Violet na myśl, że Landford może być w zmowie z zabójcami, dybiącymi na życie kapitana. Nazwisko admirała w nierozzerwalny sposób łączyło się w pamięci Violet z osobą jej brata Gideona, z postacią zbrodniczego earla Błaidsdale i nade wszystko z bólem po stracie wszystkiego, co najdroższe - ukochanych rodziców i beztrudnych lat młodości.

Miała szesnaście lat, kiedy jacht jej ojca poszedł na dno. Przypuszczano, że szalejący sztorm cisnął go na skały, a potem, uszkodzony, odrzucił na pełne morze i tam zatopił. Nigdy bowiem nie odnaleziono szczątków. Violet nie mogła pogodzić się z taką wersją wydarzeń. Kiedy minął szok i rozpacz zastąpił żal, nieskończoną ilość razy analizowała całą sprawę od nowa. Pamięć podsuwała jej obraz ojca, markiza Vere, za sterem jego ukochanej „Jaskółki”. Był wytrawnym żeglarzem, przed którym morze nie miało tajemnic. Tamtego fatalnego dnia wracał z rejsu, w który popłynął razem z jej matką. Violet nie mogła uwierzyć, aby, zaskoczony przez sztorm, ryzykował zbliżenie do skalistego, nieznanego wybrzeża.

Już prędzej zrefowałby żagiel i oddalił się od brzegu, aby tam zmierzyć się z żywiołem. Instynktownie wyczuwała, iż tragiczny wypadek wydarzył się na skutek podstępu i zdrady. Zwłaszcza że, jak się później dowiedziała, „Jaskółka” niosła pod pokładem ładunek złota, przeschmuglowany z Francji, wart prawdziwą fortunę!

Jeśli jeszcze miała wątpliwości, rozwiało je postępowanie Blaidsdale'a. Po śmierci rodziców lord ujawnił, że hipoteka posiadłości Vere'a jest obciążona karcianym długiem. Biedny Gideon, pomyślała, przypominając sobie, jak jej nieszczęsny brat zastawił cały swój majątek, aby honorowo spłacić dług ojca. Dług ów, jak podejrzewał, został celowo sfabrykowany. Niestety Vere nie potrafił przedstawić żadnych dowodów przestępstwa, zwłaszcza że wiadomo było powszechnie, iż stary markiz miał słabość do hazardu i częściej przegrywał, niż wygrywał. Jednocześnie jednak honor i lojalność wobec rodziny nie pozwalały mu nigdy ryzykować całej fortuny, nawet przy grze w faraona, w której szło mu najlepiej.

Violet z pasją zmięła w dłoni pachnący kwiat magnolii, którego słodką wonią upajała się jeszcze przed chwilą. Nikt nie był w stanie udowodnić Blaidsdale'owi, że z zimną krwią uknuł spisek, który pozbawił życia jej rodziców i skalał pamięć jej ojca. Podejrzenia o przejęcie jachtu i zatopienie go były zbyt słabo udokumentowane, aby można je było przedstawić sądowi.

Mimo to wszyscy z rodu Rochelle żywili przekonanie, że tragiczny splot przypadków był w rzeczywistości zbrodniczą intrygą, wyreżyserowaną przez

podstępne go Blajdsdale'a. Od tej pory oba rody znieawidziły się nawzajem. I oto nagle na arenie pojawił się kapitan Trevor Dane, przeciwko któremu uknuto podobną intrygę.

Konradmirał sir OHver Landford zdawał się istotnym trybem tego mechanizmu - a skoro tak, stało się jasne, że kapitan Dane znalazł się na niebezpiecznych wodach. Landford jest równie bezwzględny, jak jego brat Blajdsdale, myślała Violet, czując, jak otwierają się jej dawno zasklepione rany. Ta dwójka przestępców zdołała zniszczyć markiza Vere, który wydawał się jak opoka. Cóż dopiero mówić o kapitanie Dane, za którym nie stał nikt znaczący...

Właśnie, jaką szansę ma Dane w tej rozgrywce? Prawdę mówiąc, żadnej, nawet jeśli ona sama stanie za nim murem, przyznała z drzeniem. Tylko potężny diuk Albermarle byłby w stanie wystąpić skutecznie w jego obronie. Nawet sir Oliver musiałby się dwa razy zastanowić, nim wszcząłby walkę z takim przeciwnikiem. Lecz Dane wołał sam podjąć beznadziejne wyzwanie, niż zwrócić się do kogokolwiek po pomoc.

Violet musiała z podziwem przyznać, że męska duma nie pozwala Dane'owi na podporządkowanie się kobiecie, nawet jeśli działa w dobrej wierze. Boże, a cóż to właściwie za podporządkowanie? pomyślała z gorzkim uśmiechem. Po prostu pomaga losowi ocalić tego człowieka, nic więcej.

Ta konstatacja objawiła się jej w chwili, kiedy porucznik Freeman gładko usunął się, zostawiając ich samych. W postępowaniu oficera kryła się logika, która musiała przemawiać nie tylko do niej, ale i do Da-

ne'a. Magia postaci diuka Albermarle była potężna. Pomimo wszystkich swoich ekscentrycznych dziwactw dziadek jawił się Violet jako niekwestionowany autorytet - jedyny człowiek władny przeciwstawić się podłym intrygom.

Biorąc za żonę Violet Rochelle, Dane zyskałby poparcie członków wpływowego rodu. Co prawda Violet nie spodziewała się, że jej brat Gideon natychmiast stałby się popiecznikiem Dane'a - człowieka, który w jego pojęciu sprowadził na złą drogę ukochaną siostrzyczkę! Młody markiz Vere był nieobliczalny, jeśli chodziło o sprawy rodowego honoru.

Mimo wszystko Violet nie traciła nadziei, iż zdoła skłonić brata, aby stanął po stronie Dane'a. Udowodni mu, że wybrała właściwego człowieka. Gideon, przy całej twardości i gwałtowności swego charakteru, kochał siostrę nad życie i gotów był do wielu ustępstw na jej rzecz - zwłaszcza że czuł się opiekunem Violet po śmierci rodziców. Jeżeli zdoła przekonać brata, że kapitan jest mężczyzną jej życia, będzie mogła liczyć na jego pomoc. Tego była pewna.

Vere z pewnością potrafi zmusić kapitana, aby nie wahał się z decyzją. Ale jeśli nie... Violet cisnęła zgniecione płatki magnolii w strumień i patrzyła, jak spływają z prądem.

Nagły impuls kazał jej zawrócić. Dane, ubrawszy się przy jej pomocy w spodnie i koszulę, z pewnością zmusza teraz chłopca stajennego, by pomógł mu włożyć buty do konnej jazdy.

Nie myliła się. Dane, zlany potem, klął na czym świat stoi. Jakimś cudem zdołał chwiejnie wstać na

nogi i rzucił monetę chłopcu, który obserwował go szeptycznie spod zmierzwionej grzywki gęstych włosów.

- Nie za dobrze pan wygląda, mister - zauważył chłopak, zręcznie łapiąc monetę i chowając ją do kieszeni obszarpanego kaftana. - Pewnikiem zaraz legnie pan z powrotem w łóżu.

- Dam ci dobrą radę, młody: lepiej się nie wymądrzaj - warknął Dane, czekając, aż pokój przestanie krążyć mu przed oczami. - Zamiast pyskować starszym, zajmij się swoimi obowiązkami, dobrze? - Natychmiast pożałował karcącego tonu. Nie miał prawa przenosić swojego gniewu na chłopaka. Mały miał rację, daleko mu było do wyzdrowienia. Nie potrafi nawet wstać z łóżka bez pomocy! A przecież musi jak najszybciej opuścić Violet, skoro ona nie zechce wyjechać. Jeśli królewscy ludzie potrafili go tu znaleźć, potrafią i inni.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - zwrócił się do stajennego z łagodnym uśmiechem.

- Tommy Ellers, panie - odparł chłopak z czujną miną. Mógł mieć najwyżej dziesięć lat.

- Przepraszam, Tommy, że byłem niemiły. Bardzo mi pomogłeś. A teraz leć do stajni i powiedz, żeby osiodłali mi konia i przeprowadzili po podwórzu. Niedługo odjeżdżam. Zrobisz to dla mnie?

- Obawiam się, że nie zrobi - odezwał się od drzwi kobiecy głos.

Dane wyprostował się, zaciskając zęby.

- Tommy, rób co ci każe - powiedział do chłopca, nie patrząc w te przekłete, fiołkowe oczy.

- Nie zrobisz tego, Tommy - oświadczyła spokojnie Violet. - Sam widzisz, że kapitan nie może wstać z łóżka, a co dopiero dosiąść konia. Byłabym nato miast wdzięczna, gdybyś zszedł do kuchni i powie dział pani Tankersley, że może już przysłać bulion.

Dane odwrócił się ku niej gwałtownie. Czarne oczy połyskiwały gniewnie.

Chłopak, zdezorientowany, popatrywał to na wyniosłą lady, to na rozgniewanego kapitana. Wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie się stąd wynieść.

>- Pan wybaczy, sir, i madame także, ale słyszę, że mnie wola stary Jemie Coggins, znaczy stajenny. Muszę lecieć - szurnął nogą w niezdatnym ukłonie, po czym przemknął jak strzała obok Violet i zbiegł po schodach.

- Jeśli myślisz, że to coś zmieni, bardzo się mylisz - stwierdził chłodno Dane. - Odwlekasz tylko to, co nie uniknione.

Violet odpowiedziała mu uśmiechem.

- Doprawdy dziwne, gdyż mogę powiedzieć to samo o tobie, *mój* kapitanie. Ale jestem w zbyt dobrym nastroju, żeby się z tobą kłócić. Właśnie wróciłam z pięknego spaceru. Bardzo bym chciała, żebyś przestał się gniewać i wypił ze mną herbatkę w salonie.

- Diabeł w tym miesza, Violet - powiedział Dane, udęczony własną słabością. - Przecież wiem, że robisz wszystko z troski o mnie i jesteś gotowa mi pomóc nawet z narażeniem życia.

Dane podniósł się z ogromnym wysiłkiem i stanął przy łóżku. Violet, widząc, że chwieje się na nogach,

troskliwie podparła go ramieniem i poprowadziła do salonu.

- Widzę, że przypisujesz mi szlachetne pobudki, i doceniam to - powiedziała. - Nie wątpię również, że jesteś mi głęboko wdzięczny, choć wdzięczność jest ostatnim uczuciem, jakiego od ciebie oczekuję.

- Ostatnim uczuciem... - powtórzył Dane, przystając i obracając się ku Violet. - Jeśli zatem nie chodzi ci o moją wdzięczność, czego ode mnie chcesz?

- W tej chwili chcę tylko, abyś usiadł grzecznie przy stole, a ja poślę po śniadanie - odparła lekkim tonem, choć pałający wzrok Dane'a sprawił, że serce zabiło jej szybciej. - Szczerze mówiąc, jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami, a i ty powinienes się wzmocnić.

- Tylko nie mów, że chcesz wypić ze mną herbatkę, i to wszystko - warknął.

- Nie - odparła z niezmaconym uśmiechem. - Ale pusty żołądek nie sprzyja myśleniu.

- Nie musisz myśleć. Zdradź mi tylko, jaką aferę uknułaś w imię tak zwanego mojego dobra.

- Kochany, nie wściekaj się na mnie - poprosiła pojednawczym tonem. - Czuję się winna, bo swoim pojawieniem się pogorszyłam twoją i tak już fatalną sytuację, ale jestem gotowa naprawić swoje błędy.

- Och, nie wątpię - szydził, zerkając na nią czujnie spod przymkniętych powiek. - Może zdradzisz mi w takim razie, co zamierzasz zrobić?

- Wyjście jest bardzo proste - wyjaśniła z niezachwianym spokojem. - Proponuję, abyś ożenił się ze mną, kapitanie, i to jak najszybciej.

Dane wiedział, że może się po Violet spodziewać wszystkiego, ale jak zwykle go zaskoczyła.

- Składasz mi małżeńską propozycję? - wyjąkał. -Chcesz zrobić ze mnie porządnego człowieka? Daj spokój, Violet, mogę ci tylko pogratulować oryginalnego pomysłu.

- Nie kpij sobie ze mnie - zachnęła się. Właściwie nie była zaskoczona jego wyraźnym brakiem entuzjazmu. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się niczego innego. -To nie ma nic wspólnego z poprawianiem twojej reputacji. Uważam, że nie masz sobie nic do zarzucenia. Twoja reputacja nie ucierpiała.

- Nie wiem, jak moja, ale twoja ucierpiała na pewno - odparł szorstko. - I nie popełnię ponownie tego błędu. Wrócisz grzecznie do dziadka i poczekaasz, aż wybierze ci odpowiedniego kandydata, który z pewnością będzie lepszy ode mnie. Wyjdiesz za mąż i może nawet nauczysz się być szczęśliwa, a jeśli nie, przynajmniej będziesz żyć w dostatku.

- A ty w tym czasie zejdziesz z tego świata bez mojej opieki - stwierdziła cierpko.

- O, tu już przesadziłaś! Nawet jeśli przedwcześnie pójde do grobu, bądź pewna, że nie będziesz uczestniczyć w moim pogrzebie. Mam nadzieję, że nie zamierzasz skrócić moich cierpień, dobijając mnie we śnie?

- Szanuję twój sen, kapitanie - odezwał się kpiący męski głos za jego plecami. - A Violet tym bardziej. Niemniej jednak czuję się zmuszony zobligować cię do pewnych rzeczy.

Dane odwrócił się i zobaczył wysokiego, chudego mężczyznę odzianego w elegancki dwurzędowy sur-

dut z perłowymi guzikami, szare pantalony i wysokie kawalerskie buty z czarnej skóry, wypolerowane na wysoki połysk. Mężczyzna ów wyłonił się zza wysokiego oparcia fotela stojącego przy kominku. Bystre oczy o kolorze wyblakłego nieba wpatrywały się w Dane'a spod spuszczonej powiek.

- Wasza ekscelencjo - Violet powitała gościa ukłonem.

~ We własnej osobie - odparł diuk Albermarle.

Dane, patrząc na diuka Albermarle ponad blatem imponującego mahoniowego biurka, z irytacją zmuszony był przyznać, że los znów go zaskoczył. Rano, w gospodzie, patrzył w oczy Violet, leżącej u jego boku, a wieczorem, w zamkowej bibliotece, jej dziadek arystokrata oczekuje od niego oświadczeń. Piekło i szatani!

Od czasu kiedy dowiedział się, z jakiej rodziny pochodzi Violet, zdawał sobie sprawę, że diuk Albermarle nie zostawi go w spokoju. Dane nie zamierzał uchylać się od odpowiedzialności. Był *przygotowany* na wszystko, nawet na pojedynek, pod warunkiem, że najpierw rozprawi się ze swoimi wrogami.

Na razie liczyła się dla niego tylko jedna sprawa - bezpieczeństwo Violet. Tymczasem zamiast uwolnić ją od swojego towarzystwa, znalazł się razem z nią w rodowej siedzibie diuka. Jak zatem zdoła przekonać dziadka* że najlepiej dla jego wnuczki będzie, jeśli wszyscy zapomną, iż spędziła noc w gospodzie w jednej sypialni z Trevorem Dane? Na miejscu Albermarle^ darłby pasy z drania, który ośmielił się skompromitować jego podopieczną. Jedno tylko by-

ło pocieszające - groźny dziadek zażądał wykluczenia Violet z całej afery i rozegrania z nim sprawy w cztery oczy. O dziwo, pomimo dążenia do samodzielnego decydowania o własnym losie, tym razem Violet przyjęła decyzję swego opiekuna bez sprzeciwu. Czyżby aż tak bardzo wierzyła w nieunikniony bieg wypadków?

Jednocześnie Dane miał wrażenie, że Violet wie o czymś, o czym nie wie on. Ale przecież w ciągu krótkiej znajomości zdążyła mu już sprawić niejedną niespodziankę...

Tak czy owak, teraz został z diukiem sam na sam.

Dane pokiwał głową ze smętnym uśmiechem, przypominając sobie, jak lady Violet Rochelle złożyła kompletnie ogłupiałemu kapitanowi Trevorowi Dane propozycję małżeńską, po czym ponowiła ją w obecności dziadka, gdy ten wkroczył do ich pokoju w gospodzie. Co najbardziej zaskakujące - była święcie przekonana, że pomagając Dane'owi ściągnęła na jego głowę jeszcze większe zagrożenie. Rzeczywiście, nawet gdyby kapitan jakimś cudem zdołał uporać się ze swymi wrogami, prawdopodobnie nie przeżyłby pojedynku z markizem Vere.

- Choć bardzo kocham mojego brata, kapitanie - wyznała wtedy Violet - nie będę ukrywać, że to diabeł wcielony. Jeśli postanowi cię zabić, nie zawaha się ani chwili. A jest prawdziwym mistrzem pistoletu i szpady.

Wyjątkowo musiał przyznać jej rację. Nawet jeśli okazałby się godnym przeciwnikiem markiza, nie byłby w stanie wpakować kuli w serce człowieka, który

broni czci ukochanej siostry. Tak nisko jeszcze nie upadł. Jednocześnie honor nie pozwalał mu poślubić Violet tylko dlatego, iż chciała w ten sposób ratować go z opresji.

Ten nierozstrzygalny dylemat doprowadzał kapitana do wściekłości. Ponuro zerknął na diuka, który wygodnie rozparty w wielkim, skórzanym fotelu, z zaciekawieniem śledził grę emocji na jego twarzy. Dane, milcząc, wciąż rozpamiętywał rozmowę z Violet w gospodzie.

- Jeśli twój brat jest tak twardym i gotowym na wszystko człowiekiem - powiedział wtedy - winie-nem się cieszyć, że masz w nim obrońcę i opiekuna. Potrzebujesz mocnej ręki, panno Rochelle.

- Skoro tak, ożeń się ze mną, kapitanie - wypaliła bez wahania. - Vere będzie ci wdzięczny za to, że zdjąłeś mu z głowy troskę o mnie. Ja zaś obiecuję, że będę pokorną małżonką.

- O, nie, moja kochana, w to nigdy nie uwierzę -zaśmiał się sceptycznie. - Poza tym wcale nie marzę o pokornej małżonce.

- W takim razie świetnie do siebie pasujemy, kapitanie, bo ja również nie cierpię pokornych nudziarzy -odparła z uśmiechem.

- Akurat! - wybuchnął Dane, który zaczynał już tracić cierpliwość. - Jesteś wnuczką diuka, a ja człowiekiem bez przyszłości. W tej chwili z trudnością zdołałbym zapewnić nam dach nad głową, a cóż dopiero mówić o stworzeniu warunków, do jakich jesteś przyzwyczajona. Nie pasujemy do siebie, moja pani. Wasza wysokość zapewne zgadza się ze mną?

- Być może - powiedział wymijająco Albermarle,

w zamyśleniu postukując trzymanym w ręku mono-kłębem o podbródek. - Z drugiej strony należy się zastanowić nad filozoficznym aspektem całej sytuacji. Czy można bowiem oddzielić dzień od nocy? Czy w rzeczywistości nie są one częściami całości, harmonijnie łączącymi się w jedność? Wszak kiedy Słońce wschodzi w Devon, zachodzi w Mandżurii.

- Istotnie, wasza miłość - przytaknęła z uśmiechem Violet. - Posunęłabym się nawet dalej w tym rozumowaniu, twierdząc, że w kosmicznym porządku rzeczy całość istnienia stanowi niepodzielną jedność. Jednakże sądzę, iż w naszej sytuacji należy wrócić do bardziej szczegółowych rozważań.

I tak zdumiewający splot wydarzeń doprowadził Dane'a nieuchronnie do punktu kulminacyjnego, w którym miał przedyskutować z diukiem Albermarle ustalenia dotyczące własnego ślubu.

- Skoro nalegasz, moja droga, pozostawmy nasze jakże interesujące teorie na później - zgodzi! się dziadek - Zatem, co do kwestii szczegółowych, sądzę, że moja wnuczka może się czuć szczęśliwa, wychodząc za earla. Zaś co do dachu nad głową, uważam, iż Blackthorn Manor będzie jak najbardziej odpowiednią siedzibą. Krótko mówiąc, nie mam nic przeciwko połączeniu dwóch tak świetnych rodów. Nie mówiąc o innej, ubocznej korzyści mariażu, jaką byłoby uwolnienie raz na zawsze zamku Albermarle od najazdu starających się natrętów.

Dane poczuł się tak, jakby otrzymał nagle piorunujący cios w splot słoneczny. "Z, całej przemowy diuka dotarło do niego tylko jedno: jego wuj, Blackthorn, nie żyje!

Powinien poczuć żal, złośliwą satysfakcję, cokolwiek. Tymczasem dawne urazy stały się tylko cieniem wspomnień tak obcych, jakby należały do innej osoby. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć twarzy wuja.

Dane nigdy nie spodziewał się niczego dobrego ze strony człowieka, który najwyraźniej dążył do tego, by bratanek nie sięgnął po tytuł dziedzica Blackthorn Manor. Z tym większą niewiarą zaczął sobie uświadamiać, że niemożliwe stało się faktem - on, Trevor Dane, został nowym earlem Blackthorn.

Mirno starań cień emocji musiał zaznaczyć się na jego twarzy, gdyż Violet wyrwała go z zamyślenia okrzykiem:

- Ty nie wiedziałeś! Przykro mi, Dane, że musiałeś w taki sposób dowiedzieć się o śmierci wuja.

- Nic się nie stało - wzruszył ramionami. - Raczej się nie kochaliśmy. - Gorzki grymas wykrzywił mu wargi. - Nie myśl, że cieszę się z jego śmierci. Ale też nie czuję żalu. Prawda jest taka, że od dziewiętnastu lat nie miałem żadnej wiadomości o Blackthornie. Byłem dwunastoletnim chłopakiem, kiedy wysłał mnie na morze na moją własną prośbę. Od tej pory żaden z nas nie odczuwał potrzeby kontaktowania się z drugim.

- Co nie zmienia faktu, że prawnik wuja zgodnie z przepisami winien wezwać pana, jako jedyne spadkobiercę, aby mógł pan formalnie przejąć majątek - stwierdził Albermarle. - Gdy w grę wchodzi dziedziczenie tytułu, nie mówiąc już o spadku, fakt, iż minęło siedem miesięcy od zgonu właściciela i nie zostało doręczone wezwanie, jest doprawdy zastanawiający.

Nie taki znowu zastanawiający, pomyślał Dane. Przez dwa lata bez przerwy przebywał na morzu, a potem przez trzy miesiące leczył się z ran na Gibraltarze. Do tego po powrocie do Anglii zlikwidował mieszkanie w Londynie, gdyż nie mógł podołać jego utrzymaniu. Chłopiec pod opieką niańki został wcześniej wysłany do Kent. Zamieszkała z nim u swojej owdowiałej siostry. Dzięki temu Dane mógł zająć się własnymi sprawami. Wysłannik, który usiłowałby go odnaleźć, miał bardzo utrudnione zadanie.

Urzędowe powiadomienie... Dane poczuł nagle, jak ścisną go w gardle.

Musiał być wysłannik! Lecz nie odnalazł kapitana Dane, który walczył ze śmiercią w szpitalu na Gibraltarze. Za to odnalazł Lynette.

W tym momencie stało się dla niego jasne, dlaczego Lynette niespodziewanie wyruszyła do Blackthorn Manor. Dowiedziawszy się, że Dane jest jedynym spadkobiercą, skorzystała z przysłanej karety i pojechała do umierającego earla zamiast męża. Czemu była tak nieostrożna? Mogła się przecież spodziewać, że Trevor zostanie uznany za uzurpatora, którego należy za wszelką cenę wyłączyć ze spadkowej gry. Coś ważnego musiało sprawić, że podjęła ryzyko - i ktoś musiał czyhać na nią po drodze.

Dane nie mógł się pozbyć dręczącego podejrzenia, że kareta z Lynette nie przypadkiem zmyliła drogę. Im więcej rozmyślał o wydarzeniach tamtej fatalnej nocy, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, iż napad był zaplanowany. Ktoś z rozmysłem zabił jego żonę, podobnie jak ktoś z rozmysłem wsadził mu kulkę w plecy.

Zrazu nie zdziwił się, że Lynette wysłała Philippe'a do Kent. Sądził, iż nie chciała męczyć małego dziecka długą podróżą. Ani temu, że kazała niani powiadomić kapitana na wypadek, gdyby nie wróciła w porę po syna. Podróże w tych czasach nie były bezpieczne i wiele osób zostawiało podobne instrukcje.

Albo tak sobie tylko wmawiał, gdyż bardzo szybko zaczęła go prześladować myśl, że coś jest nie w porządku. Teraz podejrzania zmieniły się w pewność. Lynette odesłała dziecko, gdyż wiedziała doskonale, jak niebezpiecznej misji się podejmuje.

Skąd wiedziała? Jaka groźba skłoniła ją, by oddać ukochanego synka do nędznego domu na wsi i wyruszyć do Blackthorn House, gdzie sama wszak niewiele mogła załatwić, nie mając mężowskiego upoważnienia? Czyżby chciała odciągnąć niebezpieczeństwo od Philippe'a? Dlaczego świadomie pozwoliła uwikłać się w intrygę, zamiast schronić się z synem w bezpiecznym miejscu i czekać na powrót męża? Dane nie miał wątpliwości, że nic nie było przypadkowe w tym diabelskim splocie okoliczności, tak jak był pewien, że Philippe Lambert nie przypadkiem posłał go w zasadzkę do katedry Świętego Jana.

Dane podejrzewał, że gdyby nawet jego żona żyła, dowiedziałby się od niej niewiele więcej. Jeśli zajście w katedrze i ucieczka Lynette z Londynu wiązały się z osobą jej brata, Philippe'a Lamberta, należałoby szukać śladów w jej przeszłości. Lecz w tych sprawach była zawsze bardzo tajemnicza.

Niech to diabli! Minęło siedem lat, od kiedy razem z Lynette uciekł z Francji, lecz przez ten czas niewie-

le dowiedział się o kobiecie, która została jego żoną. Tylko tyle, że była córką hrabiego Delacourt, który wraz z małżonką zginął zlinchowany podczas rewolucji przez tłum, oraz siostrą kapitana Philippe'a Lamberta z napoleońskiej floty. Więcej nie chciała mu opowiedzieć o sobie, zupełnie jakby jej życie zaczęło się od momentu, kiedy zbiegły z niewoli angielski żeglarz zapukał do drzwi jej wiejskiego dworku na północy Francji, prosząc o pomoc. Nie tylko pomogła mu, ryzykując życie, ale uciekła razem z nim do Anglii. Dlaczego nigdy mu się nie zwierzała? Co ukrywała i co naprawdę groziło dziecku?

Pytania mnożyły się bez końca. Dane miał nieodparte wrażenie, że Violet musiała wcześniej dowiedzieć o Lynette i małym Philippe. Ale skąd?

- Zdaje się, że los znowu wykonał wolę, czyniąc mnie nagle odpowiednim kandydatem do małżeństwa nawet dla wnuczki diuka - stwierdził z ironią. - Muszę ci jednak powiedzieć, Violet, że mam syna. A siedem miesięcy temu miałem żonę.

Pierś Violet uniosła się gwałtownie.

- Lynette - wyszeptala beł tchu. - Wiem, ona nie żyje. Przywoływałaś ją w malignie tam, w gospodzie. I Philippe'a. Mówiłeś, że syn jest wszystkim, co masz. Wybacz, że zapytam. Jak zginęła jego matka?

- Została zastrzelona, gdy jej powóz wpadł w zasadzkę w drodze do...

- Do Blackthorn - dopowiedziała z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach. - Pewnie zastanawiasz się, po co tam jechała. Jechała do earla, żeby...

- Wuj na łożu śmierci kazał mnie wezwać jako je-

dynego dziedzica - przerwał jej. - Ale ja byłem daleko na morzu. - Jak zwykle, dodał ponuro w myśli. W ciągu siedmiu lat małżeństwa byli z Lynette razem tylko przez cztery miesiące. Dal swoje nazwisko jej i dziecku, którego prawie nie znał - i nic więcej. Tylko śmierć.

Ale nic więcej od niego nie chciała. Ani razu nie zapytała, czy ją kocha. Chryste, to on powinien jechać do Devon w tej przeklętej karecie. A teraz mógł jej ofiarować tylko jedno: opiekę nad synem.

- Jeśli pragniesz męża, panno Rochelle, winienem się czuć zaszczycony, prosząc cię o rękę - powiedział Dane, patrząc Violet prosto w oczy. - Proponuję jednak, abyś zostawiła sobie czas na podjęcie decyzji. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziałaś się, że mam dziecko.

- Dziecko, które straciło matkę, tym bardziej potrzebuje domu i rodziny - podchwyciła z przejęciem i ze wzruszeniem. - Oczywiście wiem, że nigdy nie zastąpię mu Lynette, ale wierzę, że Philippe mnie polubi. Zaś ty, Dane, tym bardziej winienes być mu ojcem. Kto wie, może już nawet nie pamięta, jak wyglądasz.

- Zapomniałaś o jednym drobiazgu, moja droga - wtrącił sucho Albermarle. - Jeśli poślubisz ojca Philippe[^], twój przyszły syn nie będzie pierwotnym dziedzicem.

- Wiem o tym doskonale - odparła bez wahania. -Ale jeśli to będzie nasz wspólny syn, z pewnością zostanie żeglarzem jak jego ojciec i mój ojciec. Mamy morze we krwi, przecież wiesz o tym dobrze, ekscelencjo. Czy prosisz o moją rękę, lordzie Blackthorn? - wyzywająco spojrzała na Dane'a. - Nie miałam am-

bicji, aby upolować earla, choć taka partia świetnie pasowałaby do mojego tytułu. Na szczęście zdążyłam zaproponować ci mariaż wcześniej, zanim jeszcze odziedziczyłeś tytuł i fortunę.

- Hej, moja panno, czy aby nie wychodzisz przed szereg? - pohamował ją dziadek ze skrywanym rozbawieniem. - O ile wiem, dobry ton i obyczaj nakazują, aby starający się spytał najpierw o pozwolenie męską głowę rodu. A jako że mój syn z oczywistych względów nie może odegrać tej roli, muszę go w niej zastąpić. Dlatego zarządzam, abyśmy jak najszybciej wynieśli się z tej obskurnej nory do Albermarle i tam dokonali niezbędnych ustaleń.

Do diabła, zaklął w duchu Dane, opierając bolące ramię o poręcz fotela i obserwując proste plecy starego diuka, nalewającego brandy przy stoliku.

- Zamyśliłeś się, lordzie Blackthorn - zauważył Albermarle. Wręczył Dane'owi kieliszek i wzięwszy swój, ponownie usadowił się za biurkiem. - Wcale ci się nie dziwię. Nie miałeś zamiaru poślubić mojej wnuczki i bez pardonu dałeś mi to do zrozumienia. Powinniśmy wspólnie rozważyć, jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy najprościej nie będzie zastrzelić cię teraz, kiedy siedzisz tu przede mną.

Na te słowa Dane uniósł wzrok i popatrzył prosto w lufę pistoletu, który wyglądał na naładowany, odbezpieczony i na dodatek pewną ręką wymierzony w jego pierś sponad blatu biurka. Nie poruszył się; trwał nieruchomo, wpatrzony chłodnym spojrzeniem w oczy diuka.

- I co ty na to, Blackthorn? - zagadnął Albermarle takim tonem, jakby pytał o pogodę. - Czy mam za kończyć tę niewdzięczną sprawę? :i

Dane stłumił przekleństwo. Nie zależało mu szczególnie na życiu i nie lękał się śmierci. Zbyt wiele razy w przeszłości patrzył jej w oczy. Niemniej jednak zżymał się na myśl, że miałby dokonać żywota zastrzelony w wygodnym fotelu przez ekscentrycznego arystokratę, zamiast zginąć w walce jak przystało na żołnierza. Prędzej jednak umrze, niż będzie błagał o życie!

- Nie wątpię, że postąpisz jak zechcesz, wasza miłość - odezwał się spokojnym głosem. - I nie będę cię za to obwiniał. Masz absolutne prawo wątpić w czystość moich intencji *co do* Violet - poza jedną sprawą. Nigdy nie skrzywdzę świadomie lady Rochelle i uczynię wszystko, *co* w mojej mocy, aby uchronić ją przed złem. Poza tym nie mogę niczego obiecywać. Jeśli mam być szczery, sądzę, że lepiej będzie dla niej, jeśli zniknę z tego świata.

- Istotnie? - Wylot lufy nie przesunął się ani o cał. - Być może masz rację, kapitanie. Lgną do ciebie kłopoty. Mimo to wzdramam się strzelić do ciebie. -Diuk odłożył broń na biurko i odchylił się w fotelu. Oblicze miał jak zwykle nieprzeniknione. - Sądzę, że wybaczysz mi to małe ćwiczenie w celowaniu. Nic nie jest lepszym sprawdzianem prawdziwej natury mężczyzny niż postawienie go w obliczu śmierci. Musiałem się upewnić, że jesteś taki, na jakiego wyglądasz, kapitanie Trevorze Dane, a raczej lordzie Blackthorn. Skoro moja wnuczka wybrała ciebie, muszę uprawomocnić jej decyzję, jeśli tak można powie-

dzieć. W końcu sam kazałem jej wybrać sobie męża.

- Nie przypuszczam, aby myślał pan o kimś takim jak ja, sir
- stwierdził Dane.

- Wątpliwe, aby wiedział pan, co sobie myślałem -
odparował Albermarle. - Ale wkrótce pan się dowie. Byłbym
wysoco niezadowolony, gdyby okazało się, że ktoś poświęcił
szczęście Violet nawet dla szlachetnych celów. Ona zaznała
już wystarczająco wiele goryczy w swoim młodym życiu.
Choć muszę przyznać, że jak dotąd wykazuje pan niezwykle
wycucie jej charakteru. Co właściwie nie powinno dziwić,
gdyż jest pan w niej zakochany. Proszę tylko nie zaprzeczać.
Nie ma innego wytłumaczenia dla całkowicie nieracjonalnych
zachowań, jakie prezentuje pan ostatnio, lordzie Blackthorn.

- Przyjąłem słowa waszej ekscelencji z dużą ulgą - wyznał
Dane, wcale nie zachwycony kolejnym zwrotem rozmowy. -
Przynajmniej wasza ekscelencja nie uważa mnie za głupca.

- Wszyscy zakochani mężczyźni stają się głupcami -
warknął Albermarle z niespodziewaną irytacją. - Taka jest
natura tej choroby. Jednak mądrzy mężczyźni nie trwonią
swego doświadczenia, rozmieniając je na drobne, a to, jak
podejrzewam, właśnie panu grozi, lordzie Blackthorn. W
każdym razie skoro Violet wybrała pana, zadbam, aby jej wola
się wypełniła, Tyle przynajmniej mam do powiedzenia w tej
sprawie. Jeśli zaś chodzi o sprawy konkretne, musi pan
wiedzieć, że moja wnuczka wniesie znaczny posag w wasze
małżeństwo, choć, o ile wiem, uważa się za ubogą sierotę
pozostającą na mojej łasce.

Dane usztywnił się natychmiast.

- W takim razie posag stanie się jej osobistym majątkiem. Mnie on nie interesuje - oświadczył chłodno. -Jeśli pragnę poślubić lady Violet, nie czynię tego dla jej fortuny.

- Sugeruję, sir - odparł równie chłodno Albermarle -aby nie lekceważył pan mojej hojności.

Dane, przeklinając się w duchu od durniów, z trudem przywołał się do porządku. Diabeł w tym miesza! Pół życia spędził w twardej szkole marynarki wojennej, a teraz zachowuje się jak pierwszy lepszy rekrut, tracący opanowanie w obliczu wroga!

- Przyznaję panu rację, ekscelencjo ~ rzekł już spokojniej. - Powiedziałem o wiele za dużo i przepraszam. Naturalnie nie miał pan najmniejszej intencji przekupienia mnie. Śmiem natomiast twierdzić, że w jednym punkcie pomylił się pan. Jak najbardziej pragnę poślubić Violet.

- Zdumiewasz mnie, Blackthorn. - Stary diuk w geście głębokiego namysłu złożył dłonie w piramidkę. -Wybacz moją ciekawość, ale co sprawiło, iż zmieniłeś zdanie?

- Po prostu w świetle dzisiejszych rewelacji doszedłem do wniosku, że tylko żeniąc się z Violet zapewnię jej bezpieczeństwo, Zdażyłem już poznać pańską wnuczkę na tyle, by wiedzieć, że jeśli raz sobie coś postanowi, nic nie jest w stanie zawrócić jej z obranego kursu.

- Doprawdy? - mruknął Albermarle. Dla niego jedynym przejawem konsekwencji Violet było staranne unikanie wszystkiego, na co nie miała ochoty. Ale

być może zawiniła tu moja żałośnie krótka starcza pamięć, pocieszał się. - I według ciebie, jakież to kurs przyjęła, kapitanie?

- Taki, który doprowadzi mnie do szaleństwa - stwierdził ponuro Dane. - Już w czasie naszego pierwszego spotkania nie zawahała się przed ryzykiem, aby ratować mi skórę, i tak czyni do dziś. Nie dalej jak dzisiaj, w gospodzie, proponowała przecież wspólny front przeciwko moim wrogom. Poza tym jest gotowa wyjść za mnie także dlatego, że w ten sposób uchroni mnie przed pojedynkiem z markizem Vere. Sugerowała jednocześnie, że jako szwagier zamiast wroga zyskałbym w nim skutecznego sojusznika w walce.

- Całkiem prawdopodobne - przyznał diuk. Violet zawsze uważała starszego brata za bohatera i obrońcę, gdy tymczasem Gideon, niepoprawny rozrabiaka i ryzykant, gotów był dla zabawy rozgrzebać gniazdo szerszeni, aby poczuć dreszczyk emocji. - Ale, jak rozumiem, wolisz nie angażować nikogo w swoje porachunki?

- Nie chcę mieć na sumieniu śmierci jeszcze jednej kobiety - odparł Dane, odstawiając nietknięty kieliszek. - Będę spokojniejszy, jeśli Violet zajmie się swoimi obowiązkami jako pani na Blackthorn Manor i nowa mama dla Philippe'a. Ja zaś, jak przystało na lorda, ruszę do stolicy, by zająć się swoimi sprawami.

Albermarle lekko uniósł brew.

- Chcesz zostawić żonę w Devon, a samemu używać miejskiego życia? Tego nie przewidziałem.

- I słusznie, wasza ekscelencjo. - Dane spokojnie wytrzymał czujne spojrzenie starego diuka. Już dawno stwierdził, że Albermarle, choć sprawia wrażenie

ekscentrycznego dziwaka, który wiedzę o życiu czerpie z własnej biblioteki, stąpa mocno po ziemi i potrafi być niebezpiecznym przeciwnikiem. - Podejrzewam nawet, iż dobrze wiesz, że nie życiowych uciech będę szukał w Londynie, a czegoś zupełnie innego.

- Teraz rozumiem jedno: wzniosłeś się do poziomu earla, lecz nadal myślisz jak kapitan okrętu. Podejrzewam, że nawet nie przyszło ci do głowy, iż earl Blackthorn jest kimś zupełnie innym niż kapitan Trevor Dane z marynarki "wojennej. Akces do arystokracji nie chroni cię przed zamachem, ale z pewnością stwarza ci nowe możliwości zarówno ataku, jak i obrony, i to o wiele bardziej subtelne niż te, którymi posługiwałeś się dotychczas. Dżentelmen wykorzystałby swoją pozycję dla poszerzenia myślowych horyzontów, lecz ty, niestety, nadal ograniczasz się do celów czysto militarnych.

Dane przygryzł wargi.

- Do diabła, zdaje się, że jestem przypadkiem beznadziejnym.

- Spokojnie, jeszcze nabierzesz wprawy - pocieszył go Albermarle, wstając z fotela na znak, że uważa rozmowę za skończoną. - Mam nadzieję, że moja wnuczka wywrze na ciebie zbawienny wpływ, czy życzysz sobie tego, czy nie. A teraz, lordzie Blackthorn, proponuję, abyśmy dołączyli do Violet, która wraz z biskupem Longiem oczekuje nas w zamkowej kaplicy.

W kaplicy! Boże jedyny! Dane był wstrząśnięty. Albermarle nie tracił czasu. Sprowadził samego biskupa, aby zakuł go w małżeńskie kajdany! Z drugiej strony tylko biskup był władny udzielić ślubu w sytuacji,

w której nie dopełniono tak wielu wymaganych formalności.

Kiedy Dane wszedł przez łukowe, gotyckie wejście do kaplicy, oniemiał na widok Violet, strojnej w białą suknię wyszywaną w bladożółte różyczki. Na kruczych włosach miała welon z wiankiem z żółtych, jedwabnych róż, a w urękawiczonych dłoniach trzymała bukiet z żółtych tulipanów, przetykanych fiołkami. Kwiaty musiały pochodzić z dziadkowej oranżerii. Jeszcze nigdy Violet nie wydała się Dane'owi tak piękna.

- To ślubna suknia mojej mamy - powiedziała, szukając spojrzeniem jego oczu. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Zawsze marzyłam, że pójde w niej do ołtarza.

- Więc przynajmniej to marzenie się spełniło - odparł bardziej szorstko, niż zamierzał, i natychmiast dostrzegł wyraz bólu w fiołkowych oczach. - Wybacz - wymamrotał, wściekły na siebie. - Chciałem tylko powiedzieć, że chyba nie o takiej uroczystości marzyłaś. *Przykro* mi, że pozbawiłem cię pięknego przeżycia, słodka Violet. I wielu innych, które ci się słusznie należały.

Ku jego zaskoczeniu z uśmiechem pokręciła głową.

- Niepotrzebnie się zamartwiasz, Dane. - Położyła mu rękę na ramieniu i obróciła się ku biskupowi. - Dokładnie o takim ślubie marzyłam.

Oczywiście nie przyzna, że jest rozczarowana. Ktoś taki jak ona nie ma zwyczaju żałować tego, co nie mogło się spełnić. W tej sytuacji skromny, szybki ślub jest jedynym wyjściem, pomyślał gorzko. Nie wyobrażał sobie szumnej ceremonii z udziałem tłumu gości i rodziny. Patrząc na profil Violet widoczny zza

pajęczej zasłony welonu, pomyślał o Lynette, smutnej, samotnej dziewczynie, której serce zostało zranione na zawsze. Nawet w chwilach namiętności pozostawała odległa i niedostępna jak kwiat zaklęty w kryształ.

Dziś miał przy sobie Violet, wcieloną słodycz, niewinność w pełnym rozkwicie kobiecości. Krew wzburzyła mu się na wspomnienie niewprawnej, lecz pełnej gorącego zapалу odpowiedzi na jego pieszczoty. Doprawdy, Violet zasługiwała na kogoś lepszego niż on. Rozmyślania przerwał mu głos kapłana, proszącego o ślubną obrączkę. Skonfundowany Dane spostrzegł, że diuk wystąpił naprzód.

- Ja ją mam - powiedział Albermarle, szukając wzrokiem oczu Violet. - To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, kiedy Genevieve, lady Albermarle, zgodziła się przyjąć ją ode mnie. I wiem, że byłaby szczęśliwa, wiedząc, że od dziś będzie zdobiła dłoń jej wnuczki. - Jeszcze przez chwilę patrzył na Violet, której oczy załśniły od łez, a potem jego spojrzenie, jak zawsze nieodgadnione, przesunęło się na Dane'a. -Obrączka, lordzie.

- Tak, oczywiście - wyszeptał Dane, biorąc od diuka pięknie cyzelowany złoty krążek. Miał przemożne poczucie, że jak nieproszony gość przerwał chwilę niezwyklego porozumienia między dziadkiem a wnuczką. Ten moment, przeniknięty emocjami, stał się w jego świadomości dalekim echem innej, pospiesznej ceremonii, odprawionej przez kapitana okrętu, który wyłowił z morza dwoje zbiegów, dryfujących wśród fal na ukradzonej rybackiej łódce. Lecz kiedy wsunął sta-

ry, rodowy klejnot na palec Violet, dał się uwieść niezwyklej atmosferze starej kaplicy, obecności dostojnika Kościoła i przede wszystkim niezwyklej urodzie panny młodej. Wielki Boże, jego panny młodej...

Dopiero teraz z całą ostrością uświadomił sobie, jak bardzo się okłamywał. Nigdy w życiu nie pragnął nikogo tak, jak tej smukłej dziewczyny o rozmarzonych oczach. A kiedy w chwilę potem biskup ogłosił ich mężem i żoną, Dane uniósł welon Violet i patrząc w fiołkowe oczy, zrozumiał, że zrobi wszystko, aby zatrzymać przy sobie tę kobietę. I diabli niech wezmą resztę.

Trzy melancholijne uderzenia zegara w holu rozbrzmiały i rozplynęły się w nocnej ciszy. Violet skuliła się na łożu, trąc zlodowaciałe stopy jedną o drugą. Dane nie przychodził. Przed chwilą, zniechęcona, porzuciła swój posterunek u okna i postanowiła się położyć. To twoja noc poślubna, myślała, wsłuchując się w odgłos kropel bębniących o szyby. Samotna noc. Tak nie powinno być, zwłaszcza jeśli panna młoda nosi ślubną obrączkę babci Genevieve, symbol najpiękniejszej małżeńskiej miłości.

Z trudem przełknęła ślinę. Niezwykły gest dziadka całkowicie ją zaskoczył. Nie wyobrażała sobie, że mógłby rozstać się z najcenniejszą pamiątką. Odkąd pamiętała, nosił złoty krążek, doczepiony do dewizki zegarka z wieczkiem, które zdobiła miniatura Genevieve - ukochanej księżniczki, jedynej miłości jego życia. Darując obrączkę wnuczce, pragnął, aby stała się talizmanem szczęścia dla niej.

Widać nie zasłużyłam sobie na to, pomyślała smętnie Violet. Wspomniała małą dziewczynkę, która siedząc na kolanach dziadka, bawiła się błyszczącym krążkiem i słuchała opowieści o dzielnej i pięknej Ge-

nevee Hayden, gotowej poświęcić wszystko dla miłości.

Nie zapomniał, kochany, choć tak często narzekał na słabą pamięć! Nie był skłonny do ofiarowywania darów. A taki dar mógł wręczyć tylko komuś, kogo bardzo kochał.

Violet była bliska łez. Jak jutro spojrzy dziadkowi w oczy? A innym? Przecież rano cały zamek będzie wiedział, że lady Violet spędziła noc poślubną samotnie w swojej sypialni!

Czy mogła się tego spodziewać? Dane nie był przekonany do małżeństwa, więc sama doprowadziła go do ołtarza. Skąd miał wiedzieć, że wielbny Long jest szwagrem diuka? I że regularnie, każdego roku po Wielkanocy, przyjeżdża na parę dni do zamku, aby oddawać się swojej największej pasji - łowieniu ryb? Czystym zrzędzeniem losu w tym roku Wielkanoc wypadła w drugiej połowie kwietnia, a na dodatek wielbny, zaledwie się zjawił, już musiał wracać, wzywany przez pilne obowiązki, i został w zamku tylko na jedną dobę. Violet, przesyłając do dziadka wiadomość o kompromitujących wydarzeniach w gospodzie, liczyła na pomyślny zbieg okoliczności i nie przeliczyła się.

Kiedy został uruchomiony ten szczególny ciąg zdarzeń, wszystko potoczyło się tak, jak przewidywała. Diuk potrzebował od Dane'a jasnej deklaracji małżeńskich zamiarów i deklaracja taka została złożona. Niestety Violet nie przewidziała, że małżonek zdecyduje się nie skosztować małżeństwa. Tym gorzej dla niego, pomyślała ze złością, lecz za moment przeważyło poczucie winy. W końcu wmanewrowała go

na siłę w ten związek, realizując przy okazji własne, egoistyczne marzenia o ślubie w maminej sukni. Prędzej czy później Dane domyśli się - a może już się domyśla - że słynny łańcuch losowych wydarzeń został z rozmysłem sprokurowany - i będzie miał święte prawo potępić ją za to. Zwłaszcza teraz, kiedy niespodziewanie stał się earlem Blackthorn, człowiekiem obdarzonym i pozycją, i fortuną.

Na dodatek tytuł otworzył drogę sukcesji dla jego syna z poprzedniego małżeństwa. Na ironię zakrawał fakt, iż Dane, nie wiedząc jeszcze o swojej nowej sytuacji, ostrzegał ją, aby zastanowiła się nad poślubieniem mężczyzny z dzieckiem. Wówczas martwiła się wyłącznie o to, czy zdoła zastąpić matkę biednemu chłopcu.

Jak mogła naiwnie sądzić, że potrafi wpłynąć na bieg wypadków! Być może, gdyby pozostawiła sprawy ich własnemu biegowi, Dane z własnej woli zostałby z nią, a może nawet zdołałby pokochać ją choć trochę. Tymczasem wątpiła, czy w ogóle zechce jej wybaczyć.

A jednak w tej jednej zapierającej dech chwili, kiedy uniósł jej ślubny welon i spojrzał prosto w oczy, była pewna, że nie jest mu obojętna. W spojrzeniu Dane'a dostrzegła ciepło i namiętność, które przejęły ją dreszczem.

Dobrze, ale skoro tak, skoro choć trochę mu na niej zależy, czemu nie przyszedł, aby sięgnąć po swoje, aby chociaż zaspokoić najprostsze męskie pragnienia? Powędrowała spojrzeniem ku butelce najlepszego szampana, tkwiącej w kubelku, którą dziadek ka-

zał przysłać do ich komnaty jako prezent na noc poślubną. Doprawdy, w najgorszych snach nie przewidywała, że wydarzenia tak się potoczą. Jeszcze wczoraj deklarowała, że poślubi Dane'a, aby uchronić go przed wrogami i zemstą jej własnego brata - a dziś, kiedy dopełniła swojej obietnicy, earl Blackthorn daje jej jasno do zrozumienia, że wnuczka potężnego diuka Albermarle nie jest mu potrzebna. Przecież wszystkie drzwi, dotąd niedostępne dla prostego kapitana, nagle stały przed nim otworem!

O, tak, teraz było pewne, że magia tytułu, połączona ze sławą bohatera morskich bitew, otworzy mu drogę na salony! Żadne arystokratyczne party, żaden bal ani gala nie odbędą się bez wspaniałego bohatera! Zwłaszcza jeśli chodzi o zastępy kobiet, które ruszą do boju, znęcone jego urodą, pomyślała z drżeniem. Będzie tkwiła na posterunku w rodowej siedzibie, podczas gdy małżonek triumfalnie pożegluje do miasta na spotkanie całej armii chętnych dam. Gorzej, zostanie dziewczycą żoną!

O, nie, takiej hańby nie przeżyje. Przecież jest młodą, wrażliwą kobietą, a ten właśnie mężczyzna obudził ją do życia. Pokazał jej, że ciało jest instrumentem, na którym można grać najpiękniejszą muzykę wolności i upojenia. Czyż nie zakrawało na ironię, że człowiek, który wyzwolił z niej ukryte namiętności, zostawił ją samą w noc poślubną?

Czy w takim razie miał prawo mienić się jej małżonkiem? Właśnie, pomyślała z nagłym biciem serca. Skoro małżeństwo nie zostało skonsumowane, Dane ma prawo zażądać jego unieważnienia.

Do diabła! Nagle złapała się na tym, że zaczyna przeklinać jak marynarz, wzywając czartowskiego imienia. Są granice, do jakich może się posunąć ten szaleniec, za wszelką cenę broniący jej honoru. Nadeszła pora, aby zdecydowała o swoim losie. Violet zrzuciła okrycia i usiadła wyprostowana na łóżku.

Jeżeli Dane nie ma zamiaru przyjść do niej, sama pójdzie do niego. Tak z pewnością postąpiłaby babka Genevieve. Czemu jej wnuczka nie miałaby zrobić tego, co dyktuje jej *serce*? W końcu jest *żoną* kapitana, czy on tego chce, czy nie! Nie pozwoli się traktować jak cieplarniany kwiatek. Pokaże mu, że tak łatwo się jej nie pozbędzie.

Szybko wstała z łóżka i wzięwszy lichtarz, wyszła z sypialni.

Dane siedział wygodnie w rozłożystym klubowym fotelu, opierając chore ramię na poręczu. Wcześniej zdjął mundurową kurtkę i kołnierzyk, pozostając w rozpiętej pod szyją koszuli, i nalał sobie drugi kieliszek brandy.

Tkwiał nieruchomo, sącząc powoli bursztynowy płyn, i wpatrywał się w ogień na kominku. Kompletnie stracił rachubę czasu. Myślami krążył bezustannie wokół młodej kobiety, która pewnie już dawno przestała na niego czekać. Nie dowie się, że omal nie przegrał batalii z własnym pożądaniem. Świadomość, że ma prawo do ciała i serca Violet i nie może go wyegzekwować, doprowadzała go do szaleństwa.

Zaklął pod nosem i ponownie sięgnął po karafkę. Kiedy zaryzykował spotkanie ze swoim szwagrem

w La Valetcie w czasie, kiedy Malta wreszcie poddała się admirałowi Nelsonowi, nie wiedział jeszcze, że cena, którą przyjdzie mu zapłacić, będzie dotyczyć także Violet Rochefle. Diabelski traf sprawił, że wśród francuskich oficerów wziętych do niewoli zauważył Lamberta.

Philippe Lambert, książę de Delacourt, przeżył, gdyż jako jedyny z francuskich oficerów marynarki miał doświadczenie w walkach na lądzie. Dane usiłował pomóc mu przetrwać niewolę ze względu na Ly-nette, lecz jego możliwości były niewielkie.

- Lepiej byłoby, gdybyś w ogóle zapomniał, że mnie znałeś. Świat musi o mnie zapomnieć. Cesarz nie wybacza klęsk, *capitaine* - rzekł Filippe.

Francuz zawdzięczał mu życie i w nader dziwny sposób usiłował spłacić swój dług.

- Strzeż się, bracie - powiedział miękko, zaciskając palce na przegubie Dane'a. - W bitwie możesz być nieustraszonym wojownikiem, ale w cieniu nocy, gdzie rozgrywane są sekretne sprawy, pozostaniesz zaledwie nędznym pionkiem. Ochroniłeś moją sióstrę, kiedy ja nie byłem w stanie nic dla niej zrobić. Teraz proszę cię, abyś udał się za mnie do katedry Świętego Jana. Dziś, o północy. Zapal tam świeczkę w mojej intencji, *mon ami*. Żaden żołnierz nie potrafi walczyć z przeciwnikiem, którego nie widzi - dodał.

Do diabła, pomyślał Dane, czując piekący smak brandy rozlewający się na języku. Philippe mówił jakimś szyfrem, ale jego twarz wyrażała błagalne oczekiwanie. Nie potrafił odmówić. Lambert mógł być wrogiem Anglii, ale był też człowiekiem honoru. Lo-

jalnie próbował ostrzec człowieka, który ożenił się z jego ukochaną siostrą. I Dane poszedł, wiedząc, że ryzykuje.

Nie powiedział nikomu o swojej wyprawie, nawet Murdochowi. Uśmiech pojawił się na jego wargach na wspomnienie wiernego sternika. Murdoch byłby rozżalony, gdyby się dowiedział, że nie został zaangażowany do opieki nad małym Philippe'em ani też nie wiedział o tamtej fatalnej nocnej wyprawie. A przecież jego miejsce było przy boku kapitana i Dane, wchodząc na ciemne schody katedry, żałował, że nie ma przy sobie tego dzielnego osiłka.

Wspaniała świątynia z kamienia i marmuru, wzniesiona przez dawnych władców Malty, imponowała rozmachem i wielkością. Rzeźby, zdobiące fronton, stały jak milczący strażnicy na tle nocnego nieba. Tylko ciepła, żółta poświata dziesiątków świeczek, płonących w bocznej nawie, rozpraszała ponury majestat tego miejsca. Dane wrzucił pieniędzy do skrzynki, wziął świeczkę, zapalił ją i ustawił w niszy, po czym stanął nieruchomo z pochyloną głową, udając, że się modli. Czekał.

Wczulony instynkt ostrzegł go o czyjejś obecności, zanim jeszcze dosłyszał ciche kroki. Wycofał się w cień posągu i uważnie obserwował wnętrze kościoła. Z podcieni wyłonił się jakiś mężczyzna, a za moment dołączył do niego drugi. Z daleka Dane widział tylko ich niewyraźne sylwetki, lecz domyślił się, że nie było to przyjacielskie spotkanie. Ostra wymiana słów i gwałtowne gesty świadczyły, że doszło do sprzeczeki. Jeden z mężczyzn trzymał w ręku jakiś pa-

kunek i wyraźnie nie był skłonny oddać go drugiemu. W końcu jednak, po kolejnej wymianie argumentów, zawiniątko przeszło z rąk do rąk i obie postacie rozplynęły się w mroku.

Do diabła! Dane dałby wszystko, żeby wiedzieć, co zawierała tajemnicza paczka. Przyczał się jak ostatni dureń, zamiast uderzyć, korzystając z zaskoczenia.

Co gorsza, okazało się, że jego obecność została zauważona. Atak na schodach katedry był błyskawiczny. Dane'a zaalarmował ledwie słyszalny odgłos, może skrzyknięcie podeszwy skórzanego buta. Odwracając się, dostrzegł kątem oka napastnika w płaszczu z kapturem. Złowrogo błysnęło ostrze noża i Dane rzucił się w bok, sięgając po szablę. Napastnik, widząc, że stracił przewagę wynikającą z zaskoczenia, pobiegł do czekającego na ulicy powozu, który odjechał galopem, zanim Dane zdążył ochłonać.

Wkrótce po zdarzeniu w katedrze dostał rozkaz wyruszenia na morze i zabrania ze sobą Henry'ego Granville'a jako pasażera. Po co? Czyżby komuś zależało na tym, aby Dane już nigdy nie spotkał się z Lambertem?

Rozkaz wyjścia w morze wydał mu kontradmirał sir Oliver Landford. Tenże sam Landford był obecny na balu w rezydencji Granville'a, gdy sir Henry został napadnięty w swoim gabinecie. Dziwny splot przypadków! Tym bardziej dziwny, że to Landford miał najwyraźniej być ofiarą zamachu, w którego sprawie prowadził śledztwo młody porucznik Freeman. Wyglądało na to, że podstępna kula dosięgła Dane'a na drodze do Exeter niemal w tym samym czasie.

Piekiło i szatani! zaklął kapitan, ściskając kieliszek w rękę. Coraz bardziej wyglądało na to, że jego wrogowie, kimkolwiek byli, nie zadowolili się utraceniem jego morskiej kariery. Chcieli widzieć go martwym ~ zastrzelonym lub powieszonym jako zdrajca *Le Corbeau*.

Tylko takie wytłumaczenie miało jakikolwiek sens. Porucznik Freeman i jego ludzie nie przyszli do gospody po kapitana Trevora Dane, aby aresztować go i doprowadzić przed sąd wojskowy. Oni szukali francuskiego agenta, podejrzanego o zamach na sir Henry'ego w jego własnym gabinecie oraz na kontradmirała Landforda w jego kwaterze w Exeter! Tymczasem ktoś nakierował ich prosto na Dane'a.

To podejrzenie umocniło się, gdy Dane po raz kolejny zaczął rozpamiętywać zdarzenia w gospodzie. W bezpiecznym zacisku w Albermarle po raz pierwszy miał okazję spokojnie przemyśleć całą sprawę od początku, od chwili kiedy znalazł Violet w swoim łóżku. Choć wzięli ślub, będzie traktował ją jak żonę dopiero wtedy, gdy odzyska swoje dobre imię i uwolni się od wrogów. Niech to krwawe piekiło pochłonie, musi odkryć zdrajcę i oddać go w ręce Admiralicji!

Lecz, aby tego dokonać, musi pozostać żywy. I mieć pewność, że jego najbliżsi, Philippe i Violet, pozostaną bezpieczni. A co może zapewnić lepsze schronienie niż mury zamku Albermarle i potęga jego właściciela?

Chytry uśmieszek zaigrał na wargach Dane'a. Odjedzie o brzasku, kiedy jego fiołkooka czarodziejka będzie jeszcze spała. Odrzuciwszy głowę do tyłu,

wychylił kieliszek do dna, czując, jak alkohol rozlewa się po pustym żołądku.

Liczył na to, że z czasem Violet zapomni o nim. I nigdy nie domyśli się, ile kosztowała go ta samotna ucieczka. Jednego był pewien - obraz tej kobiety będzie nawiedzał go do końca życia.

Nagły powiew musnął mu rozgorączkowaną twarz. Uniósł głowę.

- Chryste - jęknął na widok pięknej zjawy w białej szacie, prześwitującej w blasku świecy. Przetarł oczy, podejrzewając się o pijackie zwidy. Wystarczyło, aby pomyślał o pięknej Violet, a już ujrzał ją jak żywą! Na ślepo sięgnął po karafkę i przekonał się, że jest pusta.

- Biedny kapitanie, musisz posłać po następną - odezwał się ciepły głos. - Ale czy będziesz tak okrutny, aby budzić starego Cousinsa w środku nocy?

Dane zamrugął nieprzytomnie.

- Violet, na Boga, to naprawdę ty...

- A kogo się spodziewałeś? - zapytała zaskoczona jego reakcją. Dane wyglądał, jakby zobaczył ducha. -Widzę, że powinnam przyjść wcześniej - dodała, odstawiając lichtarz na stół. ~ Wyglądasz na przerażonego, kapitanie.

- Wyglądam na sakramencko wściekłego - burknął, podnosząc się z fotela i stając przed nią. - W ogóle nie powinnaś tu przychodzić.

- Spodziewałam się, że to powiesz - odparła swobodnie, choć czarne oczy Dane'a ciskały gromy. Jej ukochany kapitan wyglądał szczególnie pociągająco w niedbale rozpiętej koszuli, z romantycznie zmierzwionymi włosami, które co chwila przeczesywał pal-

camy Obawiała się, że ją odtrąci, lecz było jej wszystko jedno. W nagłym odruchu przytuliła się do Dane'a, obejmując go ramionami w pasie. - Ale zapomniałeś chyba, że jestem dorosłą kobietą, a nie dzieckiem.

Zapomniał? Dobre sobie, jęknął w duchu, czując, że bliskość ciała Violet wznieca w nim żądze.

- Do diaska, Violet - warknął, usiłując uwolnić się z objęć żony. - Nie jestem młokosem ani jednym z tych twoich szacownych dobiegaczy, więc poniechaj salonowych gier!

- Naturalnie, mój drogi kapitanie. Za to uparcie wmawiasz mnie i sobie, że to ja jestem mdłym fiołkiem, na który trzeba chuchać i dmuchać, zamiast po prostu go zerwać - odparowała z pasją i zadziwiona własną śmiałością, *ujęła* twarz Dane'a w dłonie. - Popatrz na mnie. Czy naprawdę uważasz, że nie wiem, co jest dla mnie dobre? Musisz zdecydować za mnie?

Dane poczuł, że zaraz utonie w czarodziejskiej głębi spojrzenia Violet. Czy ta istota, złożona ze słodyczy i ognia, zdaje sobie sprawę, jak potężną ma nad nim władzę? Za chwilę zamąci mu rozum i skruszy ostatnie linie oporu.

Chwyił Violet za przeguby i uwięził jej ręce przy swojej piersi.

- Uważam, moja miła pani, że zachowałem się jak ostatni dureń, pozwalając ci związać się ze mną - powiedział dobitnie, patrząc jej w oczy. - W chwili kiedy zobaczyłem cię w tej przeklętej gospodzie, powinienem natychmiast zrejterować.

- Ale nie zrobiłeś tego - odrzekła rezolutnie. - Zresztą nie uciekłbyś daleko ze względu na swój za-

łosny stan. Wiesz dobrze, że beze mnie nie dałbyś sobie rady, mój ty dzielny rycerzu. Po prostu tak musiało być.

- Co się stało, to się nie odstanie, tak? - szepnęła, wdychając jej zapach.

- Na całe szczęście, Dane - odszepnęła.

Zmysłowy, przewrotny uśmieszek zaigrał na jego ustach.

- Nie wierzę, abyś cieszyła się z małżeństwa z człowiekiem, który zamierzał porzucić cię z pierwszym b łaskiem świtu.

- A ja nie wierzę, że honor pozwoliłby ci opuścić pannę młodą w noc poślubną - odparła, z drżeniem zauważając, że użył czasu przeszłego. - Zresztą nie na wiele by ci się to zdało - dodała z ironią. - Nie przyszło ci do głowy, że miałabym prawo w takim wypadku wystąpić o unieważnienie małżeństwa? Ale jeśli mimo wszystko uczynisz tak, mój szalony kapitanie, ^wiedz, że pójdę za tobą i nic mnie nie powstrzyma.

Czuł, że mówi prawdę, poznał to po twardym błysku w jej oczach. Puścił ją i oparł się o kominiek, niewi-dzącym spojrzeniem wpatrując się w żar. Jego słodka Violet... Drugiej takiej kobiety nie ma na całym świecie. Jasne, że pójdzie za nim wszędzie. Powinien się domyślać, że Violet odgadnie jego najtajniejsze zamiary.

Małżeństwo nie zostanie rozwiązane, a jego świeżo poślubiona żona nie zostanie sama ani w Albermarle, ani w Blackthorn Manor. *On* zaś nie wymknie się do Londynu, aby na własną rękę rozplatać sieci ponurej intrygi. Violet w każdym momencie będzie stała u jego boku.

O dziwo, ta świadomość wcale go nie zmartwiła. Przeciwnie, miał uczucie, że ciężar, który spoczywał na jego barkach, zelżał. Za to pojawiło się inne, nieporównanie miłsze doznanie, zrodzone w zupełnie innym rejonie jego ciała.

Dane zdecydowanym ruchem obrócił się ku Violet.

- Doprawdy, masz szczęście, że wszystko zawsze układa się po twojej myśli - stwierdził, patrząc na nią intensywnie.

Zaskoczył ją nagłą zmianą decyzji. Serce przyspieszyło bicie, gdy napotkała jego mroczne spojrzenie.

- Nie wiem, czy wszystko - odpowiedziała ostrożnie. - Pozostała jeszcze niezjedzona weselna kolacja i nietknięta butelka najlepszego szampana z zapasów dziadka, która czeka w mojej sypialni. Szkoda byłoby zmarnować tak wspaniałe dary Boże, prawda?

- Zaiste, szkoda - przyznał Dane, którego w tym momencie najmniej obchodziły nawet najwystawniejsze weselne uczyty, podlane najprzedniejszym szampanem. Podszedł do Violet i powoli zniżając głowę, musnął wargami jej usta. - Powiedz mi, słodka Violet - rzekł niskim, wibrującym emocją głosem - dlaczego do mnie przyszedłeś?

Z triumfalnym uśmiechem obserwował, jak śliczna twarz rozjaśnia się, promieniejąc niewinną zmysłowością. Przymknięte powieki uniosły się, a wielkie oczy popatrzyły na niego z miękkim rozmarzeniem,

- Pocałowałaś mnie - powiedziała oskarżycielsko -właśnie wtedy, kiedy postanowiłam być rozsądna.

- Tak, i bądź pewna, że zrobię to jeszcze raz - zapewnił solennie. - Będę cię całował dopóty, dopóki

nie odpowiesz na moje pytanie. Więc ponawiam je, Violet - powiedział, całując jej czoło, powieki i kąciki ust. - Dlaczego do mnie przyszedłeś?

Violet miała wrażenie, że wszystkie kości w jej ciele miękną, i rozpływała się jak roztopiony воск. Powolnym ruchem uniosła ramiona, zarzuciła je Dane'owi na szyję i chciwie przyłgnęła do niego. Dłonie męża natychmiast zabłądziły na jej plecy, a potem zsunęły się niżej. Dane zaborczym ruchem przygarnął krągłe pośladki.

Omam nie krzyknęła, gdy nagle poczuła, jak bardzo jest podniecony.

- No, dlaczego? - nalegał, skubiąc zębami krawędź jej ucha.

- A jak myślisz? - wyszeptala bez tchu, odchylając głowę na bok, aby łatwiej mógł sunąć wargami po jej szyi. - Jestem Violet Rochelle i kocham cię. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

Dane oniemiał. Violet wyznała, że go kocha! Nie spodziewał się, że usłyszy od niej takie słowa. Kiedy uparcie powtarzała, że go nie opuści, przypisywał ten zapal kobiecej ambicji i żądzy przygody. Jakże mógł myśleć inaczej, skoro robił wszystko, aby zniechęcić ją do siebie i ukryć, że omotała go od pierwszej chwili, kiedy się spotkali? Po prostu nie dopuszczał możliwości, aby lady Violet Rochelle, która mogła mieć każdego mężczyznę, zechciała oddać mu swoje serce! Niespodziewane wyznanie Violet dodało mu skrzydeł.

Zapominając o zranionym ramieniu, chwycił ją w objęcia i dźwignął w górę.

- Dane! - wykrzyknęła, instynktownie obejmując go za szyję. - Puść mnie natychmiast. Twoja rana!

Nie zważając na protesty żony, Dane poniosł ją do sypialni. Należała do niego i kochała go, i nic więcej się nie liczyło. Teraz już nic nie przeszkodzi mu wziąć to, co mu się sprawiedliwie należy. Odnalazł usta Vio-let i zaczął je całować z bolesną, namiętą czułością, zrodzoną z długich lat samotności. Wreszcie powoli opuścił żonę na ziemię, aż stanęła wtulona w niego ciasno, drżąca i spragniona dalszych pocałunków.

Dane szybkim ruchem ściągnął jej nocną koszulę przez głowę i cisnął na podłogę.

- Violet, moja Violet - wyszeptał chrapliwie, sycając oczy widokiem jej pięknego ciała. Stała przed nim, niewinna i bezwstydną zarazem, a wielkie oczy błyszczały w zarumienionej z podniecenia twarzy. Jego cudowna, jedyna lady Blackthorn. Nie czekał dłużej. Zerwał okrycie z łóżka i lekko pchnął Yiolet na posłanie.

Violet wstrzymała oddech, gdy Dane pochylił się nad nią, podparty na łokciu. Zachłannie błędził wzrokiem po jej twarzy i ciele, aż drżała, prężąc się pod jego spojrzeniem jak dotknięta najczulszą pieczęcią.

Dostyszał swoje imię, wypowiedziane wargami nabrzmiętymi od pocałunków, i znieruchomiał, czekając. Violet chwyciła jego dłoń, ucałowała i położyła na swej krągłej, nabrzmiętej piersi. Wyczytał z jej oczu wszystko, co chciał wiedzieć - że jest najdroższym, najukochańszym kapitanem i mężem. Pierwszym i jedynym mężczyzną, któremu dobrowolnie oddała serce.

Chciała należeć do niego, ciałem i duszą. Dane poczuł, że płonie. Ze zwierzęcym pomrukiem zaczął ją całować, sięgając językiem ukrytej słodyczy, a potem zagarnął ustami sutki, jeden po drugim. Poczuł, jak palce Violet wbijają mu się w barki. Ona też była cała ogniem i pragnieniem, niewinnym i nieświadomym, lecz szalonym i pełnym oddania. Dane opuszczał się coraz niżej, znacząc szlakiem pocałunków przeżące się ku niemu ciało, aż dotarł między uda i rozwarł je, odsłaniając to, czego tak pragnął. Powoli zniżył głowę.

- Ty potworze! - krzyknęła zdławionym głosem, oszołomiona dreszczem nieznanej pieszczoty. Co on wyczynia? Zaraz eksploduje z rozkoszy, a on, ten diabeł, znów nie chce być z nią!

- Spokojnie, kochana ~ powiedział, unosząc na chwilę głowę. - Nie bój się.

- Nie boję się, do licha! - jęknęła, zaciskając kurczowo dłonie na poduszce. - Tylko jeśli nie przestaniesz, oszaleję z rozkoszy. A nie chcę tego przeżywać bez ciebie, Dane. Nie tym razem. Już nigdy, rozumiesz? - wyrzucała z siebie urywanymi zdaniem.

- Nie tym razem - powtórzył, śmiejąc się gardłowo. Zerwał się i szybkimi, niecierpliwymi ruchami zaczął ściągać koszulę, pantalony i buty, aż wreszcie, nagi, stanął nad Violet. Leżała przed nim, piękna, wyczekująca.

- Słodka, śliczna Violet - wyszeptał, przyklękając nad nią i muskając ustami jej włosy. - Pragnę cię do szaleństwa. Powiedz mi, że też mnie chcesz, kochana.

- Chcę cię, kapitanie. - Violet przyciągnęła Dane'a

do siebie. - Tak bardzo, że zginę z pragnienia, jeśli mnie zostawisz.

- Ty diablico - syknął Dane, który wychwycił błysk rozbawienia w jej oczach. Przygniół Violet swoim ciężarem, a potem gwałtowną pieszczotą rąk i warg sprawił, że zaczęła wic się pod nim, dysząc.

- Dane, błagam, szybko - jęknęła, czując, że nadchodzi fala, która zaraz ją porwie. - Umrę bez ciebie!

- Zaraz, maleńka...

Udami rozdzielił jej uda i powstrzymując się resztką woli, wszedł w nią ostrożnie.

- To będzie niespodzianka - szepnął miękko, czując, że pot oblewa mu ciało. - Zaufaj mi, przeprowadzę nas gładko przez te niebezpieczne wody.

- Jestem gotowa na wszystko - odszepnęła, oplatając mu tułów nogami. Była jak żeglarz, prący ku nieznanemu lądowi z pasją odkrywcy.

Dane zaczął poruszać się w niej, zrazu powoli, a potem coraz szybciej, aż Violet krzyknęła, porażona niespodziewanym bólem. Momentalnie znieruchomiał, czekając, aż napięcie opadnie.

- Moje biedactwo - czule pocałował jej spocone czoło. - Najgorsze już za tobą, obiecuję.

Znów zaczął się poruszać delikatnie i z wyczuciem.

- Zaufaj mi, Violet. Jesteśmy dopiero na początku wspianego łańcucha zdarzeń.

I rzeczywiście. Teraz kochał się z nią niespiesznie, a płynny, miłosny rytm wiódł ich razem ku wyżynom, których istnienia dopiero zaczęła się domyślać, dążąc ku nim drogą słodkiej udręki. Żadna z radości tego świata, których doświadczyła w swoim krótkim

życiu, nie mogła się równać z wszechogarniającą pasją, jaką było połączenie z mężczyzną, panem jej ciała i serca. Kochała Dane'a tak jak on kiedyś zapewne kochał Lynette.

Lynette... Miłosne uniesienie przyhamował bolesny skurcz w piersi, który w następnej sekundzie rozpląnął się w nagłym pędzie ku spełnieniu. Dążąc do nieznanego, lecz coraz namiętniej upragnionego celu, Violet uczepiła się Dane'a jak zbawczej tratwy.

- Och, kapitanie, zrób coś, błagam - wyszeptła bez tchu. - Już nie mogę!

Dane, niesiony triumfem, ruszył naprzód, nie zważając już na nic. I popłynęli na sztormowej fali pod pełnymi żaglami, unosząc się z doliny ku szczytom, a potem opadając we wrzącą kipieli namiętności.

Na koniec sztorm ucichł, wody wygładziły się i nastąpiła wielka cisza, przerywana spazmatycznymi oddechami.

Nigdy jeszcze Violet nie czuła się tak nasycona i spełniona, jak teraz, leżąc u boku Dane'a, wtulona w zagłębienie jego ramienia, oddychająca w jednym rytmie z nim. Jeszcze nie tak dawno podśmiewała się z heroin romansów, które popadały w romantyczną euforię, gdy kochankowie w cielesnym zbliżeniu wynosili je na szczyty miłosnych doznań. Teraz pojęła, że porozumienie ciał może się równać porozumieniu dusz, jeśli ludzie są sobie bliscy - jak mąż i żona.

Uśmiech, który pojawił się na wargach Violet, zwiastował nowo nabytą kobiecą mądrość. W ciągu miesięcy i lat, które czekają ich we wspólnym życiu, z pewnością zdarzą się chwile burz i nieporozumień - ale

dopóki będą mieli siebie i cudowny azyl swojej namiętności, pozostaną na zawsze razem. Taki jest największy dar miłości.

Miłości? Dane, który zasnął szybko u jej boku, znużony kochaniem, poruszył się niespokojnie. Czy znów śni o innej? Wspaniałe zamki na piasku, które właśnie zaczęła wznosić, runęły w jednej chwili. Nie kocha jej. Tak jak innych mężczyzn, przyciągnęła go do niej uroda, którą dostała od Boga w niezasłużonym darze. Ale nie ofiarował jej serca i duszy. Tym gorzej dla ciebie, kapitanie, pomyślała z żalem.

Violet, z zaciekawieniem obserwująca drobną postać w obcisłym, niebieskim kubraczku i marynarskich spodenkach, uznała, że matkowanie dziecku jest najbardziej odpowiedzialnym zadaniem, jakiego się podjęła.

Jej dotychczasowe doświadczenia z dziećmi ograniczały się jedynie do opieki nad kuzynami - Aleksandrą, Valentinem i Chloe, liczącymi sobie trzynas'cie, jedenaście i dziewięć lat. Dwa i pół roku, w czasie których ciotka Roanna przebywała w zamku Albermarle ze swoimi zwariowanymi pociechami, powinno wystarczyć, aby pozbawić Violet złudzeń co do uroków posiadania potomstwa.

Przyszedł dzień, w którym Roanna wreszcie podjęła decyzję wyzwolenia się spod apodyktycznej władzy swojego teścia, diuka Albermarle. Drżała przed nim, wyczuwając, że skrycie jej nie cierpi. W rezultacie znalazła się razem z dziećmi w Londynie, aby zamieszkać tam na stałe. Diuk, choć synowa nie raz doprowadzała go do szalu swoją impertynencją, zachował się wielkodusznie, dając jej do dyspozycji wygodnie urządzone dom ze służbą, w dobrej dzielnicy, w okolicach Strat-

ton Street. Roanna nie spodziewała się aż takiej wspaniałomyślności. Albermarle doskonale wyczuł, że synowa tęskni za domem, który mogłaby sama prowadzić, i pragnie istnieć w środowisku, które najbardziej odpowiada jej potrzebom. I rzeczywiście, po okresie izolacji w Albermarle w Londynie po prostu rozkwitła.

Violet zastanawiała się z rozbawieniem, co by powiedział dziadek, gdyby znalazł się dzisiaj w Black-thorn House, londyńskiej rezydencji lorda Blackthor-na, i zobaczył jej pierwsze kroki w roli macochy i opiekunki małego lorda Fenningtona?

Sądząc z kwaśniej miny jego lordowskiej mości, nie mówiąc już o śladach lez na policzkach, nie groził jej sukces wychowawczy. A jednak, wspominając pierwsze spotkanie z synkiem Dane'a, nie bez dumy stwierdziła, że Philippe przynajmniej teraz wygląda na chłopca. Zbyt długie, jasne loki zostały skrócone, a tunikę zastąpiły spodenki, stosowne dla siedmiolatka. Człowieczek, całym swoim zachowaniem manifestujący urażoną chłopięcą dumę, na jej oczach przeistoczył się nagle w małego mężczyznę, o którym już teraz można było powiedzieć, że kiedyś zyska uznanie u kobiet.

Violet serdecznie współczuła Philippe'owi, że tak długo musiał wstydzić się dziewczyńskich ciuszków. Podejrzewała jednak, że spowodował to raczej nieszczęśliwy zbieg okoliczności niż zia wola opiekunki. W chwili, kiedy małego chłopca zwyczajowo po raz pierwszy odziewa się w spodenki, nie było ani mamy, ani ojca. Długie loki i tunika stały się prawdopodobnie jedyną więzią, jaka łączyła go z utraconym dzieciństwem, gdy jeszcze mógł zaznać ciepła matczynej

opieki. I zabrakło mężczyzny, ojca, który naturalną kolejną rzeczą wprowadziłby go w świat dojrzewających chłopców.

To biedne dziecko, doświadczone przez los, zostało po raz kolejny postawione w sytuacji rozbitka, który musi szukać nowych sposobów przetrwania na nieznanym brzegu, wśród obcych. Podobnie jak wcześniej jego tata, pomyślała z czułością, przypominając sobie z pozoru beznamiętny, lecz zdradzający ukryte emocje głos Dane'a, opowiadającego jej w noc poślubną burzliwe dzieje pięknej Lynette i młodego oficera marynarki, którego okręt został zatopiony w bitwie u brzegów Francji.

A wszystko zaczęło się od przechwycenia francuskiego łącznika, który na rybackiej łódce, razem z towarzyszami, usiłował przekraść się przez angielską blokadę. I udało im się to, gdyby nie czujny młody oficer, który nalegał na rewizję. Okazało się, że fałszywi rybacy przewożą tajne rozkazy od samego Napoleona do admirała Roche'a. Oficer uznał, że w takim przypadku miał oddać dokumenty wrogom, powinni cisnąć je do morza. Nie uczynili tego i z podejrzaną ochotą przekazali torbę z papierami Anglikom. To również wzbudziło podejrzenia bystrego oficera. Jednak jego dowódca, spragniony łatwego i szybkiego awansu, przejął łup i zwolnił Francuzów. Uznał, że są tylko wysłannikami, którzy nie zdawali sobie sprawy, co wiozą.

Kiedy Dane uparcie twierdził, że mniemani rybacy zamierzali pod osłoną nocy zaatakować korwetę przy wparciu baterii artyleryjskiej z brzegu, jego odwaga i lojalność zostały jawnie zakwestionowane. Co gor-

sza, ów napuszony tępak, mieniający się dowódcą, wydał fatalny rozkaz, w którego wyniku niewielki „Mer-cury” wpłynął w sprytnie zastawioną pułapkę.

Skończyło się tak, jak przewidywał Dane - stratą okrętu i połowy załogi, która, ratując się z płonącego statku, wpadła pod ostrzał z brzegu. Mimo to udało mu się zatopić jedną dużą francuską jednostkę i kilka mniejszych, a na koniec, po przejęciu steru płonącego okrętu, staranować nim stojący na kotwicy osiemdziesięciodziałowy francuski liniowiec. Jakim cudem zdołał ocaleć, w ostatniej chwili wyskoczywszy za burtę, Violet wolą nawet nie myśleć.

Komandor zapłacił najwyższą cenę za swoją arogancję. Trafiony odłamkiem w pierwszym ataku, nie zobaczył już, jak jego załoga rejteruje w obliczu niebezpieczeństwa. Pod osłoną dymu z płonącego „Mer-curego” flagowy okręt tchórzliwie wymknął się na pełne morze.

Dane został wzięty do niewoli razem z ocalałymi z pogromu członkami swojej załogi. Sześć miesięcy spędzonych we francuskim więzieniu udowodniło mu jasno, że obowiązek wymiany jeńców nie jest przestrzegany. Nie mógł wiedzieć, że nikt nie doniósł władzom o jego aresztowaniu i w konsekwencji uznano, że zginął w walce. Na pociechę Francuzi zostawili mu wiernego Murdocha w roli osobistego służącego.

Pewnej nocy, w siódmym miesiącu niewoli, poczuł szarpanie za ramię i zobaczył swego sternika, szczerzącego zęby w uśmiechu. Okazało się, że kapitan więziennej straży nieopatrznie poprosił Murdocha o pomoc przy znoszeniu do piwnicy nowo przysłane-

go transportu wina. Osielek ogłuszył kapitana i zabrał mu klucze od cel.

Nie dysponując szalupą, nie mogli zbiec w morze, toteż zdecydowali się na ucieczkę lądem. I tak za sprawą niezwykłego łańcucha przypadków Dane trafił do wiejskiego domu, stojącego na uboczu, i poznał Ly-nette Lambert. Zdaniem Violette zadziałała wtedy Opatrzność czuwająca nad Dane'em. Nie mógł sobie znaleźć lepszego sojusznika w kraju wroga niż piękna arystokratka, pozbawiona przez rewolucję tytułu i majątku. Mimo dekretu Napoleona, przywracającego szlachcie utracone prawa, Lynette nie kochała ani cesarza, ani nowego porządku. Koszmar, jaki przeżyła, patrząc na śmierć rodziców, nieodwołalnie zamknął najpiękniejszy okres jej życia, otwierając nowy, pełen bólu i nienawiści do wszystkiego, co francuskie.

Fakt, iż Lynette była siostrą kapitana Philippe'a Lamberta, jednego z ulubionych morskich bohaterów Napoleona, również zadziałał na korzyść Dane'a. Żołnierzom, którzy szukali zbiegów, nie przyszło do głowy, aby przeszukać jej domostwo.

Violet, leżąc w ramionach swojego kapitana, bez trudu uwierzyła, że piękna Francuzka natychmiast zakochała się w uciekinierze, któremu udzieliła schronienia. Mimo to, słuchając dalszego ciągu opowieści, miała wrażenie, że Dane nie powiedział jej wszystkiego. Śmiała ucieczka w rybackiej łodzi przez Kanał, cudowne ocalenie przez angielski okręt, patrolujący te wody, i ślub, udzielony przez kapitana na pokładzie - wszystko to, nawet jak na jej pojęcie, odbyło się zbyt szybko i sprawnie. A może po prostu nie chcia-

la uwierzyć, że Lynette Lambert porzuciła swój dom, kraj, wszystko, uchodząc w nieznaną z ukochanym angielskim żeglarzem. Do diabła, ta historia była jeszcze bardziej romantyczna niż dzieje miłości Gene-vieve Hayden i Edmunda, diuka Albermarle!

Pełen pasji romans musiał zaowocować potomstwem. Violet, wyrwana z zamyślenia, rozejrzała się po komnacie. Mały lord Fennington patrzył na nią pytająco, oczekując aprobaty.

- Uważam - powiedziała z namaszczeniem, obchodząc wokół drobną postać - że wyglądasz w tym stroju wyjątkowo sztywnie. Wszystko leży jak ulał. Może zechcesz sam zobaczyć? - zagadnęła, popychając chłopca ku wielkiemu, ściennemu lustru.

Za moment pożałowała nierozważnego kroku. Phi-lippe wpatrywał się w swoje odbicie jak skamieniały, aż wreszcie drżące usta dziecka nieuchronnie ułożyły się w podkówkę.

- W-włosy... on... obciął... mi... włosy... - zatkał rozpaczliwie. - K-każę rzucić tego d-drania psom na pożarcie! - mały lord zacisnął pięści, krztusząc się płaczem.

- Równie dobrze możesz ukarać mnie - powiedziała spokojnie Violet, patrząc mu uważnie w oczy. - Albo tatę. Pan Murdoch jest wielkim przyjacielem twojego taty i myślę, że może być również twoim, jeśli tylko dasz mu szansę.

- On nie jest moim przyjacielem! - naburmuszył się chłopiec. - Nie lubię go. Gdzie jest niania Tidwell? Ja chcę do domu!

- Rozumiem, kochanie. - Violet instynktownie

przygarnęła Philippe'a do siebie. - Ale twój dom od teraz będzie tutaj, gdzie mieszkamy z tatą.

- Tu mi się wcale nie podoba - burknął jego lordowska mość, wysuwając się z objęć macochy. - A ciebie też nie lubię - dodał, celnie kopiąc ją w łydkę. - Ty nie jesteś *ma merę*.

Zawrócił na pięcie i puścił się ku drzwiom jak strzała, aby za moment zderzyć się z zaporą w postaci męskich nóg, odzianych w obcisłe pantaloney gołębiego koloru i wysokie, skórzane buty o lśniących jak lustro cholewach.

- Wybierasz się gdzieś, mały? - zapytał aksamitny męski głos.

Chłopak szarpnął się do tyłu i napotkał chłodne spojrzenie niebieskich oczu.

- Zdaje się, że tak. - Nieznajomy szybkim ruchem chwycił urwisa za kołnierz, zanim ten zdążył przemknąć się koło niego. - Pardon, lady Blackthorn, czy to pani własność?

- Gideon! - Wsk>let radośnie zerwała się z sofy, na której siedziała, rozcierając bolącą łydkę. Szybko pokuśtykała do brata i serdecznie ucałowała go w gładko wygolony policzek. - Ty draniu! Gdzie się podzie-wałeś i jak mnie tu znalazłeś? - zapytała miękko.

- Przypadkiem natrafiłem na wiadomość o twoim ślubie w „Gazette” i natychmiast zapragnąłem poznać szwagra, którego zyskałem tak niespodziewanie. To podobno morski bohater? - zapytał, patrząc siostrze badawczo w oczy. - Musiał przebywać na łodzi na tyle długo, abyś zdążyła go poznać i zaciągnąć do ołtarza - stwierdził, zerkając z ironią na złotą obrączkę

na jej palcu. - Jak widzę, nasz dziadek również brał udział w *tych* przedsięwzięciu. Zapewne nie bez wpływu na powodzenie owego planu była też obecność wielebnego Longa, który jak co roku zjechał do nas. A może się mylę?

- Przecież wiesz, że nie - odparła z wesołym błyskiem w oku. - Cała rzecz rozegrała się trzy tygodnie temu. Zaraz po ślubie pojechaliśmy na parę dni do Blackthorn, a potem do Kent po Philippe'a i jego nianię. Właśnie, nie zdążyłam przedstawić panów sobie. Poznaj *więc* Philippe'a, wicehrabiego Fennington. Philippe, oto mój brat, markiz Vere.

- Zdaje się, że wicehrabia Fennington nie jest zachwycony moją osobą - stwierdził Vere, z rozbawieniem obserwując naburmuszoną minę chłopca. - Niemniej jednak, jak przystało na osobę o arystokratycznych manierach, z pewnością zamierza mnie przeprosić za swoje niezbyt dżentelmeńskie zachowanie. Czy nie tak, wasza lordowska mość?

Violet wstrzymała oddech, gdy chłopiec i mężczyzna przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nie zdziwiła się, że Philippe pierwszy opuścił wzrok. Vere potrafił zmrozić spojrzeniem nawet dorosłego mężczyznę.

Odetchnęła, kiedy Philippe wymamrotał niechętnie:

- Proszę wybaczyć, markizie, zachowałem się niegrzecznie. ~ Odwrócił się i spojrzał pytająco na Violet. - Czy mogę już iść?

- Tak, oczywiście. Niania Tidwell czeka na ciebie w pokoju dziecinnym.

- Lord Fennington jest żywym przykładem blasków i cieni, jakie niesie z sobą wychowanie dzieci -

zauważył Gideon, gdy jasna głowa chłopca znikła za drzwiami.

- To prawda - przyznała z goryczą. - *Od* razu mnie zniechęcił, a moje starania, aby to zmienić, jeszcze pogarszają sprawę.

Nie wygram z Hannah Tidwell, westchnęła w myśli. Niania Philippe'a miała niezwykłą umiejętność subtelności, lecz skutecznego podważania autorytetu Vio-let. Nie zaniedbała żadnej okazji, aby powiedzieć przy chłopcu, że jego mama postąpiłaby w danej sytuacji zupełnie inaczej. Czyniła to zupełnie bezkarnie, wiedząc, że macocha nie ośmieli się krytykować wobec dziecka czegokolwiek, co wiąże się z jego ukochaną matką.

- Chłopak nadal chowa się w pokoju dziecięcym? - zagadnął Vere, z upodobaniem przyglądając się pejzażowi wiszącemu nad kominkiem.

- Od śmierci matki aż do niedawna Philippe mieszkał ze swoją nianią w Kent. Jest bardzo przywiązany do panny Tidwell, która mimo podeszłego wieku opiekuje się nim z ogromnym poświęceniem.

- W to nie wątpię - rzekł Vere, odwracając się ku siostrze. - Jednak chłopiec w tym wieku potrzebuje męskiego wzorca. Na przykład preceptora, który zadbałby o odpowiednią edukację dla niego. Możliwości panny Tidwell, mimo jej najlepszych chęci, są w tym względzie ograniczone. Zwłaszcza jeśli nauczyciel byłby młodym, sprawnym fizycznie człowiekiem, który potrafi utrzymać w ryzach tak żywego chłopaka.

Violet spojrzała na brata, nie kryjąc zaskoczenia.

- Na Boga, Gideonie, skąd to wiesz?

- Skąd wiem, że niania Tidwell skutecznie podry-

wa twój autorytet jako nowej macochy? - Vere wzruszy! ramionami. - Wystarczy spojrzeć na jego lordów-ską mość, nie uważasz? A jeśli nawet nie miałbym przyjemności go poznać, logicznie doszedłbym do takich samych wniosków. Starzejąca się niania, hodująca swojego jedyne go beniaminka, boi się wypuścić go spod swoich skrzydeł, co jest zrozumiale. Gdy zabraknie jej zajęcia, może *jedynie* liczyć, że ktoś litościwie weźmie ją na garnuszek jako rezydentkę.

- Dlatego stara się jak może, udowadniając wszelkimi sposobami, że bez niej dziecko się nie wychowa - dopowiedziała Violet, zdumiona, że wcześniej sama nie odkryła tak oczywistej prawdy. - Panna Tidwell musiała wpaść w prawdziwe przerażenie, kiedy *Dane* niespodziewanie zjechał do jej cichego azylu w Kent z nową, piękną żoną, aby *zabrać* dziecko wraz z nią do swojej rezydencji. Zapewne tak to wygląda, ale czy mogę ją winić? - westchnęła, - Masz rację, należy zapewnić pannie Tidwell godziwą rentę na starość. W końcu zasłużyła sobie na nią. I jak najszybciej zatrudnić preceptora, który potrafiłby wywabić Philip-pe'a z pokoju dziecinnego, odciążając nianię aż do momentu, kiedy przekaże mu swoje obowiązki i spokojnie przejdzie na emeryturę. Muszę przyznać, że bardzo mądrze to wymyśliłeś, braciszku.

- Chcę ci pomóc, gdyż mam podstawy przypuszczać, że nie wszystko idzie tak, jak powinno - zauważył Vere, obrzucając siostrę łagodnym spojrzeniem.

- Ty coś wiesz, Gideonie - stwierdziła bez ogródek, pociągając sznurek dzwonka, aby poprosić o herbatę.

- Coś niecoś - przyznał. - Przecież mam oczy

i uszy. - Odczekał, aż Violet usadowi się wygodniej na szeszlou, a sam rozsiadł się wygodnie w fotelu, wyciągając przed siebie długie nogi. - Nowy earl Blackthorn wraz z małżonką zabawili w Londynie zaledwie przez dwa tygodnie, a już ruszyła fala plotek.

- Coś podobnego - Violet udała zdziwienie, lecz mina brata zaniepokoiła ją. Teraz zrozumiała, że nie przybył do niej powodowany chęcią poznania nowego szwagra. Przybył, aby ją przed czymś ostrzec. - Ciekawa jestem, co też takiego mówi się o nas w stolicy?

- Nic, co skłonny byłbym puścić mimo uszu - odparł cichym głosem. - Jedno twoje słowo, siostrzyczko, a położę kres podłym potwarzom.

Violet poczuła niemiły dreszcz w krzyżu. Aż za dobrze wiedziała, co w wypadku Vere'a oznaczają słowa „położyć kres”.

- Nie będziesz musiał, Gideonie - zapewniła pospiesznie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, byłoby wydalenie brata z Anglii za zakazany pojedynek. - Blackthorn i ja potrafimy sobie poradzić z wrogimi plotkami i tymi, którzy je rozpuszczają. Zdradź mi tylko, co mówią na nasz temat.

- Dobrze, skoro tak nalegasz - odparł ze wzruszeniem ramion. - Ludzie mówią, że nowa żona Black-thorna jest piękną kobietą, ale niestety jej uroda nie wystarczy, aby utrzymała męża w sypialni - oznajmił z brutalną szczerością. - Nie minął nawet miesiąc od ślubu, a Blackthorn już szuka przyjemności w ramionach innych.

- Niech piekło pochłonie plotkarzy! - wykrzyknęła z wściekłością, zrywając się z miejsca. Spodziewała się

wszystkiego, tylko *nie* tego. - Co za bzdury! - perorowała, chodząc wielkimi krokami po pokoju. - Zapewniam cię, że jeśli już Dane szuka czegoś, to na pewno nie przyziemnych przyjemności. *W* łóżku jest nam bardzo dobrze, wierz mi - wypaliła bez ogródek, nie zwracając uwagi na błysk kpiącego zdziwienia w oczach brata. A jednak, wspominając upojne chwile, spędzone ze swoim kapitanem, nie potrafiła się pozbyć uporczywie powracającej myśli, że Dane ciągle kocha swoją utraconą Lynette. Ale jeśli nawet tak było, miała dziwną pewność, że nie chodzi o potajemne schadzki.

- Nie, nie wierzę w te plotki - oświadczyła z mocą, przystając przed Gideonem i wytrzymując jego badawcze spojrzenie. - Absolutnie nie wierzę. To kłamstwa rozpowszechniane przez nieprzyjaciół.

Twarz Vere'a pozostała nieruchoma jak maska.

- Jest coś jeszcze. Mam mówić?

Violet zmusiła się, by wrócić na sofę i usiąść spokojnie.

- Oczywiście - odrzekła, splatając ręce na kolanach. - Chcę wiedzieć wszystko.

Markiz wyjął z kieszeni pięknie zdobioną tabakierę i otworzył wieczko.

- Wydaje się - powiedział, rozcierając odrobinę ulubionego tytoniu między kciukiem a palcem wskazującym - że earl był na tyle niedyskretny, by zadać się z Francuzką o wątpliwej reputacji. - Z lubością wciągnął proszek nosem i schował tabakierę. - Ta kobieta to madame Gabrielle Benneau. Może słyszałaś o niej?

- Nie - zaprzeczyła Violet, nie dając się zwieść obojętnemu tonowi brata. Gideon z upodobaniem rozsie-

wał plotki na swój temat, ale widać było, że rola plotkującego o cudzych sprawach zupełnie mu nie odpowiada. Violet z niejakim wzruszeniem pomyślała, że czyni to wyłącznie dla jej dobra. - Kim ona jest?

- Francuską emigrantką, która uważa się za erudyt-kę w dziedzinie literatury i filozofii - wyjaśnił, strzepując niewidoczny pyłek z rękawa. - Założyła nawet grupę o raczej pretensjonalnej nazwie *La Societe des Philosophes du Jardin* *

- Na Boga - wykrzyknęła zdumiona Violet - tylko nie mów mi, że Blackthorn zapłonął nagłą miłością do epikureizmu, bo nie uwierzę. A gdyby jakimś cudem tak było, jestem pewna, że natychmiast by mnie tam wciągnął.

- Słusznie, gdyż miałabyś zadatki na wybitnego członka - Vere pokiwał głową z uśmiechem. - Zastanawiam się, czy dziadzio Albermarle wie, ile książek wyciągnęłaś potajemnie z jego biblioteki, żeby je przeczytać. Doprawdy wątpię, aby uważał, że traktat Lukrecjusza „O naturze wszechrzeczy”** był odpowiednią lekturą dla młodych panien. Pewnie od Lukrecjusza dowiedziałaś się o „ogrodzie poetyckim”, czyż nie tak, moja nieprzewidywalna siostrzyczko?

- Nie, o ile pamiętam, chodziło raczej o żywot Lukrecjusza napisany przez Pierre'a Gassendi - wyznała zachwycona doskonałym porozumieniem, jakie za-

*Franc. - Stowarzyszenie Ogrodu Filozofów. Nazwa nawiązująca do Ogrodu Epikura, czyli szkoły założonej przez greckiego filozofa z III wieku p. n. e. - przyp. tłum.

^Lukrecjusz - rzymski poeta i filozof z I wieku p. n. e. Wspomniany traktat jest wykładem filozofii Epikura - przyp. tłum.

wsze miała z bratem. - Mój francuski dzięki *maman* jest o niebo lepszy niż moja łacina. Ale odbiegamy od tematu. Co dalej z madame Benneau?

- Niewiele już zostało mi do powiedzenia - odparł, znów wzruszając ramionami. Nie miał ochoty zdradzać siostrze wszystkiego, co wiedział na temat tej damy. - Madame Benneau należy do niewielkiego grona francuskiej arystokracji, która uciekła przed rewolucyjnym terrorem do Anglii. Otacza się uchodźcami, podobnie jak ona wyznającymi filozofię, według której pogoń za szczęściem jest jedynym celem życia godnego oświeconego człowieka. Trzeba przyznać, że potrafiła zgromadzić na swoich salonach pewną liczbę angielskich dżentelmenów, zaintrygowanych jej osobowością i teoriami. Z drugiej strony sama sobie szkodzi, tolerując wśród swoich wyznawców niejakiego Jeana Morin, znanego hazardzistę i wojskowego najemnika, oraz Paula Des-pagne, dawną gwiazdę literackich salonów Francji.

- Coś takiego - Violet uniosła brwi w udawanym zdumieniu. - Hazardzista i awanturnik?

Vere wzniosł oczy do nieba.

- Nie zazdroszczę Blackthornowi żony, która potrafi zabić jadłem swego ciętego języka. Nie musisz mi przypominać, że ja też mam reputację hazardzisty i awanturnika, bo sam wiem o tym najlepiej. Ale w tym momencie nie mówimy o mnie, tylko o madame Benneau, która, słusznie czy nie, jest podejrzana o potajemne sprzyjanie Bonapartemu.

- Jak rozumiem, odium spada na każdego, kto utrzymuje z nią znajomość - uzupełniła zjadliwie Vio-

let, która wreszcie zaczęła pojmować, o co naprawdę chodzi bratu.

- Pamiętaj, że przez cały czas trwają spekulacje na temat, kim jest osławiony *Le Corbeau*, który tak za-lazł za skórę Admiralicji. Wielu może powiązać Blackthorna z tą sprawą. "Wystarczyłoby tylko dowieść, że twój dzielny kapitan przekazywał tajne informacje do Francji, ale ci, którzy już wydali na niego wyrok śmierci, nie zatroszczą się nawet o dowody.

- Wątpię, aby wysyłał zaszyfrowane wiadomości w kulach z dział, którymi zatapiał francuskie statki -stwierdziła cierpko Violet. - Dziwię się, że nie dostrzegasz całego absurdu tych posądzeń, Gideonie. Jestem pewna, że zrodziły się one z opowieści o brawurowej ucieczce Dane'a z Francji w towarzystwie siostry Phi-lippe'a Lamberta, Lynette, która po drodze została jego żoną. Lecz trudno go winić, że ożenił się z siostrą sławnego kapitana francuskiej marynarki! Śmiem też twierdzić, że obaj panowie nigdy wcześniej się nie spotkali - chyba że na morzu, stając przeciwko sobie. Jakby tego było jeszcze mało, Dane został napiętnowany za akt czystego bohaterstwa. Do licha! Chciałabym wiedzieć, kto jest tym cholernym agentem!

- Z przyjemnością zdradziłbym ci tę tajemnicę, gdybym ją znał - zapewnił Gideon, który sam prowadził dyskretne rozpoznanie wśród znajomych swego wuja Richarda, usiłując wysondować, co wiedzą o Kruku. - Wydaje się, że lordowie z Admiralicji żywią uzasadnione podejrzenia, iż informacje dotyczące naszej morskiej blokady, takie jak liczba okrętów biorących w niej udział, siłą ich ognia oraz tajne da-

ne naszego morskiego wywiadu, w jakiś sposób przeciekły do wroga. Podejrzenia zmieniły się w pewność, kiedy przechwycono tajnego francuskiego kuriera z wiadomością, w którym miejscu najkorzystniej będzie dokonać inwazji na Anglię małymi jednostkami. Szpiegowski raport sygnowany był rysunkiem kruka, umieszczonym u dołu zamiast podpisu.

- Ale muszą istnieć dowody, że Dane nie był zamieszany w tę aferę - zaproponowała Violet, uświadamiając sobie cały rozmiar zagrożenia. - Przecież nie mógł donosić z Anglii, pływając po morzu.

- Tak też z początku pomyślałem - przyznał obojętnie Vere.

- Chryste - jęknęła, domyślając się, co kryje się za nieprzeniknioną miną brata - tylko nie mów mi, że Dane w tym czasie był w Anglii!

Vere zmierzył siostrę nieruchomym spojrzeniem.

- Dwa lata temu kapitan Trevor Dane otrzymał do wództwo „Antiope”, okrętu wojennego Jego Królewskiej Mości, i żegnał się czule w Londynie ze swą francuską żoną przed wyruszeniem na morze.

Nie, to jeszcze nic nie znaczy, wmawiała sobie w kilka minut później po odjeździe Vere'a, który pożegnał się, twierdząc, że wzywają go pilne sprawy. Fakt, iż Dane przebywał w Anglii, kiedy przechwycono tajnego kuriera, mógł być jedynie nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, podobnie jak to, że miał za żonę Francuzkę.

Ta sama francuska krew płynęła w żyłach Violet. Jej mama była córką markiza d'Angouille, który padł ofiarą nienasyconej Matki Gilotyny. Doprawdy, nie

powinno w tej sytuacji dziwić, że nowy earl Black-thorn ma przyjaciół wśród francuskich, emigrantów. Mógł poznać ich za sprawą zmarłej żony, która w zrozumiałym odruchu szukała w obcym kraju pobratymców, mówiących jej językiem.

Nie rozumiała, dlaczego posądzano earła Black-thorn, iż jest bonapartystą i sympatykiem Francji. Jakże zmienna bywa opinia publiczna, która jeszcze tak niedawno wynosiła go pod niebiosa jako wojennego bohatera! I kto śmiało znieważać ją, twierdząc, że nie potrafi utrzymać przy sobie męża? Gdyby mogła, wydrapałaby oczy tym draniom. Ale kim byli?

Gniew przerodził się w bojowy nastrój. Kimkolwiek by byli, weźmie się za nich. Violet Clarice Rochelle, lady Blackthorn, która dotąd usuwała się w cień, posłuży się teraz swoją pozycją i urodą, aby pokazać całej socjecie, że jej mąż nie jest osamotniony w walce.

Zacznie swoją kampanię zaraz od efektownego wejścia, które powali wszystkich na kolana. Pojawi się w Hyde Parku, spędzi wieczór w Operze, a uczyni to w takim stylu, że cały Londyn będzie miał temat do rozmów.

Violet energicznym ruchem szarpnęła sznurek dzwonka. Zacznie od powiadomienia ciotki Roanny. Spotkają się w rezydencji przy Grosvenor Square i zaplanują kampanię, która na zawsze uciszy podłe posądzania. Ktokolwiek za nimi stoi, musi przekonać się na własnej skórze, że nie można bezkarnie zadzierać z lordem i lady Blackthorn.

Violet poczuła się jak żołnierz wyruszający na wojnę. Wiedziała, że będzie walczyć do ostatniego tchu -

o Blackthorna, o siebie i o Philippe'a, który w końcu ją polubi.

Blackthorn wysiadł z powozu na Berners Street, w dzielnicy zamieszkałej przez artystów wszelkiej maści - piszących, malujących i rzeźbiących.

Stanął pod drzwiami, czując się fatalnie w nowym, uszytym przez samego Westona tuzurku z niebieskiego atlasu, żółtych kaszmirowych pantalonach i wysokich butach z brązowej skóry o cholewach lśniących jak lustro. Fular, zawiązany po mistrzowsku przez nowego lokaja, dusił go w szyję. Intensywna woń makas-saru*, którym fryzjer natarł mu włosy ostrzyżone według najnowszej mody, ciągnęła się za nim wszędzie.

Na szczęście drzwi otworzono bardzo szybko, nie dając mu zbyt wiele czasu na rozmyślania o zniewoleniu przez modę.

- Kapitan Dane? - zapytała niepewnie pokojówka w nakrochmalonym fartuszkach, dygając wdzięcznie. - Przepraszam, że nie poznałam pana od razu, ale bardzo się pan zmienił od ostatniej bytności. Proszę wejść. Madame czeka w salonie.

- Dzięki, Maggie. Nie musisz mnie prowadzić, sam trafię.

Wyminał ją i ruszył korytarzem w głąb domu, kierując się przytłumionym dźwiękiem śmiechu i rozmów, które ucichły nagle, gdy zapukał do drzwi salonu. Niski, melodyjny damski głos z francuskim akcentem zaprosił go do wejścia.

*Makassar - rodzaj pomady do włosów - przyp. tłum.

Blask świec i popołudniowego słońca miękko oświetla! Wnętrze salonu urządzonego w orientalnym stylu. Ściany, dywan i obicia o ciepłych, nasyconych kolorach w połączeniu z lekkimi, gustownie rozmieszczonymi mebelkami tworzyły miłą, przyjazną atmosferę.

- Dane, to ty... - Miękko zaszeleściła jedwabna suknia i kobiece ramiona serdecznie oplotły szyję kapitana. - Jak się cieszę, że jesteś! Już myślałam, że nie przyjdiesz.

Gospodyni była filigranową kobietą po trzydziestce, sięgającą kapitanowi ledwie do ramienia. Kształty miała krągłe, lecz foremne - takie, które bardzo podobają się mężczyznom. Jasne, wysoko upięte włosy zdobiła zielona kokarda, harmonizująca z kolorem sukni.

- Nic się nie zmieniłaś, Gabrielle. Jesteś tak samo śliczna jak dawniej.

- A ty jak zawsze jesteś uroczym kłamcą, *mon che-n* - odparła ze śmiechem, całując go w policzek. - A poza tym zmieniłeś się bardzo. Podobno jesteś teraz jego lordowską mością, earlu Blackthorn, *n'est pas?*

~ *Mais oui, ma petite.* Tak, malutka - przytaknął z komiczną powagą, pozwalając się zaprowadzić do dwóch dżentelmenów, którzy ochoczo zerwali się z miejsc, aby go powitać. - Powiększyłem szeregi arystokracji.

- A my zeszlśmy do poziomu pospółstwa - skomentował Jean Morin, szczupły, energiczny mężczyzna o śmiejących się oczach, bystro patrzących spod niesfornej czupryny. Widać było, że musi mieć wzięcie u kobiet.

- Lepiej spaść po stopniach społecznej drabiny, niż dać się skrócić o głowę Matce Gilotynie - zripostował Paul Despagne, wpatrując się w Dane'a przez szkła binokli osadzonych na wydatnym, greckim nosie. *Monsieur le capkaine*, wygląda pan na kogoś, kto źle się czuje w skórze zamożnego arystokraty. Jednakowoż chętnie bym się z panem zamienił, gdyż równie źle czuję się w skórze arystokraty zbiedniałego.

Dane wybuchnął śmiechem. Dobrze znał krytyczny stosunek Despagne'a do klas uprzywilejowanych, żerujących na reszcie społeczeństwa. Despagne zbiegł przed rewolucją, gdy, pożerając własne dzieci, wydała wyrok na Robespierre'a*.

- Czy słyszałeś o Lynette i jej bracie? - zapytał, poważniejąc.

- Och, to straszne - wzdrygnęła się madame Ben-neau. - Paul, Jean, ja i wszyscy, którzy kochali Lynette, byli wstrząśnięci. Mam nadzieję, że przynajmniej cieszy się tam, w niebie, iż Lambertowi udało się uciec z Malty.

- Uciekł?! - Blackthorn popatrzył na nią w osłupieniu.

- Nie wiedziałeś?! Znając Lamberta, należało się tego spodziewać - odezwał się Morin. - Nie sądzisz chyba, że zamierzał zgnić w brytyjskiej niewoli? W tydzień po uwięzieniu wykradł własny statek i pożegłował na wolność.

* Maximilien de Robespierre - jeden z wielkich przywódców rewolucji francuskiej 1794 roku. Wprowadził terror, a potem został stracony przez dawnych zwolenników - przyp. tłum.

- Gazety nic nie pisały i nikt o tym nie mówił - usprawiedliwił się Dane, lecz prędko uznał, że milczenie prasy jest całkiem zrozumiałe. Wszak powiada mianicie angielskiej opinii publicznej o tym, że francuski bohater wojenny pod samym nosem brytyjskich straży przechwycił własny okręt i uciekł na nim z nie woli, było nie na rękę Admiralicji.

Nic dziwnego, że kapitan Trevor Dane znalazł się w samym centrum podejrzeń. Wszak w kilka dni po tym, jak odwiedził Lamberta w jego celi na Malcie, więzień zbiegł. Doprawdy, dziwne, że jeszcze go nie aresztowano!

- Nie bierz sobie tego aż tak do serca, *won ami*- powiedział ze współczuciem Despagne, kładąc dłoń na ramieniu Blackthorna. - Lambert to szczwany lis, który w dodatku ma diabelne szczęście. Zabrano go z celi i zamierzano zawieźć do Anglii wraz z całą załogą na pokładzie jego własnego „Liberte”. Kiedy Anglicy zmagali się ze sztormem, Francuzi zdołali się uwolnić i przejęli statek. Diabeł sprzyja swym wybrancom, *n'est pas?*

~ Tak by się wydawało - mruknął Dane. Czy jednak Lambert naprawdę miał takie szczęście? Black-thorn był niemal pewien, że ktoś musiał pomóc francuskiemu kapitanowi. Jakim cudem jeńcy pozbyli się okowów? I kto wydał nieprzemyślany rozkaz eskortowania całej załogi razem z dowódcą na ich własnym statku tak małymi siłami? Podobny rozkaz mógł wyjść tylko z najwyższych kręgów marynarki wojennej. Jedyne admirał, który odpowiadał za transport więźniów i obronę wybrzeża, był władny podjąć podobną decyzję.

- Do stu piorunów! - Dane zmełł w ustach przekleństwo. -
To Landford!

- Konradmirał sir OÜber Landford? - zachichotała z
rozbawieniem Gabrielle. - Przecież to kompletny dureń. Choć,
muszę przyznać, jest całkiem miły. Lubi kupować ładne
prezenty. Myślisz, że to on pomógł w ucieczce Philippe'owi?

- Wolałbym nie używać określenia „pomógł” -skrzywił się
Dane. - Trzeba się raczej dowiedzieć, jaki miał w tym interes.

Gabrielle uśmiechnęła się rozkosznie, patrząc gościowi
prosto w oczy.

- Powiedz mi, co chcesz wiedzieć, *mon cheri*. *Mon-sieur le
Admirał* lubi dobre wino, a przy kieliszku robi się nader
rozmowny. Kiedy następnym razem wpadnie do mnie,
wypytam go o wszystko.

- Nie znaczy to, że czegoś się dowiesz - zauważył
sceptycznie Despagne. - On mówi wiele, nie mówiąc nic. Jest
albo głupcem, albo szczwanym lisem.

- Lepiej się go strzec - dodał Morin. - Znam ludzi jego
pokroju, takich co wydaliby własną matkę na ścięcie. Są
lojalni tylko wobec samych siebie.

- Landford jest konradmirałem brytyjskiej marynarki
wojennej - przypomniał Blackthorn beznamiętnym tonem. -
Czy myślisz, że jest zdolny zdradzić króla, ojczyznę i armię?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, *mon ami* -odparł
spokojnie Morin. - Po prostu instynkt mówi mi, że do takiego
człowieka wolałbym nie odwracać się plecami.

Dane drgnął niedostrzegalnie. Słowa Morina mogły

nie znaczyć nic albo znaczyć bardzo wiele. Poza tym Francuz wyraził dokładnie to, co sam miał ochotę powiedzieć. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że żadnym sposobem nie wyciśnie z tego człowieka nic więcej. Garstkę uchodźców mógł zaliczać do swoich sojuszników i nie powinien nadużywać jego zaufania.

Jest jeszcze jeden, i to najważniejszy sojusznik, pomyślał w pół godziny później, wychodząc ze spotkania. Wsiadł do powozu i kazał wieźć się na Grosvenor Square. Violet od początku i bez zastrzeżeń uważała go za człowieka honoru. Dane rozparł się wygodnie na miękkim siedzeniu i przymykając oczy, pozwolił myślom krążyć wokół pięknej czarodziejki, bez której nie wyobrażał sobie dalszego życia.

Moc czarów, jakimi go omotała, ujawniła się szczególnie w chwili przybycia do starej, rodowej siedziby Blackthornów w Devon. Przekraczając progi ponurego domostwa w stylu Tudorów z Violet pod rękę, Dane niespodziewanie ujrzał je w nowym, jaśniejszym świetle. To nie było już miejsce pełne mrocznych zakamarków, ponurych korytarzy i dziwnych odgłosów, wprost stworzone po to, by straszyć dzieci, którym przyszło tam dorastać. Patrząc oczami Violet, ujrzał, jak z posepnych komnat znikają ciężkie, ciemne dra-perie w kolorze krwi, meble okrywają się jasnymi obiciami, powietrze wypełnia woń świeżo ściętych kwiatów w kryształowych wazonach, a blask kandelabrow wydobywa piękno cennych dzieł sztuki, ukrywane dotąd w wiecznym półmroku.

Wkrótce, dzięki energicznym staraniom Violet, wizja stała się rzeczywistością. Blackthorn Manor prze-

stał być domem strachów, zmorą jego dzieciństwa. Teraz był słonecznym, przyjaznym miejscem, gdzie Philippe, a później inne dzieci będą mogły spędzić szczęśliwe, beztrudne lata.

Dzięki żonie zaczął nawet inaczej myśleć o zniechęconym wuju, choć zrozumienie rodziło się powoli i z ogromnymi oporami. Porządkując dom, Violet znalazła paczkę starannie ukrytych listów, przewiązanych różową wstążką, pisanych przez pannę Mere-dith Michaels. Wyjaśniła się wreszcie ponura tajemnica nienawiści rodzonych braci - obaj kochali się w tej samej dziewczynie, która wybrała jednego z nich.

Tej nocy, trzymając Violet w objęciach i słuchając jej relacji, Dane doznał niezwykłego uczucia. Zobaczył wuja oczami swojej romantycznej czarodziejki.

- Pomyśl, jaki musiał czuć się samotny w wielkim, pustym domu. Tyle lat, Dane, i nigdy już się nie ożenił, nawet po to, by mieć dziedzica.

Ta świadomość jednak nie przyniosła Dane'owi uspokojenia. Przeciwnie, wzbudziła w nim niechciane poczucie winy. Lecz Violet natychmiast uświadomiła mu, że trudno oczekiwać od chłopaka, który dopiero co stracił rodziców, aby wczuwał się w intencje wuja, który go przygarnął. Nie mógł wiedzieć, że Blackthorn cierpiał z powodu niespełnionej miłości do kobiety, która pokochała Morgana Dane i została jego żoną.

Diabeł w tym namieszał, myślał gorzko Dane, z utęsknieniem czekając, aż powóz zajedzie pod dom i zobaczy swoją Violet. Kiedy wyjeżdżał rano, powiadamiając ją, że odwiedzi krawca, którego polecił mu Albernarle, obiecała, że po powrocie zastanie niespo-

dziankę. Tym bardziej dręczyło go poczucie winy, że zataił przed nią drugą wizytę - u madame Gabrielle Benneau. Nie miał zamiaru wciągać Violet w mętne sprawy swego prywatnego śledztwa dotyczącego francuskiego agenta. Z pewnością tak by się stało, gdyby powiedział jej o istnieniu kobiety, która była najserdeczniejszą przyjaciółką Lynette. A już na pewno nie zniósłby, gdyby jego żona została najnowszym członkiem Stowarzyszenia Ogrodu Filozofów.

Serce zaczęło mu bić szybciej, kiedy wysiadł z powozu i wstąpił na marmurowe schody, gdzie czekał majestatyczny Reginald Potter, jego nowy londyński lokaj. Kiedy Dane patrzył na wspaniałe fasady i wnętrza swoich rezydencji, towarzyszyło mu bezustanne poczucie nierealności, jak gdyby te wszystkie bogactwa należały do kogoś innego.

- Bądź łaskaw poinformować lady Blackthorn, że wróciłem i proszę, aby zeszła do gabinetu - powiedział, pozwalając, aby Potter rozebrał go z płaszcza, kapelusza i rękawiczek.

- Proszę wybaczyć, milordzie - odparł lokaj - lecz lady Blackthorn przyjmuje właśnie gości w pokoju różowym. Prosi, aby wielmożny pan raczył do niej dołączyć.

- Rozumiem - mruknął Dane, kryjąc rozczarowanie. Nie miał ochoty znaleźć się w samym środku damskiego posiedzenia przy herbatce. Wolałby mieć swoją małżonkę tylko dla siebie.

Z tłumionym westchnieniem ruszył korytarzem ku nowo urządzoneму salonikowi. Zdobity go tapety w białe i różowe różyczki na bladożółtym tle i łososiowe, upinane zasłony. Lekkie, gięte foteliki i sofki

zapraszały do siedzenia i konwersacji. Dane nie cierpiał takiego słodkiego kobiecego stylu.

Otworzył drzwi, nie pukając - i zamarł, *widząc* swoją damę serca, królującą pośród gromady błękitnych mundurów. Jego zdumione spojrzenie powędrowało od admirała Marcusa Llewellyna do admirała sir Williama Stanhope'a, aby zatrzymać się na komandorze, który, sądząc z rodzinnego podobieństwa, musiał być wujem Violet, Richardem Rochelle. Zgromadzenie uzupełniało dwóch kapitanów i porucznik.

Piekło i szatani! zaklął pod nosem.

Po upływie następnych tygodni Blackthorn uznał, że prędzej wolałby w pojedynkę wystąpić przeciwko flotylli wroga, niż zaliczyć jeszcze jedną herbatkę, uroczystą kolację czy bal.

W całej swojej karierze oficera marynarki wojennej nigdy nie posiadał więcej niż trzy mundury, a bywało, że musiał zadowolić się jednym. Razem z koszulą zakładał go tylko wtedy, gdy gościł zwierzchnika lub znacznego gościa. Ale nawet kapitan okrętu w pełnej gali nie mógł się równać elegancją earlowi, zwłaszcza takiemu, którego małżonka stała się primadonną balowego sezonu.

Po sławetnym spotkaniu, które Dane nazwał „admiralską herbatką”, lady Violet Blackthorn rzuciła się w wir życia towarzyskiego, które zaplanowała z niesłychanym rozmachem. Dane wkrótce stracił rachubę; ile odbyło się w ich domu prozowanych kolacji, herbatek, wieczorów karcianych oraz muzycznych, w czasie których jego żona popisywała się pięknym mezzosopranem. Nie zapomniała także o wicehrabim Fennigton. Przejście Philip-pe'a spod opieki niani pod skrzydła preceptora zostało uczczone wielkim przyjęciem dla dzieci.

Co gorsza, jakby nie wystarczyły jej zachwyty księżnej Esterhazy, która ogłosiła lady Blackthorn „najjaśniejszą gwiazdą sezonu”, Violet postanowiła wydać bał maskowy dla trzystu gości w sali przekształconej w ogród zakazanych uciech. Blackthornowi skóra cierpła na myśl, że ma pełnić honory domu wobec tłumu faunów, nimf, satyrów i innych mitologicznych stworzeń, przebrany za Posejdona, i z Yiolet jako Wenus u boku.

Piekło i szatani, zaklął jak zwykle, wpatrując się w ogień płonący na kominku. Właściwie powinien być zadowolony, że Violet, zamiast na własną rękę dociekać, kim są jego wrogowie, z upodobaniem wcieliła się w rolę, do której predestynowało ją urodzenie. Na razie jej towarzyska strategia, której celem było dać odpór szkodliwym plotkom, okazała się zdumiewająco skuteczna.

Zdaniem ciotki Koanny w towarzystwie przestano już powtarzać, że ekskapitan Trevor Dane jest w zмовie z francuskimi szpiegami, a zwłaszcza ze słynnym Krukiem. Teraz mówiono już tylko, że earl Blackthorn miał prawdziwe szczęście, biorąc za żonę tak wspaniałą i piękną kobietę, jak lady Violet.

W tym jednym mają całkowitą rację, pomyślał z przekąsem, podwijając rękaw koszuli i siadając przy stole naprzeciwko Murdocha, aby zmierzyć się z nim na rękę. W ten sposób ćwiczył zdrowiejące ramię. Rana goiła się świetnie i dawała o sobie znać jedynie lekkim bólem, gdy starał się sprostać potężnemu marynarzowi.

- Coraz lepiej panu idzie, kapitanie - powiedział

Murdoch z nieukrywaną radością. - Jeszcze trochę, a wróci pan znów na morze.

- Tak, oczywiście - przytaknął smętnie Dane, wzruszony niezachwianą wiarą swego wiernego sternika.

Na morze... Murdoch z pewnością już widział go na kapitańskim mostku. Ze wszystkich problemów, z jakimi przyszło mu się borykać, sprawa odzyskania dowództwa dręczyła Dane'a najbardziej. Po raz pierwszy w życiu własna przyszłość jawiła mu się jak zamglony horyzont.

- A ty, Murdoch? - zagadnął, uważnie wpatrując się w wyraziste rysy ogorzałej twarzy sternika. Ten potężny mężczyzna zdawał się wyrzeźbiony z jednego pnia krzepkiego angielskiego dębu. - Dobrze ci się żyje na lądzie?

- Jeszcze jak, kapitanie. - Marynarz wyszczerzył zęby w uśmiechu, wspominając pewną ciepłą wdówkę z sąsiedztwa, która ochotnie umilała mu noce w łozu. -W życiu nie miałem tak dobrze.

Wierzę ci, stary druhu, pomyślał ze wzruszeniem Blackthorn. Ktoś, kto wyruszył na morze jako osiemnastoletni młodzik, komu dom zastępował przez lata ciemny i śmierdzący dolny pokład, kogo wychowała twarda okrętowa dyscyplina, musiał traktować swoje obecne życie jak prawdziwie rajską przystań. Murdoch przekroczył już zapewne czterdziestkę, co nawet dla doświadczonego marynarza stanowiło wiek podeszły. Z drugiej strony Dane nie wątpił, że gdyby sam wrócił na morze, sternik rzuciłby wszystko i podążył za swoim kapitanem.

Takiej bezprzykładnej lojalności nie znał świat bo-

gactw i przywilejów, w którym nagle przyszło Da-ne'owi żyć, a w którym słowa potrafiły siał więcej zniszczenia niż armatnie salwy.

Och, do diabła, westchnął Dane. Zaczęto łączyć jego osobę z Gabrielle Benneau, jeszcze zanim zdążył się z nią skontaktować po przybyciu do Londynu. Ironiczny uśmiech zaigrał na ustach Dane'a, kiedy przypomniał sobie reakcję Violet na wieść, że jej mąż nie tylko ma podejrzaną konszachty z bonapartystką, ale na dodatek zgłębia filozofię epikurejską, aby usprawiedliwić swój nienasycony pęd do korzystania z przyjemności życia.

- Jak zwykle mogę uznać - wyjaśniła, gdy zapytał ją, jakim cudem w ciągu czterech godzin jego nieobecności zdołała zebrać u siebie na herbatce tuzów Admiralicji - iż jest to wynik niezwyklego łańcucha zdarzeń. Fakt, że poślubiła ubogą sierotę, nie oznacza, że nie posiada ona wpływowych znajomości. Otóż zdarzyło się, że ciotka Roanna z okazji powrotu męża z morza miała zamiar zorganizować herbatkę dla dżentelmenów i ich małżonek. Kiedy jednak przybiegłam do niej z prośbą, aby pomogła mi zrobić towarzyską karierę, po prostu przyprowadziła swoich gości do mnie.

- Naturalnie, rozumiem - przytaknął Blackthorn, pełen podziwu dla praktycznego zmysłu ciotki. -I twój szanowny wujek, komandor Rochelle, potulnie zgodził się na zmianę planów, tak?

- Wujek Richard jest bardzo wyrozumiały dla Ro-anny - wyjaśniła bez mrugnięcia powieką. - Ciotka to najcudowniejsza osoba pod słońcem, ale zupełnie się

nie sprawdza w roli gospodyni. Śmiem twierdzić, że z ogromną ulgą scedowała na mnie swoje obowiązki.

- A ty czułaś się jak ryba w wodzie, zabawiając tuzin gości, których się wcale nie spodziewałaś - kpił. -Wybacz, słodka Violet, jeśli jestem zbyt dociekliwy, ale wyjaśnij mi, dlaczego to zrobiłaś?

- To chyba oczywiste? - Spojrzała mu w oczy z miną niewiniątka.

- Owszem, ale dla ciebie. Ja, niestety, nie ogarniam twoich zamysłów. Coś knujesz, moja miła, i bardzo chciałbym wiedzieć, co. ...

- Wcale ci się nie dziwię - odparła z niezmaconym spokojem. -Ja ze swojej strony mam wrażenie, że są sprawy, o których mi nie mówisz. Naturalnie nie chcę być wścibska, Dane. Możesz być pewien, że nie należę do gatunku żon, które za każdym razem chcą dokładnie wiedzieć, dokąd się wybierasz i co robisz.

- 2 zachwytem stwierdzam, że ożeniłem się z najbardziej tolerancyjną z kobiet - powiedział Black-thorn, który nadal nie rozumiał, co wspólnego mają wywody Violet ze sławetną „admiralską herbatką”.

- Och, Dane - zachnęła się - przecież zdaję sobie sprawę, że zwabiłam cię do ołtarza, chociaż tego nie chciałeś, więc jakim prawem miałabym cię pilnować? Nie, tylko nie zaprzeczaj - powiedziała szybko, widząc, że już otwiera usta. - Wystarczająco dokładnie zdałeś mi sprawę ze swoich odczuć. Dlatego bardzo się cieszę, że pomyślny zbieg przypadków doprowadził do tak ważnego spotkania. Po nim nastąpią inne, które udowodnią towarzystwu, że świetnie sobie poczynamy w małżeńskim łóżu i poza nim.

Blackthorn patrzył z zachwytem na śliczną buzię żony. Jego czarodziejka o marzycielskich oczach po raz kolejny uznała, że musi go chronić. Ale przed czym?

Zapewne przed podłymi potwarzami. Do licha, nic go nie obchodzi, co ludzie o nim mówią! Ale Violet to zupełnie inna sprawa. Poczł, jak budzi się w nim zimna furia na myśl, że ktoś pragnął rozmyślnie skrzywdzić tę cudowną istotę, która miała otwarte serce dla wszystkich.

Blackthorn czule przygarnął Violet do siebie i serdecznie, niemal po ojcowsku ucałował w czoło.

- Czy aby nie narzekasz na moje poczynania w małżeńskim łóżu?

- Absolutnie nie - zapewniła, odwzajemniając uścisk. - A ty, Dane? Jestem nowicjuską w sztuce miłości i jeszcze wiele muszę się nauczyć. Gdybyś chciał... hm, spróbować czegoś nowego, nie krępuj się, bardzo cię proszę.

Dłoń Dane'a, która zabłądziła w gęstwę krucznych loków, znieruchomiła nagle.

- Czegoś nowego? Czy masz coś szczególnego na myśli?

- A skąd mogę wiedzieć? Przecież powiedziałam, że jestem nowicjuską w tych sprawach. Choć marzyłaby mi się odrobina egzotyki...

Egzotyka, dobre sobie! Każda miłosna noc z tą czarodziejką była dla niego czystą egzotyką.

- Dane, nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi - Violet wydeła usta jak dziecko, któremu odmawiają za bawki. - W porównaniu ze mną jesteś chodzącą skarbnicą wiedzy w tej dziedzinie. Nie mówiąc już o tym,

że studiujesz filozofię epikurejską w kręgu ogrodowych filozofów.

No, wreszcie doszliśmy do sedna sprawy, pomyślał Blackthorn.

- Jeśli nawet tak jest, droga czarodziejko - odparł, odsuwając Violet od siebie, aby lepiej widzieć jej twarz - nie znaczy to, że jestem filozofem praktykiem. Poznałem Gabrielle za pośrednictwem Lynette. Była jej przyjaciółką od serca.

- Ależ rozumiem - powiedziała Violet ze szczerym zrozumieniem. - I naturalnie w pierwszym odruchu zwróciłeś się do niej, kiedy tylko przyjechałeś do Londynu. Domyślałam się tego od razu.

- I nie myliłaś się - potwierdził, czując niemiły ucisk w żołądku. - Powiedz mi, proszę, skąd wiedziałaś, że dzisiaj byłem u Gabrielle Benneau?

- Nie wiedziałam, że pojechałeś do niej akurat dzisiaj. W ogóle nie miałam pojęcia, gdzie jesteś.

- Ale słyszałaś, że się z nią kontaktowałem. Skąd? - nalegał.

- Vere powiedział mi o tym. Zaznaczam, że z ogromną niechęcią. - Fiołkowe oczy usilnie szukały oczu Da-ne'a. - Złożył mi wizytę dziś rano tylko po to, aby położyć kres plotkom, że szukasz przyjemności w ramionach bonapartystki, gdyż ja nie zaspokajam cię w łóżu. Prosiłam go usilnie, żeby nie próbował bronić mego dobrego imienia w sposób, który uważa za najbardziej właściwy, to znaczy wyzywając winnego na zakazany pojedynek. Zapewniłam, że sami poradzimy sobie z tą sprawą. I tak będzie, Dane, zapewniam cię.

Dotrzymała obietnicy - i to w jakim stylu! Plotki

ucichły, lecz pozostało pytanie, kto je rozsiewał. Teraz stało się dla Dane'a jasne, że musiał to być ktoś, kto znał go na tyle dobrze, by wiedzieć o jego znajomości z Gabrielle Benneau. Jakim bowiem cudem plotki rozeszłyby się, zanim jeszcze złożył pierwszą od dawna wizytę przy Berners Street?

Mimo to nie ośmielił się posądzać dwóch przyjaciół Gabrielle, Morina i Despagne'a, o rozsiewanie tak szkodliwych wieści. Byli zbyt lojalni wobec Gabrielle, a tym bardziej wierni pamięci Lynette. Nie wierzył, aby mogli zhańbić się podstępny działaniem przeciwko człowiekowi, który ocalił Lynette od tragicznego losu w jej własnej ojczyźnie. Nie raz zresztą udowodnili, iż są ludźmi honoru.

Dane po raz kolejny uświadomił sobie boleśnie, że nie ma pojęcia, jak wyglądało życie Lynette, zanim go poznała. Zakrawało na ironię losu, że ta, która była jego żoną, zabrała swoją tajemnicę do grobu, pozostawiając go na pastwę wiecznych domysłów. Piekło i szatani! złorzeczył, bezsilnie zaciskając pięści.

Violet jechała karocą z ciotką Roanną. Ciotka, oparta o miękkie poduszki, drzemała, Violet zaś zastanawiała się, czy bawi ją żywot barwnego, salonowego motyla. Nie mogła powiedzieć, że nie podobają się jej obiady u pani Rutherford, gdzie serwowano dania kuchni francuskiej, ani też że nudziła się w teatrze, podziwiając Keana w roli Otella. Gala u lady Stanhope również nie wywołała u niej ataku ziewania, podobnie jak zaimprovizowany raut u lady Wexler. Lecz kiedy minęła ekscytacja nowymi znajomo-

ściami, coraz bardziej zaczęło Violet brakować tego, kogo najbardziej chciałaby mieć u swego boku.

Nie miała pretensji do Blackthorne'a o to, że uporczywie wymigiwał się od wszelkich możliwych zaproszeń. Cieszyła się, że od czasu do czasu zgadzał się odtańczyć choć jeden taniec z nią. Później zaliczał jeszcze jeden, prosząc inną damę, a potem wymykał się dyskretnie, zostawiając Violet bez asysty. W rezultacie, co uświadomiła sobie z niejaką satysfakcją, skąpo dawkowana obecność earla Blackthorn wytworzyła wokół jego osoby aurę tajemniczości, czyniąc go - o dziwo -człowiekiem jeszcze bardziej towarzysko pożądanym i szanowanym.

Zresztą wiele par prowadziło osobne życie, pozostając jednocześnie w bliskim związku. Violet, pomimo lat samotniczego bytowania w Albermarle, zachowała jeszcze wiele kontaktów i z łatwością je odnowiła, szybko przystosowując się do nowej sytuacji. Już bardziej martwiła się o Blackthorna, który po latach spędzonych na morzu nie należał do żadnego kręgu towarzyskiego.

Tym bardziej ucieszyła się, że wuj Richard, który niezwykle szanował Dane'a za wojenne zasługi, rekomendował go do elitarnego klubu, do którego sam chętnie chadzał, aby dyskutować o polityce i oddawać się uciechom hazardu. Na całe szczęście, co z radością stwierdziła Violet, jej nowo poślubiony małżonek okazał się odporny na pokusy kapryśnej fortuny. Było to tym bardziej zaskakujące, że na pokładach statków marynarze i oficerowie namiętnie oddawali się grom, w których tracili wszystko, co zdobyli w wojennych

kampaniach. Długie miesiące spędzane na morzu były przekleństwem żeglarzy i niejeden kończył służbę wyrzucony na życiową mieliznę jak wrak. Dane lubił natomiast szachy, od czasu do czasu zgadzał się rozegrać partyjkę wista - natomiast rzadko siadał przy stoliku, gdzie grano w faraona o pieniądze.

Okazało się również, że odbiegał od typowego wizerunku człowieka morza jeszcze pod innym względem - nigdy się nie upijał, choć nie gardził trunkami.

Każda kobieta byłaby zachwycona takim mężem i Violet doceniała wyjątkowe zalety swego ukochanego kapitana. Mimo to w głębi duszy czuła, że istnieje dziedzina, do której nie ma dostępu: dręcząca pustka, której on sam nie potrafi wypełnić.

Poślubiła lorda Blackthorn, lecz to kapitan Trevor Dane zawojował jej serce - i musiała się liczyć z tym, że kiedyś ją opuści. Jego sercem bowiem niepodzielnie władało morze.

Jednak zamartwianie się o przyszłość nie leżało w naturze Violet. Skoro wyszła za człowieka morza, jak inne żony marynarzy będzie czekać na powrót męża z kolejnych rejsów. Kapitan musi mieć swój okręt i bezkresny horyzont. A skoro tak, gotowa jest poruszyć niebo i ziemię, aby zdobył wszystko, o czym on marzy. Musi zatem sprawić, że Trevor Dane wróci do łask Admiralicji i oczyści się z zarzutów. Pomoże mu w tym, nawet gdyby musiała zaprzedać duszę samemu diabłu!

Dokonam tego wszystkimi sposobami, które są mi dostępne, rozmyślała Violet, utwierdzając się w postanowieniu, podczas gdy powóz wtoczył się na oświet-

lony podjazd okazałej rezydencji admirała Stanho-pe'a.

- Ciociu Roanno - delikatnie potrząsnęła za ramię drzemiącą, towarzyszkę. - Obudź się, kochana. Jesteś na miejscu. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz mnie i dotrzymasz mi towarzystwa, dopóki nie zjawi się Blackthorn.

- Dobrze, moja ty niemożliwa brataniczko - uśmiechnęła się Roanna, pospiesznie poprawiając przygniecione pióra zdobiące jej paradną fryzurę. - Obiecuj tylko, że znajdziesz mi dyskretne miejsce pod ścianą, abym mogła bez przeszkód odgrywać rolę przywoitki w czasie, gdy ty będziesz brylować w kręgu wielbicieli. Doprawdy, Violet, przy tobie czuję się wyjątkowo staro!

- Obiecuję, kochana, że to nie potrwa długo i zdążysz jeszcze się zabawić - zapewniła ze śmiechem Violet, której zdaniem, mimo podeszłego wieku trzydziestu trzech lat, ciotka Roanna była nadal atrakcyjną kobietą o jasnych włosach i gładkiej, alabastrowej cerze.

Wsiadły z powozu i weszły do rzęsście oświetlonego holu, eskortowane przez lokaja w liberii lśniącej od złotych szamerunków. Wkraczając na salę balową, Violet przebiegła wzrokiem morze twarzy, szukając osób, które spodziewała się zobaczyć.

- O, patrz - szepnęła do Roanny zza wachlarza - sir Oliver Landford zajadłe dyskutuje o czymś z sir Henrym Granville'em. - Nie ukrywała podekscytowania. Zastanawiała się, co może być przedmiotem ich dyskusji.

- Och, pewnie jakieś nudne rozważania na temat strategii i taktyki - Roanna ziewnęła dyskretnie.

- Ale spójrz tylko na twarz Landforda! Wydaje się, że temat jest niezbyt przyjemny. - Niespodziewanie Violet szybkim ruchem pociągnęła ciotkę w bok, widząc, że gromada wielbicieli rusza w ich stronę. -Usiądź tutaj - pokazała na sofkę, stojącą w niszy oddzielonej od świata ścianą paprotek w donicach.

Zostawiwszy Roannę na stanowisku, Violet żwawo ruszyła na środek sali, aby zająć pozycję dogodną do obserwacji sir Landforda. Nie było to łatwe z uwagi na chmurę adoratorów, która natychmiast pociągnęła za nią jak stado os za miodem. W końcu zatrzymała się otoczona wianuszkami młodych mężczyzn, wyczekujących na każdy jej gest i słowo. Nie dalej niż kilka metrów od niej kontradmirał perorował w swoim własnym kręgu słuchaczy.

Violet obserwowała Landforda, maskując się wachlarzem i udając zainteresowanie spekulacjami na temat wyższości siwków lorda Shelby nad gniadoszami pana Featherstone'a i ich szans w wyścigu zaprzęgów w Brighton. O wiele bardziej interesowały ją przemiany admiralskiego oblicza, które od gniewnej bladości przeszło do apoplektycznej czerwieni. Wylupiaсте, niebieskie oczy nabiegły krwią, a mowa stawała się coraz bardziej gwałtowna i bełkotliwa. Tło dla admiralskich popisów stanowiły łagodne dźwięki gawoty, w rytm którego wirowały tańczące pary.

Violet nie była pewna, czy w tej sytuacji zdoła podejść przeciwnika. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, czy zamierza podsłuchiwać, co mówi admirał, aby

wyłowić wątki, które pomogłyby jej rozwikłać tajemnicę spisku przeciwko Dane'owi. Nie liczyła również, że uda się jej odciągnąć admirała na bok, aby sprowokować go w jakikolwiek sposób, żeby się zdradził. W końcu jest córką człowieka, którego sir Landford najbardziej nienawdził. Mimo to trwała w intuicyjnym przekonaniu, że jeśli wystarczająco długo pozostanie w zasięgu jego wzroku, coś się w końcu wydarzy.

Nagle drgnęła, czując na sobie czyjeś intensywne spojrzenie. Ujrzała przed sobą dżentelmena w granatowym mundurze.

- P-proszę wybaczyć, lady Blackthorn - zająknął się, składając niski ukłon. - S-spotkaliśmy się przed kilkoma tygodniami na przyjęciu u sir Henry'ego Granville'a. Jestem porucznik Alastair Cordell. Mam nadzieję, że pani mnie pamięta.

- Ależ naturalnie, poruczniku, pamiętam pana - odparła Violet z bijącym sercem.

Zaiste, trudno było go nie zapamiętać. Z grzywą jasnozłotych włosów, rozmarzonym spojrzeniem orzechowych oczu i uderzająco regularnymi rysami twarzy sprawiał wrażenie istnego Adonisa, jakkolwiek nieco podstarzałego. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Porucznik Cordell zostałby z pewnością bożyszczem kobiet, gdyby nie wiecznie spuszczone wzrok, znamionujący brak pewności siebie. Najwyraźniej ta cecha szkodziła mu nie tylko w towarzystwie, ale i przy awansach. Dobiegał trzydziestki i powinien zdobyć już coś więcej niż szlify porucznika.

-Jest pan adiutantem kontradmirała Landforda, tak?

- Zgadza się. Czy m-mógłbym... chciałbym złożyć pa ni powinszowania z okazji niedawnego zamążpójścia i jeśli można, prosić o zaszczyt zatańczenia z panią.

- Co do pierwszego punktu, jest pan niezwykle uprzejmy, poruczniku. Jeśli zaś chodzi o drugi, dzisiaj niestety nie tańczę. Natomiast byłabym zachwycona, gdyby zechciał mi pan towarzyszyć na tarasie. Pragnęłabym zaczerpnąć świeżego powietrza.

- J-ja również, milady - odparł Cordell, z przejęciem podając jej ramię. - Czuję się zaszczycony.

Violet przeprosiła swoich dżentelmenów, którzy głośno oprotestowali jej porwanie, i pozwoliła Cor-dellowi poprowadzić się na taras wychodzący na niewielki, lecz pięknie urządzony ogród.

- Och, nareszcie świeże powietrze - westchnęła, wystawiając twarz na powiew wieczornego wiatorku. - I tak tu cicho. Przywykłam do wiejskiej atmosfery Devonu i prawdę mówiąc, męczy mnie natłok wrażeń wielkowiejskiego życia.

- Nikt by się tego nie domyślił. Pani wprost błyszczy jak gwiazda w tłumie wielbicieli! - zauważył Cordell. - Towarzystwo poddało się pani bez jednego wystrzału.

- Och, wszyscy tutaj są dla mnie bardzo mili - uśmiechnęła się Violet, obdarzając porucznika powłó czystym spojrzeniem. - I dla Blackthorna, odkąd zo stał Blackthornem.

- Tak rzeczywiście jest - potwierdził Cordell z jesz cze poważniejszą miną. - A-ale ja od dawna uważa łem, że kapitan D-Dane został potraktowany w spo sób uwłaczający jego godności. - Smętny uśmiech przemknął po przystojnej twarzy. - Ale nie jest waż-

ne, o sobie myśli byle p-porucznik. Gdyby to ode mnie zależało, proszę mi wierzyć, że kapitan już dawno cbszałby dowództwo nowego okrętu razem z awaisem w nagrodę za brawurowe zatopienie tamtego 7rancuza. N-niestety, jestem tylko...

- Wiem, porucznikiem - dokończyła Violet. - Doprawdy, szkoda, że nie jest pan admirałem. Uniknęlibyśmy wielu zgryzot i kłopotów. Od dawna służy pan w maynarce?

- Me, zacząłem swoją morską karierę raczej późno - cdparł Cordell, wykazując nagłe zainteresowanie czubktmi swoich butów. - Stało się to za sprawą... n-niefoiunnego incydentu z p-pewną damą, której rękę jej ojciec obiecał już wcześniej d-dzgentelmenowi... lepiej rokującemu niż ja. Groził skandal, lecz mój wuj w saną porę załatwił mi s-skierowanie do marynarki.

- Piński wuj? - podchwyciła Violet. - Sir Oliver?

- Ne, s-sir Olivera poproszono tylko, aby p-przy-jął mnie na swego adiutanta, za co jestem mu b-bar-dzo wdzięczny, choć uważam, że niezbyt nadaję się do s-sużby na morzu i nie zrobię tam kariery. Co innego fani małżonek, który jest urodzonym wilkiem morskim. Czy zamieszka pani z earlem w Londynie?

- R;czej wątpię - powiedziała Violet, której nie uśmiechało się życie w mieście, zwłaszcza jeśli Black-thorn miałby wypłynąć na morze. - Uważam, że Blacklborn Manor lepiej nadaje się do zamieszkania i do wychowywania dzieci, a zwłaszcza chłopców -dodała - Tam będą mogli sobie łowić ryby, hasać na koniach po polach, a tu?

- R-rozumiem - przytaknęła. - To naturalne, że jak

każda świeżo poślubiona małżonka myśli pani o przyszłości.

- Nie takiej dalekiej przyszłości, poruczniku - powiedziała Violet, myśląc o młodym lordzie Fenning-ton. Philippe był zachwycony swoim nowym preceptorem, panem Timothy'm Greene'em. - Mój mąż ma syna z pierwszego małżeństwa.

- Chłopiec, który ma panią za m-macochę, w-wy-grał szczęśliwy los.

- Byłby jeszcze bardziej szczęśliwy, gdyby nie stracił mamy - stwierdziła Violet, niezbyt zachwycona takim pochlebstwem. Już miała na końcu języka ciętą odpowiedź, lecz powstrzymała się. Cordell był nieśmiały i najwyraźniej niezbyt wyrobiony. - Chłopiec ma dopiero siedem lat - dodała spokojnie. - W tym wieku dziecko jeszcze bardzo tęskni za matką.

Umilkła, nasłuchując. W sali balowej ucichła orkiestra i rozległ się gwar głosów.

- Zdaje się, że nasz taniec się skończył, poruczniku - stwierdziła, z niechęcią myśląc o powrocie do kręgu nudnych wielbicieli. Niewiele dowiedziała się od tego niewydarzonego adiutanta. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiała spisać wieczór na straty.

Odwróciła się do Cordella, aby podał jej ramię, lecz w tym momencie drzwi balkonowe rozwarły się z trzaskiem i na taras chwiejnym krokiem wkroczył korpulentny mężczyzna.

- Dosyć tego, poruczniku - warknął bełkotliwie sir Oliver, patrząc przekrwionymi oczami na Violet. - Możesz odejść. Twoja obecność nie jest już tu potrzebna.

Blackthorn z miną cierpiętника pozwolił ubrać się Mortonowi. Ciągłe nie mógł przywyknąć do obecności lokaja gotowego do wszelkich posług. Z trudem dostosowywał się do towarzyskiej strategii Violet i z najwyższą niechęcią myślał o balu u lady Stan-hope. Nigdy nie miał zdolności do tańca i z ledwością pamiętał podstawowe kroki. Jeszcze gorzej szła mu towarzyska konwersacja, gdyż był człowiekiem przywykłym do wydawania krótkich, konkretnych rozkazów i nie lubił tracić czasu na puste rozmowy o niczym. A już prawdziwą zморą okazały się awanse, jakimi zaszczycały go piękne, eleganckie kobiety, zdumiewająco chętnie szukające jego towarzystwa i oczekujące, że poprosi je do tańca.

Dane oddał okrycie odźwiernemu i wkroczył na salę balową, wypatrując w tłumie gości swojej pani. Zanotował obecność sir Olivera Landforda, który wyraźnie nadużył wina hojnie serwowanego przez służbę, i potem jego wzrok padł na gęsty tłumek mężczyzn, który otaczał smukłą kobiecą postać, odzianą w sukienkę w głębokim odcieniu purpury. Westchnął, czując, jak krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach na jej widok. Do diabła, a jakże miałyby być inaczej? Przecież Violet była najpiękniejszą kobietą w tym towarzystwie, a na dodatek jego żoną, z którą co noc może się kochać w małżeńskiej łóżnicy!

Zaczął przepychać się wśród gości, by pójść do Violet, lecz powstrzymał go głęboki, kobiecy głos.

- Lordzie Blackthorn, nareszcie zaszczyił nas swoją obecnością. Myśleliśmy już, że się pan nie pojawi.

Obejrzał się i zobaczył atrakcyjną matronę w średnim wieku, wyraźnie zachwyconą spotkaniem z nim.

- Dobry wieczór, lady Stanhope. Miło mi znów panią widzieć.

- Mnie również. - Rozpromieniona, ujęła go za ramię i odprowadziła na bok. - Bardzo chciałam z panem porozmawiać, kapitanie, a nie miałam po temu okazji w czasie wczorajszej przemiłej herbatki u pańskiej małżonki. Pragnę podziękować panu za Opiekę nad moim synem. William w listach wspominał o panu wiele razy, lordzie Blackthorn. Bardzo pana podziwia.

- William jest jeszcze młody - odparł Blackthorn z niewesołym uśmiechem. - Kiedy byłem w jego wieku, również podziwiałem mojego dowódcę.

- Jest pan przesadnie skromny - odrzekła lady Stanhopej wpatrując się w Dane'a z życzliwym zainteresowaniem. - William tak się o panu wyrażał i widzę, że miał rację. Pisał również, że najchętniej dalej służyłby pod pana dowództwem. Głęboko żałuję, że na razie nie ma po temu okazji. Może powie mi pan kilka słów o jego nowym dowódcy. Chodzi o kapitana Jamesa Trávisa, o ile dobrze pamiętam. Czy zna pan go?

- Naturalnie. - Przed oczyma Dane'a pojawił się potężny, krępy mężczyzna o dudniącym głosie i szorstkich manierach. - Kapitan Travis to doświadczony dowódca i uczciwy człowiek. Mogę panią zapewnić, że William Parker-Stanhope jest w dobrych rękach.

- Nie rna pan pojęcia, jaką ulgę sprawiły mi pań-

skie słowa, lordzie Blackthorn - rozpromieniła się lady Stanhope. - Nie zdołałam nic na ten temat wyciągnąć od męża. A wie pan, jak to jest. William służy pod kapitanem Travisem w stopniu porucznika i ma jeszcze przed sobą długą drogę przez kolejne szczeble awansów. Tylko Bóg albo diabeł może mu w tym pomóc teraz, kiedy jest gdzieś daleko na morzu.

Blackthorn doskonale wiedział, co dzieje się w duszy matki, choć pani Stanhope nadrabiała miną. Najpierw przez długie lata czekała na męża, zamartwiając się o niego, a teraz po raz drugi przeżywała katusze, martwiąc się o syna. To samo musiała czuć jego własna matka, kiedy próbowała odwieść go od zamiaru pójścia w ślady ojca. Może i dobrze się stało, że nie dożyła chwili, gdy Dane wstąpił na pokład okrętu.

- Nie będę udawać, że nie ma się o co martwić - powiedział z powagą. - Ale może pani być dumna z Williama, zapewniam. Widać, że odziedziczył po pa ni niezłomnego ducha, a niedługo nie będzie ustępował ojcu sławą i umiejętnościami.

Pożegnał się z lady Stanhope, zapewniając, że niedługo się zobaczą. Rozmowa o młodym Williamie poruszyła w jego duszy bolesną strunę. Parker-Stanhope służył na morzu i jako pierwszy oficer mógł się wkrótce spodziewać awansu - o ile wcześniej nie trafi go nieprzyjacielska kula. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, niedługo zostanie kapitanem i stanie na mostku własnego okrętu, podczas gdy on, Trevor Dane, będzie uświetniał kolejne bale u boku swojej małżonki jako lord Blackthorn.

Zły nastrój Dane'a pogorszył się wydatnie, kiedy

rozejrzawszy się jeszcze raz po sali, stwierdził, że Violet znikła mu z pola widzenia. Coś było nie w porządku i czuł to, choć jeszcze nie wiedział, o co chodzi,

- Znikaj stąd! - wściekły rozkaz Landforda zawisł w słodkim powietrzu ogrodu jak odrażająca woń.

Cordell zaczerwienił się po koniuszki uszu i przez chwilę zdawało się, że zdoła zebrać się na odwagę i przeciwstawić przełożonemu.

- Spokojnie, poruczniku - pospieszyła mu ze wsparciem Violet. - Za moment do pana dołączę.

Cordell wahał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie sztywno skłonił głowę, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że bardziej sobie zaszkodzi, jeśli będzie się upierał przy pozostaniu.

- Tak, milady - przytaknął ze śmiertelnie poważną miną. - Gdyby pani mnie potrzebowała, będę w pobliżu. - "Wykonał przepisowy zwrot i sztywno przemaszerował obok swego przełożonego.

- Impertynencki dureń - sapnął Landford. - Powinni wywalić go z marynarki na zbity pysk. Nie ma z niego żadnego pożytku, a tylko same kłopoty. A co do pani, lady Blackthorn, to chciałbym wiedzieć, do jasnego diabła, co też pani knuje. Gdziekolwiek się spotkamy, czuję to świdrujące spojrzenie anielskich oczu. Myśli pani, że nie wiem, że najchętniej widziałaby mnie pani na samym dnie piekła?

- Doprawdy, obraża mnie pan, sir Landfordzie - odparła. - Jak można mnie posądzać o to, że życzę komuś piekła? A jeśli ma pan coś na sumieniu, admi-

rale, z pewnością najwyższy sąd wojskowy władny jest rozstrzygnąć o pana winie. Czy ma pan, nie daj Boże, podstawy, aby obawiać się najgorszego?

- Cwana jesteś, to muszę ci przyznać - prychnął Landford, całkiem tracąc już opanowanie. Wpatrywał się w Violet wściekłym spojrzeniem, od którego ciarki przechodziły jej po krzyżu.

Z wysiłkiem spłotła na piersi dłonie gestem urażonej niewinności, aby ukryć gwałtowne bicie serca. Ten człowiek był naprawdę groźny i potrzebowała całej siły ducha, aby dotrzymać mu pola.

- Do jakich wniosków zamierzamy dojść, sir Oli-verze? - zapytała, zerkając kątem oka, czy da się przeskoczyć przez balustradę tarasu. - Osobiście nie mam pojęcia, o co może pan być oskarżony. Ale, jak rozumiem, istnieje pewna groźba, czy tak?

- Nie wie pani? - Landford podsunął się ku Violet, zionąc jej w twarz kwaśnym, winnym oddechem. -Dlaczego w takim razie, do stu parszywych diabłów, śledzisz mnie przy każdej okazji? Ale ostrzegam cię,

ty wścibska kobieto, że nic ode mnie nie wyciągniesz, a na dodatek gorzko pożałujesz swojej ciekawości. Możesz się poskarżyć swojemu szanownemu braciszкови, krwawemu Vere, albo kochanemu dziaduniowi. I tak nic ci to nie pomoże!

- Czym jeszcze jej zagroisz, Landford? - odezwał się za ich plecami męski głos, spokojny, lecz groźny. -
Czekam...

Landford znieruchomiał, a jego błędne spojrzenie momentalnie odzyskało przytomność.

- Blackthorn - wychrypiał z nieukrywaną nienawi-

ścią. - Może raczyłyby pan, do cholery, z szacunkiem zwracać się do zwierzchnika?

Violet wstrzymała oddech, widząc zimny błysk w oczach męża. To, czego nie dostrzegł pijany Landford, stało się dla niej przerażająco jasne - w tym momencie admirał przestał być dla Dane'a zwierzchnikiem.

Głos kapitana, który rozległ się w ciszy, był wręcz jedwabście miękki.

- Byłbym wdzięczny, gdyby przestał pan obrażać moją małżonkę koszarowym językiem. Jeszcze jedno plugawe słowo, a będę musiał dać panu lekcję dżentelmeńskiego zachowania, admirał.

- Dać mi lekcję? - Landford aż sapnął z oburzenia. -Ty skończony durniu! Podam cię pod sąd wojenny za obrazę zwierzchnika.

- Nie zrobisz tego, Landford - odparł Blackthorn. Stał, lekko pochylony, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, gotów do ataku jak groźny drapieżnik. -Zrobisz natomiast co innego, i to zaraz: przeprosisz moją żonę.

Landford zachwiał się lekko i wysunąwszy szczękę niczym buldog, zmrużył przekrwione oczy, jakby chciał się lepiej przyjrzeć kapitanowi.

- Nie będziesz mi wydawał rozkazów. Możesz sobie...

Ramię Blackthorna wystrzeliło do przodu, wymierając z kłaśnięciem podwójny policzek.

~ Co... ty skur... - admirał poczerwieniał jak w ataku apopleksji i runął na Dane'a.

Lecz Blackthorn był dla niego za szybki. Zrobiwszy błyskawiczny unik, chwycił Landforda za gardło i przycisnął do ściany, aż przeciwnikowi oczy wyszły z orbit.

- Nie jestem twoim kapitanem - warknął, *zbliżając* twarz do twarzy admirała. - Właśnie złożyłem rezygnację.

- Dane, nie! - krzyknęła Violet zdławionym głosem, kurczowo przytrzymując się poręczy tarasu. Ale Dane zdawał się jej nie słyszeć.

- A teraz błagaj moją panią, żeby ci wybaczyła, inaczej rozstrzygniemy tę sprawę w honorowym pojedynku.

Violet, odrętwiała z przerażenia, ze zgrozą zaczynała rozumieć, co się naprawdę stało.

Blackthorn ostatecznie pogrzebał możliwość odzyskania dobrego imienia w oczach Admiralicji. Mało tego, jeśli jeszcze miał szansę na karierę w marynarce, w tej jednej strasznej chwili stracił ją ostatecznie. Wykrztuszone pod przymusem przeprosiny sir Land-forda były marnym pocieszeniem w tej sytuacji. Na dodatek Blackthorn ryzykował karierę dla kobiety, która podstępem wciągnęła go w małżeństwo, choć nie zamierzał się żenić.

- Nie możesz winić siebie za to, co i tak prędzej czy później by się stało - powiedział do Violet, gdy opuszczali przyjęcie.

- Wcale nie winię siebie - prychnęła. - Z jakiej racji miałabym to robić? W jednej chwili postawiłeś na jedną kartę całą swoją karierę, choć wcale nie było to konieczne, a teraz uważasz, że potrafisz czytać w moich myślach. A prawda jest taka, że nigdy mój los nie był związany z tobą, Dane.

Blackthorn uśmiechnął się triumfalnie w mroku powozu, a ciężar w jego piersi zelżał. Violet była do-

prawdy niezwykła. Z przerażonej, drżącej istoty potrafiła w jednej chwili zmienić się w trzeźwo myślącą, opanowaną kobietę, która kilkoma ruchami poprawiła toaletę i jak gdyby nigdy nic wróciła na salę balową.

Roanna, która bezbłędnie wyczula, że stało się coś niedobrego, również stanęła na wysokości zadania. Jeden rzut oka na Blackthorna i Violet wystarczył, aby bez słów chwyciła bratanicę za rękę i przepychając się przez tłum balowiczów, poprowadziła Violet ku wyjściu, nie zadając żadnych pytań.

Miała wyraźną ochotę odeskortować Violet do domu, ale bez protestów przekazała opiekę Blackthorno-wi i odeszła do swojego powozu. Dane był jej za to nieskończenie wdzięczny. Kiedy zajęli miejsca w mrocznym wnętrzu i konie ruszyły, z początku panowała cisza. Violet siedziała sztywno, z rękami splecionymi na podolku.

Dane milczał, przeklinając w myśli swój paskudny los. Nie podejrzewał, że jest zdolny do takiej ślepej furii. Kiedy wszedł na taras i zobaczył, jak Landford bez pardonu atakuje Violet, ogarnął go gniew, który zmienił go w demona zemsty, pozostawiając umysł przedziwnie chłodnym i racjonalnym. Od razu wiedział, jak powinien postąpić, i nie żałował ani jednego kroku. Gdyby ten drań jeszcze raz zagroził Violet, zabiłby go bez wahania.

- Wiem, popełniłem błąd - powiedział, choć w głębi duszy był przekonany, że postąpił słusznie. Jasne, Violet nie byłaby sobą, gdyby nie czuła się winna. Nawet w półmroku karety widział to w jej twarzy. -

Wiesz jednak dobrze, że moja morską karierą została pogrzebana o wiele wcześniej. Nie zrobiłem nic, co byłoby w stanie pograć mnie jeszcze bardziej. A już na pewno nie miałem zamiaru ci zaszkodzić, moja ty zdesperowana żono. Przykro mi, jeśli rozczarowałem cię swoim nierozsądnym zachowaniem.

- A i owszem, rozczarowałeś mnie - stwierdziła urażonym tonem. Dopiero teraz tamy puściły i długo tłumione emocje gwałtownie domagały się ujścia. Już nie panowała nad sobą. - Zaiście, nie mogę ci wybaczyć, że jednym ruchem zrujnowałeś wszystko. Całe moje starania, bale, rauty i herbatki, w czasie których zastawiałam subtelne sidła na Landforda, czekając, aż straci cierpliwość i wreszcie coś zdradzi. A kiedy przyszła chwila, której tak oczekiwałam, i nasz wróg zdjął przyłbicę, wpadłeś między nas jak burza, opętany myślą o moim honorze. A wystarczyłoby, gdybyś wstrzymał się na chwilę i pozostał w cieniu, żebym wydobyła z niego informacje na temat Kruka - bo chyba nie wątpisz, że admirał jest wplątany w całą sprawę. Tylko demaskując intrygantów możemy zyskać pewność, że już nigdy nikt nie strzeli ci w plecy. Dane, rzecz w tym, że za bardzo cię kocham, aby cię stracić. Jestem gotowa czekać miesiącami, a nawet latami jak zwykła żona marynarza na twój powrót z morza, ale będę rozpaczać, jeśli nie popłyniesz w rejs i przeze mnie zrezygnujesz z kariery.

- Moja słodka, niesamowita Violet, niepodobna do innych kobiet - powiedział z czułością. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak wszechogarniające jest uczucie, którym darzy go jego fiołkooka czarodziejka.

Oto woli wyczekiwać go w porcie, niż mieć przy sobie, chorego z tęsknoty za morzem!

Od zapomnianych czasów dzieciństwa, kiedy mieszkał z matką i siostrami, nikt do tego stopnia nie przejmował się jego losem. Na dobrą sprawę nie pamiętał już, co znaczą czyjaś troska i miłość. Gdy w młodym wieku zaczął morską karierę, wystarczyło mu, że solennie wypełniał obowiązki, zasługując na uznanie przełożonych. Niczego więcej nie potrzebował.

Do czasu, kiedy piękna kobieta o czułym sercu i wrażliwej duszy pokazała mu, jak to jest kochać i być kochanym. Wówczas zrozumiał, że ani satysfakcja z dobrze pełnionej służby, ani miłość do ojczyzny nie zastąpią ciepła ludzkich uczuć.

Violet, bliska ataku niepowstrzymanego płaczu, momentalnie się uspokoiła, uniesiona falą czułości Dane'a. Czułość, która z każdą chwilą zmieniała się w rosnącą namiętność, kazała jej zapomnieć o fatalnym incydencie z Landfordem i myśleć już tylko o jednym - o dzikiej, wręcz zwierzęcej potrzebie bliskości, która rodziła się za każdym razem, kiedy dłonie Dane'a dotykały jej ciała.

Zwłaszcza że tym razem Blackthorn zabrał się do rzeczy tak, jak jeszcze nigdy tego nie robił. Na moment wstrzymała oddech, kiedy zachłannym gestem wsunął jej dłoń pod spódnicę i podążył wyżej, wywołując w niej burzę gwałtownych sensacji. Przecież znajdowali się w karecie, torującej sobie drogę przez londyńskie ulice!

- Dane! - szepnęła bez tchu, czując, jak jego palce wślizgują się w najtajniejszy zakątek jej ciała. - Nie wstyd ci?

- Ani trochę, moja fiołkooooka czarodziejko - od parł, bez pardonu wdzierając się głębiej.

Violet kurczowo chwyciła go za ramiona. ;

Blackthorn uśmiechnął się w ciemnościach. █

- Przyznasz, moja miła, że tym razem jest zupełnie inaczej, prawda? Można powiedzieć, egzotycznie -dodał z nutą triumfu, czując, jak bardzo jest gotowa. Sam pragnął jej jak szaleniec. Musiał osiąść ją tu i teraz, inaczej spali się w niepowstrzymanej żądzy. Gwałtownymi ruchami rozpiął guziki płaszcza i rozwiązał tasiemki spodni, obnażając swą męskość. Vio-let, nie namyślając się wiele, opuściła zasłonki w oknach karety. Zachodziła tylko w głowę, jak Dane ma zamiar kochać się z nią w tym niezwykłym miejscu. Ale zanim zdążyła cokolwiek wymyślić, poczuła, jak silne męskie dłonie oplatają ją w talii.

- Wyobraź sobie, że jedziesz na koniu, słodka Vio-let - powiedział chrapliwym głosem. - Ty będziesz jeźdźcem, a ja...

- Wiem - zaśmiała się i niezwłocznie ściągnęła pan-talony, po czym usiadła mu na udach. Wszystko było takie nowe i podniecające - fakt, że pozostała całkowicie ubrana i że będą kochać się w powozie, pędzącym po najruchliwszych ulicach miasta. Zaiste miał rację filozof, który uczył, że należy w każdej sytuacji poszukiwać przyjemności życia. Nic dziwnego, że epikure-izm przyjął się w nowoczesnym świecie otwartym na wszelkie eksperymenty.

Wkrótce jednak porzuciła owe rozważania, gdyż uroki praktyki wzięły górę nad teorią. Mocne dłonie Blackthorna pewnym chwytem nakierowały ją na cel.

- A teraz, księżniczko - powiedział głosem drżącym z powstrzymanej żądy - pogońmy nasze konie. - Jednym sztychem znalazł się w niej, aż krzyknęła głośno, i rozpoczęli szaleńczą galopadę, kołysani wstrząsami powozu.

Rozkosz spełnienia była tak silna i przysła tak szybko, że Violet upadła na pierś Dane'a jak szmaciana lalka, ciężko łapiąc oddech.

- Mój piękny, drogi kapitanie - wydyszała - obiecaj mi, że przynajmniej raz w miesiącu będziemy się kochać w jakiś bardzo egzotyczny sposób w jadącej karecie.

- Możemy to robić nawet częściej niż raz w miesiącu i niekoniecznie w jadącej karecie - powiedział, gładząc ją po szyi. - Obyśmy tylko nie stali się przez to nowym tematem plotek. Blackthornowie, siejący zgorszenie na ulicach Londynu, wyobrażasz sobie? To będzie lepsze niż awantura na tarasie u lady Stanhope.

- Mam nadzieję, że Landford nie zechce rozgłaszać wieści o swoim upokorzeniu - stwierdziła Violet, tuląc się mocniej do Dane'a. - Zaś co do drugiej sprawy, wątpię, aby ktoś domyślił się, co robimy we wnętrzu naszego powozu.

- Zapominasz, że jest znakomicie resorowany, moja miła, a na dodatek ma na drzwiczkach herb Black-thornów - stwierdził ze śmiechem.

- Boże! - Violet dopiero teraz uświadomiła sobie, ile ryzykowali. - Doprawdy, niewiele było trzeba, aby się domyślić, co dzieje się wewnątrz powozu i kto zabawia się bezpiecznie w samym środku londyńskiego ruchu, w potoku pojazdów wiozących szacownych

dżentelmenów i damy. - A swoją drogą chciałabym widzieć ich miny - dodała, chichocząc.

Blackthorn odpowiedział głośnym śmiechem. Po raz pierwszy słyszała, aby śmiał się tak szczerze.

- Suponuję, abyśmy spróbowali doprowadzić się do porządku - powiedział, czule całując żonę w czoło. - Niedługo dojeżdżamy do domu i obawiam się, że jeśli pozostaniemy dalej w *te*) ciekawej pozycji, pierwsza zacznie plotkować nasza służba.

Violet z niechętnym westchnieniem zsunęła mu się z kolan i zaczęła wygładzać suknię. Najchętniej zapukałaby w szybę, dając znać Fiskowi, aby jechał dalej i woził ich tak długo, jak długo nie nasyciliby się sobą.

Kiedy koła karety zaturkotały na podjeździe Blackthorn House, zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Dane? - z niepokojem ścisnęła dłoń męża.

- Tak, widzę - odparł. - Nie martw się, *może* Phi-lippe'a boli brzuch. Zaraz się przekonamy.

W pośpiechu wyszli z pojazdu.

- Potter, co się stało? - zapytała lokaja, ściągając rękawiczki. - W pokoju dziecka pali się lampa, a przed domem stoi powóz doktora. Wiem, bo kilka dni temu przyjeżdżał do pani Tidwell, a ja zawsze poznaję konia.

- Pan Greene uznał, że lepiej będzie wezwać lekarza, milady - odparł Potter. - Lord Fennington dostał gorączki. Doktor jest u niego.

Violet, nie słuchając dalej, ruszyła ku schodom.

- Violet - Blackthorn przytrzymał ją za rękę. - Lepiej poczekaj na dole, a ja porozmawiam z doktorem i dowiem się, co jest Philippe'owi.

- Nie ma mowy, mój panie - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Mówisz tak, jakbym ni gdy w życiu nie była przy chorym. Poza tym dziecko potrzebuje matki i myślę, że choć w małej części zdolam mu ją zastąpić w takiej chwili.

Blackthorn zacisnął wargi, ale puścił jej dłoń bez słowa. Kiedy weszli do pokoju, lekarz właśnie zamykał swoją torbę.

- To świnka - oznajmił bez wstępów. - Choroba jest bardzo zaraźliwa, więc będę musiał prosić, aby szanowni państwo natychmiast stąd wyszli.

- Przeszłam świnkę w dzieciństwie - zapewniła Violet. Jej zaniepokojone spojrzenie pobiegło ku dziecku.

- To znakomicie - ucieszył się lekarz. - Prosiłbym w takim razie, aby pani została z małym, dopóki nie zjawi się wezwana przeze mnie siostra. Szanowny lordzie, czy będzie pan łaskaw? - poprosił z naciskiem, popychając Dane'a ku drzwiom. - W pańskim wieku ta choroba może mieć bardzo poważne skutki. Lepiej, żeby się pan nie zaraził.

- Blackthorn, posłuchaj pana doktora - powiedziała Violet, patrząc mężowi głęboko w oczy. - Zajmę się twoim synem. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Dane zaklął pod nosem, ale posłuchał i z ociąganiem wycofał się na korytarz. Został za to nagrodzony przez Violet pięknym, ciepłym uśmiechem. Z takim samym uśmiechem wróciła do pokoju i podeszła do łóżka dziecka.

- Dobry wieczór, Philippe - powiedziała miękko, przysuwając sobie krzesło do wezglowia i ujmując

rozpaloną rączkę chłopca w swoje dłonie. - W tej chwili czujesz się paskudnie, wiem, bo sama chorowałam na świnkę, ale szybko wyzdrowiejesz. Daję ci słowo honoru.

Blackthorn, ślęczący przy wielkim, mahoniowym biurku wuja, uniósł głowę znad ksiąg i wyprostował obolałe plecy. Doszedł do wniosku, że tak zwane nowoczesne metody uprawiania ziemi są jedynie nieznacznie zmienionymi pomysłami lorda Towsheada, nazywanego lordem Kalarepą, który w roku 1730 wprowadził reformę upraw rolnych. Praktyka corocznego płodozmianu, w którym obsiewano po kolei pola pszenicą, kalarepą, jęczmieniem, koniczyną, a na końcu trawą, sprawdzała się w pełni, przynosząc świetne wyniki. Poprzedni lord Blackthorn musiał być najwyraźniej zwolennikiem tej metody. Trzy posiadłości ziemskie przynosiły mu niezmiennie wysokie dochody.

Do tego, jak musiał przyznać Dane, wuj okazał się naprawdę łagodnym panem dla swoich włościan i znakomitym znawcą ludzkich charakterów. Ekonomowie, których zatrudniał w swoich gospodarstwach, świetnie znali się na robocie i byli lojalni wobec pracodawcy.

Blackthorn z trzaskiem zamknął gruby tom „Naukowych studiów na temat wpływu metody norfolckiej na produkcję rolną”, którego lekturę pomyślnie zakończył, i zaczął dumać nad swoimi przyszłymi rządami w majątku. Nie widział sensu, aby zmieniać to, co tak dobrze się sprawdziło. Marynarka natomiast, pomyślał, stale wymaga zmian, a już zwłaszcza

w dziedzinie ludzkiego i sprawiedliwego traktowania szeregowych marynarzy.

Tej ostatniej sprawie poświęcał wiele uwagi. Taktyka morska dzięki geniuszowi takich dowódców floty, jak Hood czy Nelson, dokonała błyskawicznych postępów. Prości marynarze zaś, werbowani spośród ludzi podejrzanego autoramentu, których trudno było utrzymać w ryzach, traktowani byli nie lepiej niż niewolnicy na galerach.

Tymczasem Blackthorn *dążył* aby mieć na swoim pokładzie żeglarzy z prawdziwego zdarzenia, sprawnych i bitnych, którzy zasługiwaliby na godne traktowanie. Takich, którzy gotowi byli pójść za nim w ogień z przekonania i lojalności, a nie dlatego, że zostali do tego zmuszeni chłostą czy zastraszeni innymi karami. Nędzny żołd i marne umundurowanie, podłe jedzenie, daleko niewystarczająca opieka medyczna i warunki bytu urągające człowieczeństwu - wszystko to nie służyło wychowaniu żołnierza, który walczy dla króla i ojczyzny. Dane przewidywał, że jeśli natychmiast nie zostaną podjęte głębokie reformy, marynarka angielska, mimo całego technicznego postępu, w przyspieszonym tempie utraci swoją zdolność bojową. I to w chwili, kiedy praktycznie pozostała jedyną siłą, zdolną obronić Anglię przed francuską inwazją.

- Piekło i szatani! - zaklął, gwałtownie wstając zza biurka. Po jaką cholere dręczy się tym, co i tak już jego nie dotyczy? Złożył rezygnację i marynarka spokojnie może się obejść bez niego i jego reformatorskich pomysłów. Teraz powinien zająć się polami, oborami i pastwiskami.

Drgnął, słysząc ciche pukanie do drzwi.

- Wejść! - warknął z irytacją. Nie miał ochoty ni kogo widzieć.

Drzwi uchyliły się dyskretnie i wszedł Potter z godną miną wzorowego służącego, którego okoliczności zmusiły do tak naganego czynu, jakim jest zawracanie głowy panu będącemu w podłym nastroju.

- Proszę wybaczyć, milordzie - powiedział - ale markiz Vere pilnie chce się z panem zobaczyć.

Blackthorn nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Potter zaanonsował admirała Nelsona we własnej osobie. Jak dotychczas *nowy* szwagier demonstrował jawny brak zainteresowania mężem swojej ukochanej siostry.

- Tak, oczywiście, prosz go tutaj - powiedział szybko. - Aha, Potter, i jeszcze jedno...

- Słucham, milordzie?

- Przepraszam, że okazałem ci przed chwilą swój zły humor - powiedział.

- Tak, milordzie - lokaj skłonił się z godnością i wyszedł z pokoju. Za drzwiami przystanął i ze zdumieniem pokręcił głową. Doprawdy, rzadko zdarza się pan, który przeprosza sługę. Jego samego takie przeprosiny spotkały po raz pierwszy.

Tymczasem za drzwiami Blackthorn, nieświadomy, że zarobił punkty u swojego lokaja, zastanawiał się, jaki interes może mieć do niego markiz Vere. Zapewne pragnął wy badać, jak wiedzie się jego siostrze. Ostatnio Dane widywał Violet tylko w chwilach, gdy przerywała czuwanie przy chorym dziecku na parę godzin, aby odświeżyć się i odpocząć.

Do diabła, sam nie wiedział, czy ma być na nią zły

za to, że zwolniła pielęgniarkę, czy cieszyć się, że Phi-lippe jest pod czułą opieką.

Po trzech dniach gorączki powoli następowało przesilenie. Violet z panną Tidwell niepodzielnie przejęły władzę nad pokojem dziecinnym. Doktor nie szczędził pochwał, zwłaszcza Violet, i twierdził, że mały w pełni wróci do zdrowia za dwa tygodnie.

Dwa cholerne tygodnie, pomyślał z udręką Dane, waląc pięścią w blat kominka. Sam nie pamiętał, aby w dzieciństwie kiedykolwiek chorował, i przeklinał na czym świat stoi, że nie przeszedł tej diabelnej świnki. Okres kwarantanny dłużył mu się niemilosiernie.

- Jak się zdaje, stan małego lorda Fenningtona polepsza się bardzo powoli - odezwał się chłodny męski głos od strony drzwi. - Dla porządku pragnę oznajmić, że pukałem, lecz mnie nie słyszano. Przepraszam zatem, że wszedłem bez zaproszenia. Rozumiem, że lady Blackthorn jest równie trudno dostępna, gdyż dyżuruje w pokoju chorego.

Blackthorn uniósł głowę i popatrzył na gościa. Uderzyło go niezwykle rodzinne podobieństwo. Te same włosy, czarne i połyskliwe jak kucze pióra, te same wyraziste oczy - u markiza niebieskie ze stalowym połyskiem, o tym samym bystrym i przenikliwym spojrzeniu, jakie Dane tak dobrze zapamiętał u diuka Albermarle. Uznał, że trudno pomylić członków rodu Rochelle z innymi śmiertelnikami. Mógł być jedynie wdzięczny losowi, że Violet zyskała znaczną dozę kobiecej miękkości po swojej francuskiej matce, której z pewnością zawdzięczała marzycielskie, fiołkowe oczy i alabastrową cerę.

- Dyżuruje tam od trzech dni i nocy - poinformował go sucho Blackthorn. Vere był równie chłodny i arogancki, jak i niebezpieczny. Dane wolałby nie mieć go za przeciwnika. - Czy napijesz się ze mną brandy, markizie Vere? A przy okazji może zdradzisz mi, w jakim celu Violet posłała po ciebie? Jestem niezwykle ciekaw, co tym razem ukuła, aby mi pomóc?

- Widzę, że zdążyłeś już dobrze poznać moją siostrę, lordzie Blackthorn - zauważył Vere, wpatrując się w swojego gospodarza nieruchomym wzrokiem. - Ach, nie, przecież sam się zdradziłem. Skąd bym wiedział o chorobie lorda Fenningtona, gdybym nie dostał przedwczoraj wiadomości od Violet?

- Zaiste, skąd? - Blackthorn napełnił dwa kieliszki bursztynowym płynem z karafki stojącej na stoliku. Wręczył jeden gościowi i gestem dał mu znak, aby zechciał usiąść. - Przedwczoraj, mówi pan, markizie? - Usadowił się za biurkiem i w zamyśleniu poruszył kieliszkiem, patrząc na refleksy światła w rzuńniętym kryształ. - Widzę, że moja małżonka nie traci czasu. Dała panu znać następnego dnia po tym, jak Philippe spuchł od świnki.

- Zgadza się, napisała mi o wszystkim w liście - przyznał Vere, z pozornym roztargnieniem postukując okutą srebrem laską o cholewę buta. - Powinienem zjawić się już wczoraj, ale przyjechałem do miasta dopiero dziś rano. Przy okazji, jak się dziś miewa lord Fennington?

- Jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Tak przynajmniej twierdzi doktor - odparł Dane, zastanawiając się, kiedy wreszcie Vere przejdzie do rzeczy.

Nic nie świadczyło o tym, by Violet wspomniała bratu o incydencie z Landfordem. Gdyby tak się stało, mistrz pojedynków już zażądałby satysfakcji od kontradmirała. I z pewnością Vere potraktowałby Landforda w sposób bardziej stanowczy niż były kapitan marynarki.

Blackthorn powoli upił łyk brandy.

- Jednak sądzę, że nie przybył pan tak pilnie i tak z daleka jedynie z troski o Philippe'a, markizie. Dlatego z całą ciekawością ponawiam pytanie: do czego potrzebowała ciebie moja przedsiębiorcza małżonka?

- To nie ona mnie potrzebowała - odparł Vere z cynicznym rozbawieniem. - To ty mnie potrzebujesz, kapitanie.

Violet przyłożyła płat flaneli do szyi Philippe'a, ciesząc się, że chłopiec wreszcie zasnął spokojnie. Gorące kompresy z nagietka moczonego w occie jabłkowym czyniły cuda.

Wstała z łóżka i przeciągnęła się, prostując obolałe plecy, po czym podeszła do okna i ostrożnie, aby nie wpuszczać zbyt wiele porannego światła, wyjrzała przez szparę w kotarach.

Poniżej, na skwerze, pysznił się barwny kwietny dywan. Nianie przechadzały się po alejkach z wózkami, a dzieciaki goniły się w berka po parkowych trawnikach. Nieuchronnie jej spojrzenie pobiegło dalej, ku okazałemu budynkowi z czerwonej cegły, który należał do jej szwagra, earla Shields. Westchnęła cicho, widząc, że zdjęto dzwonek u drzwi na znak dłuższej nieobecności gospodarzy.

Bardzo brakowało jej Elfridy, siostry, która zarazem była jej najbliższą przyjaciółką i powierniczką. Violet zastanawiała się, czy wyjazd Shieldsa i Elfridy do Claverling przyniesie oczekiwany rezultat. Największym bowiem zmartwieniem siostry był fakt, że przez cztery lata małżeństwa nie mogła zająć w ciąży. Być może liczyła, że w spokoju sielskich okolic Ches-hire, które z takim zachwytem opisywała w listach, wreszcie nastąpi cud i urodzi się jej wymarzony chłopczyk o złotych lokach.

Violet wróciła spojrzeniem do ulicznego ruchu, czując niespodziewany ucisk w gardle. Widok stangreta, który usadowiony na koźle lśniącego landa objeżdżał wspaniałą parę idealnie dobranych karych kłusaków, wysoko unoszących nogi w jednym rytmie, natychmiast zwrócił jej myśli w zupełnie inną stronę. Potrafiła rozpoznać każdego konia, którego choć raz widziała, a te czempiony rasy irlandzkiej trudno było zapomnieć. Uśmiechnęła się radośnie.

Vere przyjechał wreszcie, tak jak oczekiwała. Oby tylko Blackthorn nie okazał się uparty i nieprzejednany jak zwykle. Z trudem opanowała się, by nie wezwać niani Tidwell i poprosić, aby zastąpiła ją przy chorym. Chciała biec do brata i błagać go, by nie rezygnował mimo oporu Dane'a. Nagłe z ogromną ulgą zobaczyła, że stangret zawraca powóz i szybko podjeżdża pod schody na spotkanie dwóch wysokich mężczyzn, którzy wyszli z domu żwawym krokiem. Jej interwencja nie była już na szczęście potrzebna.

Teraz pozostało jej tylko czekać, dokąd zaprowadzi Blackthorne'a kolejny ciąg przypadków losu, uru~

chomiony przez nią. Znając swojego brata, mogła z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że będzie to jakaś speluna, szara od dymu i położona w podejrzanej dzielnicy, gdzie królują wymalowane damy, wyzywająco kołyszące biodrami.

Natychmiast zganiała się za takie myśli. Vere miał w sobie wiele z utracjusza i hazardzisty, ale był też jej ukochanym bratem. Nie powinna posądzać go o to, że z rozmysłem sprowadzi Blackthorna na złą drogę. Mimo całego swojego cynizmu i wyrachowania Vere zasługiwał na miano dżentelmena.

Z uśmiechem pokiwała głową i odwróciła się w stronę łóżka. Przysunęła sobie fotel i ponownie podjęła czuwanie u boku chorego chłopca.

- Spij spokojnie, Philippe - powiedziała miękko, gładząc dziecko po zmierzwionych włosach. - *Tout est bien, chéri. Je suis ici**.

Violet nie byłaby tak spokojna, gdyby niedługo potem mogła zobaczyć, jak parę przecznic dalej Vere każe stangretowi odjechać, a sam razem z Blackthornem wsiada do zwykłego fiakra. Tym bardziej zwątpiłaby w uczciwe intencje brata, gdyby mogła dalej śledzić, jak koła dorożki turkoczą na nierównym bruku Wap-ping High Street i Penny Fields, mijając zaniedbane domy i nieuchronnie zmierzając ku miejscu, które uważane było za największe gniazdo hazardu i rozpusty w całym wschodnim Londynie.

*Franc. - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Jestem przy tobie.

- Pan kapitan pewnie nie zna Niebieskiego Smoka - uśmiechnął się ironicznie Vere, pokazując na labirynt obskurnych kamienic i wąskich, błotnistych uliczek, po których snuły się nędznie ubrane postacie przeważnie o orientalnych rysach. Ci ludzie przybyli tu za chlebem i ciężko harowali na swój byt. - Zaraz tam będziemy. Ostrzegam, że kiedy fiaker odjedzie, znajdziemy się w tłumie podejrzanych indywidualistów, od których lepiej trzymać się z daleka, więc jego lordowska mość może jeszcze się wycofać.

- Tak się składa, że towarzystwo podejrzanych indywidualistów nie jest dla mnie nowością - odparł Dane.

- Domyślałem się tego - przytaknął Vere.

- Skłamałbym, mówiąc, że cieszę się ze swojego tu przybycia - powiedział chłodno Blackthorn, czując na sobie badawcze, lekko ironiczne spojrzenie markiza. - Zwłaszcza że zysk może nie być wart ryzyka. - Twardo popatrzył Vere'owi w oczy. - Nie mam jednak zwyczaju zmieniać kursu, który sam sobie wyznaczyłem. Jeśli prawdą jest to, co od ciebie usłyszałem, markizie, już czuję się twoim dłużnikiem. Zrozumiałe jest natomiast, że zechcesz poczekać w dorożce, aż załatwię swoje sprawy. Nie ma powodu, abyś ryzykował, że ktoś wrazi ci ostrze pod żebro.

- Bardzo się mylisz, kapitanie - Vere wzruszył ramionami.

- Nie zostawię cię samego, gdyż z oczywistych względów zależy mi, abyś pozostał żywym i zdrowym. Gdyby, nie daj Boże, coś się z tobą stało, Violet chyba by mnie rozszarpała.

Zatrzymali się na rogu. Vere chwycił swoją srebrną łaskę i żwawo wyskoczył na bruk.

- Dostaniesz dwa razy tyle, jeśli zaczekasz na nas - powiedział do dorożkarza, wsuwając mu zapłatę w wyczekującą nadstawioną dłoń. - Nie zabawimy tam długo.

- Musowo, panie, bo długo tu nie będę stał - zaznaczył mężczyzna. - jak nie wrócicie w pół godziny, zabieram się do domu razem z moim starym Bobem. Wybaczcie, sir, ale Limehouse to nie jest miejsce dla nas.

- Wcale mu się nie dziwię - zaśmiał się Vere, ruszając przed siebie w mroczny zaułek. - Lepiej, żebyśmy nie musieli wracać na piechotę w bardziej cywilizowane okolice.

Blackthorn zauważył z niechętnym uznaniem, że ponura perspektywa niezbyt przeraziła Vere'a. Widać było, iż nonszalancki markiz nie po raz pierwszy znalazł się w miejskiej dżungli, jaką były okolice Penny Fields. Pewnie poprowadził Dane'a do dumnie mieniącej się hotelem obskurnej kamienicy z brudnymi oknami i wejściem ozdobionym zardzewiałym szyldem, przedstawiającym pokracznego, ziejącego ogniem gada.

Powietrze w środku było gęste od dymu i woni niemytych ciał oraz oparów podłego alkoholu. Wnętrze wyglądało jeszcze paskudniej niż fasada. Zaludniały je dziwaczne postacie o nieprzytomnym spojrzeniu, wyciągnięte na trypoziomowych pryczach, które piętrzyły się do samego sufitu. Właściwie były to drewniane ramy przełożone deskami, na które zamiast materaców narzucono porwane pledy i stare worki. Wąskie, ciemne przedziały wyglądały jak otwarte grobowe krypty, stanowiące przytułek dla żywych trupów zagrzebanych pod szmatami. Blackthorn wyjął chusteczkę, zakrył nią

nos i usta, aby nie wdychać oparów opium, i tak uzbrojony ruszył na poszukiwania.

Kapitan przechodził teraz od jednego ludzkiego wraka do drugiego, ciągle mając nadzieję, że informacje Ve-re'a były błędne. A jednak nie. Kiedy na kolejnej pryczy zobaczył mężczyznę z błędnym spojrzeniem skierowanym w górę i strumyczkiem śliny wyciekającym spomiędzy rozchylonych warg, poczuł mdlący ucisk w żołądku. Trudno się było domyślić, że ta żalosna, pogrążona w narkotycznym transie kreatura była kiedyś młodym, szaleńczo odważnym oficerem, rokującym świetne nadzieje. Niebieski mundurowy płaszcz z ocalałym na lewym ramieniu złotym epoletem, choć wymięty i poplamiony, zachował jeszcze oficerski sznyt.

Blackthorn pochylił się nad pryczą i potrząsnął śpiącego za ramię.

- Steven,, Steven! Do stu diabłów, człowieku, obudź się!

- On cię nie słyszy - powiedział za jego plecami Ve-re. - Przebywa w innym świecie.

Dane bez słowa przykląkł, aby wziąć Stevena na plecy. Podnosząc się z wysiłkiem pod ciężarem bezwładnego ciała, rzucił markizowi twarde, zimne spojrzenie.

- To jest oficer brytyjskiej marynarki. Przeżył gorsze piekło niż to tutaj. Zabieram go z sobą.

- Naturalnie - zgodził się Vere z kpiącym uśmiechem. - Byłem pewien, że właśnie tak zrobisz, kapitanie.

Za moment okazało się, że nie wszyscy popierali ów szlachetny postępek. Zaledwie markiz i podążający za nim Blackthorn, obarczony swoim brzemieniem, do-

szli do drzwi, stanęli twarzą w twarz z osobnikiem, który najwyraźniej był właścicielem owego interesu, oraz trzema innymi występującymi w roli asysty.

- To jest pan Wu - oznajmił jeden ze skośnookich akolitów, szczupły, żyłasty mężczyzna w modnych obcisłych pantalonach i kurtce kitajce ze stójką i szerokimi rękawami. - Pan Wu obserwował was.

- Zaiste, obserwował - zgodził się Vere, kręcąc swoją srebrną laską młynka między palcami.

- Pan Wu mówi, że ten człowiek jest mu winien pieniądze. Pan Wu mówi, że ten człowiek ma tu zostać. Jeśli chcecie go zabrać, musicie zapłacić.

- Rozmowny gość z tego twojego pryncypała -stwierdził Blackthorn, skrycie wsuwając rękę do kieszeni płaszcza. - Powiedz panu Wu, że nie myślimy płacić ani szylinga.

- To bardzo niemądre, mister. Pan Wu jest człowiekiem interesu. Nie lubi tracić pieniędzy, które zainwestował.

Dane odwiódł kurek i zacisnął palce na spuście pistoletu.

- Obawiam się, że twój pan ryzykuje stratę czegoś więcej niż tylko zwykłej inwestycji. Przekaż mu, iż postąpiłby najmądrzej, gdyby zszedł mi z drogi. Zabieram swojego przyjaciela i odjeżdżam stąd.

- Pośpiech do niczego nie prowadzi - ostrzegł orientalny dandys, ogarniając nieproszonych gości czujnym spojrzeniem. - Lepiej żeby panowie pomyśleli rozsądnie. Mister - zwrócił się do Vere'a - niech pan przemówi swojemu przyjacielowi do rozumu i przekona go, że lepiej będzie zapłacić.

Blackthorn, który zdążył już poznać olśniewający, nienagannie uprzejmy uśmiech markiza Vere, wiedział, że pod maską dobrego wychowania kryje się stal, gotowa zadać śmiertelny cios. Instynktownie sprężył się, gotowy do akcji.

- Z przyjemnością wypełniłbym tę usługę dla ciebie, przyjacielu - odparł markiz, z zainteresowaniem obserwując wejście na scenę kolejnego, o wiele bardziej bojowego osobnika, którego potężna sylwetka zarysowała się za plecami pana Wu. - Na nieszczęście - dodał lodowatym tonem, a srebrna laska znierucho miała mu w rękę - właśnie przed chwilą poróżniłem się z tym panem, więc absolutnie mnie nie posłucha.

Zaledwie wypowiedział te słowa, wydarzenia gwałtownie nabrały tempa. Dwóch osiłków groźnie zacisnęło pięści, a trzeci błyskawicznie sięgnął za plecy. Zabójcze ostrze załśniło w jego rękę i sztylet przeciął powietrze, o włos chybiając Vere'a, który zręcznie się uchylił. W ułamku sekundy markiz wysunął z laski szpadę, a Blackthorn wyszarpnął pistolet z kieszeni płaszcza.

- Spokojnie, chłopaki - zadudnił nieoczekiwanie potężny bas. Dwie dłonie, wielkie jak bochny chleba, chwyciły głowy bandytów i z trzaskiem zderzyły ze sobą. Dwa zbiry osunęły się na ziemię jak marionetki, którym nagle odcięto sznurki.

- A teraz, żółtku - mruknął Vere, naciskając czubkiem szpady gardło dandysowatego Chińczyka - powiedz panu Wu, że rachunek został uregulowany.

- Panie Murdoch - powiedział Blackthorn w chwilę później, kiedy wyszli na ulicę, z ulgą wdychając powietrze wreszcie wolne od opiumowych oparów - czy

możesz mi łaskawie wyjaśnić, jakim cudem znalazłeś się tutaj?

- Pan kapitan raczy wybaczyć - odparł sternik, zabierając z ramion swego dowódcy bezwładny ciężar i przerzucając go na swoje szerokie bary - ale wykonuję tylko moje obowiązki. Pilnuję, aby nie wpadł pan w tarapaty. Nie powinien pan się zapuszczać w takie okolice. Pan i jego lordowska mość następnym razem możecie nie mieć tyle szczęścia.

- On ma rację, Blackthorn ~ przytaknął Vere z kpiącym rozbawieniem. - Sugeruję, aby następnym razem od razu brał pan ze sobą tego anioła stróża. Oszczędził nam masę kłopotów.

- Tylko nie podbijaj mu bębenka, markizie, bardzo cię proszę. Murdoch doskonale wie, że nie prosiłem go o taką przysługę. No, powiedz mi wreszcie, sterniku, jak mnie tu znalazłeś?

- Ma się sposoby, kapitanie - odrzekł Murdoch, umieszczając nieprzytomnego oficera w dorożce. Cały epizod trwał nie więcej niż kwadrans i fiakier czekał u wylotu ulicy.

Blackthorn westchnął z rezygnacją. Znał swojego wiernego marynarza i wiedział, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Podobnie jak z porucznika Stevena Furneaux, który jeszcze tak niedawno służył na „An-tiope” pod kapitanem Trevorem Dane, a teraz trwał w narkotycznym śnie.

- Trudno, bal trzeba będzie odwołać - powiedziała Violet do ciotki Roanny. Siedziały na ławeczce w niewielkim parku obok domu, obserwując, jak Philippe i kuzynki Violet bawią się z najnowszym rodzinnym nabytkiem - szczeniakiem niewiadomego pochodzenia, który musiał jednak mieć w żyłach szlachetną krew rasy corgi, o czym świadczyły nietoperzowe uszy i krępa, niska sylwetka. Murdoch znalazł go parę dni temu w stajni.

- Nie mam wyboru - ciągnęła. - Nie zdążę przygotować się w niecały tydzień. Zwłaszcza że za trzy tygodnie wypada Regent's Bali, który wymaga ode mnie jeszcze dłuższych zabiegów. Zresztą to już i tak koniec balowego sezonu w stolicy. A poza tym powiem ci szczerze, że jestem zmęczona odgrywaniem roli pri-madonny. Teraz dręczy mnie jeszcze więcej dobiega-czy niż wtedy, kiedy nie byłam mężatką. Powiedz, czy to normalne?

- Najzupełniej normalne w przypadku kogoś, kto odniósł tak oszałamiający sukces - odparła Roanna, ciasniej otulając się peleryną bramowaną futerkiem. Pomimo ciepłej pogody lękała się, że może się prze-

ziębić. - Moja ciężka praca jako przyzwoitki nie poszła przynajmniej na marne.

- Jestem ci wdzięczna, kochana cioteczko - uśmiechnęła się Violet. - Dzięki tobie zyskałam w końcu to, o co mi chodziło. - Lecz najbardziej cieszył ją inny sukces. W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że napięte stosunki z Philippe'em tak szybko ulegną radykalnej zmianie. Teraz ten rozbrykany sześciolatek zgadzał się zasnąć jedynie pod warunkiem, że *mamon Violet* poczyta mu książeczkę. Pokochała tego chłopca, lecz im bardziej radowała ją serdeczna więź, jaka się między nimi wytworzyła, z tym większym bólem myślała o obojętności, którą wykazywał wobec niego własny ojciec.

Była pewna, że Dane, rozdzielony z chorym synkiem przymusową kwarantanną, po wyzdrowieniu chłopca w dwójnasób obdarzy go ojcowską miłością. Niestety, tak się nie stało - ona natomiast, czuwając przy małym noc po nocy, poczuła w sobie pokłady niezwykłych, niemalże matczynych uczuć. Lecz dziecko potrzebowało prawdziwego rodzica!

Obserwując Philippe'a, baraszkującego z pieskiem, z trudem powstrzymała chęć, by podbiec i chwycić go w ramiona. Dziecko i szczeniak potoczyli się po trawie, a kiedy Philippe usiadł, śmiejąc się do rozpuku i odgarniając z czoła jasne włosy, różowy języczek polizał go po nosie. Naturalna skłonność chłopca do szaleństw właściwych jego wiekowi ujawniła się dopiero teraz, kiedy został wyjęty spod skrzydeł leciwej, nazbyt troskliwej niani. Violet podejrzewała ponadto, że świętej pamięci Lynette musiała być przesadnie, a nawet chorobliwie opiekuńczą matką.

Ale czy można dziwić się kobiecie, która tak wiele wycierpiała i musiała patrzeć na śmierć swoich najbliższych? O wiele trudniej było wytłumaczyć zachowanie ojca, który przez sześć lat wojowania na morzu tęsknił za swoim jedynym synem, aby, wreszcie odzyskawszy dziecko, praktycznie przestał poświęcać mu uwagę. Nie, to nie miało sensu! Przecież wiedziała, że Blackthorn jest dobrym, wrażliwym człowiekiem. Niestety, Violet coraz częściej doznawała dręczącego poczucia, że nic, co wiąże się z osobą Dane'a, zdaje się nie mieć sensu.

Nie spodziewała się również, że rozdzieli ich bariera milczenia, a już w najgorszych snach nie przewidywała, iż Blackthorn nawiąże podejrzenie serdeczną *wieź* z piękną madame Benneau - jak się można domyślać, biegłą w najbardziej egzotycznych arkanach epikurejskiej filozofii.

Choć jej mążnek już od pewnego czasu uprawiał praktykę wczesnego wychodzenia z domu i wracania nad ranem, Violet po raz pierwszy uznała, że coś jest nie w porządku. Przez długi czas sądziła, iż markiz Vere czyni to, o co go prosiła - wprowadza świeżo upieczonego earla Blackthorn w tajniki męskich rozrywek wielkiego świata. Pochłonięta czuwaniem przy chorym chłopcu, cieszyła się, że mąż ma zajęcie. Owszem, nie raz zastanawiała się, jakie to uciechy jej brat uważa za godne polecenia szwagrowi, ale bez zastrzeżeń ufała, że Dane potrafi podejść do sprawy z właściwą sobie powściągliwością.

Kiedy Philippe wreszcie wyzdrowiał i nie wymagał już jej bezustannej asysty, przekazała go niani Tidwell

i panu Greene'owi, aby wreszcie zająć się swoimi sprawami. Wówczas pojawiły się wątpliwości. Sposób, w jaki Blackthorn powitał ją po przymusowej rozłące, był daleki od entuzjazmu. Kiedy wieczorem zawiadomiła go przez służbę, że po śniadaniu będzie mógł wreszcie odwiedzić syna, nie zjawił się. Potter powiedział jej, że pan wyjechał z domu wcześniej rano. To jeszcze mogła zrozumieć. Wielu dżentelmenów uprawiało poranne przejażdżki w Hyde Parku lub ćwiczyło inne umiejętności. Kiedy nie zjawił się na drugie śniadanie, tłumaczyła sobie, że Vere mógł zabrać Dane'a do ujeżdżalni albo do hali szermierczej. Wybaczyła mu nawet nieobecność na obiedzie, gdyż, jak wiadomo, ostatnio wiele par jadało osobno i było to przyjęte. Wreszcie dała spokój domysłom i zasiadłszy w fotelu przed kominkiem, zagłębiła się w lekturę nowo nabytej powieści. Kiedy przewróciła ostatnią kartkę, zegar wybił trzecią nad ranem. Wzdychając, odłożyła książkę i poszła do łóżka.

Doprawdy, powinna doceniać takt Blackthorne'a, który wróciwszy niedługo potem, nie zajrzał do niej, aby nie przerywać jej snu o tak niehumanitarnej porze. A jednak nie doceniała. Mało tego, miała żal, że mąż przestał do niej przychodzić. Działo się tak od czasu, kiedy skończyła nocne dyżury przy jego synu - zupełnie jak gdyby choroba Philippe'a stała się dla Dane'a pretekstem dla zaniedbania męzowskich obowiązków. Trudno, skoro raz postanowiła, że będzie wyrozumiałą żoną, musi się trzymać swoich zasad. Toteż nie miała zamiaru pytać, gdzie był. Jeśli wreszcie przyjdzie do niej, zachowa się tak, jakby wszystko było w porządku.

I tylko pamięć o ich pierwszej miłosnej nocy stawała się coraz bardziej bolesnym wspomnieniem.

Rano otworzyła zaspane oczy i już miała zadzwonić na pokojówkę, kiedy usłyszała za sobą lekkie, sprężyste kroki, które sprawiły, że jej serce momentalnie zabiło szybciej. W oczach Blackthorna lśnił ciepły blask, którego tak jej brakowało. Boże jedyny, zdawał się pożerać ją spojrzeniem! W ułamku sekundy znalazła się w jego ramionach.

- Och, Violet, do diabła! - powiedział niskim głosem, wpijając się ustami w jej usta.

Całował ją z niemal bolesną czułością i tak zmysłowo, że poczuła słabość w kolanach. Za ten jeden pocałunek gotowa była zapomnieć o wszystkich urazach i wątpliwościach, ale Dane znów ją zaskoczył.

- Brakuje mi Ciebie, fiołkowska czarodziejko - szepnął, ulotnym gestem muskając kosmyk włosów za jej uchem. - I dzięki za Philippe'a, Mam nadzieję, że już czuje się dobrze.

- Bardzo dobrze, ale zdrowiałby szybciej, gdyby odwiedził go tatuś. Wpadniesz do synka, Dane? Zanim wyjdiesz z domu - dodała ciszej.

Odsunął ją od siebie delikatnie, lecz stanowczo, a jego twarz stężała w obojętną maskę. Nie mógł dłużej zostać z Violet. I tak już był spóźniony na pilne spotkanie. Wpadł do niej tylko po to, aby ją zobaczyć i upewnić się, że wszystko jest porządku. Pocałował żonę leciutko w policzek na pożegnanie i wyszedł.

Violet z westchnieniem odprowadziła męża wzrokiem. Te jego ciągle, niecierpiące zwłoki sprawy i spotkania - teraz już wiedziała, z kim! Tego dnia postano-

wiła złamać swoje zasady. Nazajutrz obudziła się wcześniej, wyszykowała i potajemnie podążyła za mężem do tamtego domu. Jednak nie mogła mieć żalu do Dane'a. Przecież od początku jasno stawiał sprawę - nie zamierzał się z nią ożenić i został do tego zmuszony.

A ona, Violet Rochelle, która nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłaby intrygą wpłynąć na czyjąś wolę, doprowadziła do ołtarza mężczyznę, który jej nie kochał. I co z tego wynikło? Jej ukochany kapitan nie jest już kapitanem. Jest lordem Blackthorn, który pełnymi garściami korzysta z uciech dostępnych mężczyźnie o wysokiej pozycji, nie wyłączając ognistego romansu z francuską metresą.

- Violet? Violet, powiedz coś wreszcie - głos ciotki Roanny, wdzierający się w jej myśli, zdawał się dochodzić z ogromnej odległości. - Założę się, że nie wiesz, co przed chwilą mówiłam.

- Przepraszam, droga cioteczko - powiedziała cicho Violet, zgnębiona poczuciem winy. Niejasno kojarzyła, że ciotka wspominała coś o balu admiralskim, na który właśnie się wybierała, lecz niestety, lady Rochelle nie uwzględniono w zaproszeniach.

- Violet, jeśli masz jakieś zmartwienie, podziel się nim ze mną - powiedziała z naciskiem Roanna. - Nie, tylko nie zaprzeczaj, przecież widzę, co się dzieje. Jesteś spięta, dłonie same zaciskają ci się w pięści, a przed chwilą na twojej twarzy malowała się prawdziwa rozpacz. Przyznasz, moja droga, że to do ciebie niepodobne?

- Ciociu, zapewniam cię, że wszystko jest w porządku - zaprzeczyła Violet, rozprostowując palce. -

Co najwyżej wzmianka o sir Oliverze mogła sprawić, że dłonie same zacisnęły mi się w pięści. Kiedy słyszę o tym człowieku, mam ochotę wydrapać mu oczy.

- Moja droga, najwyższy czas, abyś wyznała mi szczerze, co cię dręczy. - Roanna najwyraźniej postanowiła wziąć byka za rogi i przybrała bardziej stanowczy ton. - Jeśli powodem jest Blackthorn, mogę cię tylko pocieszyć, że wiele par przeżywa małżeńskie perturbacje niedługo po ślubie. Ja i Richard uniknęliśmy takich zawirowań tylko dlatego, że on zaraz wypłynął na morze i pozostał tam przez całe jedenaście miesięcy, stawiając mnie w nader niezręcznej sytuacji. Kiedy zaś wrócił, byłam tak zachwycona, że nie traciłam czasu na wymówki. Dlatego nie bierz sobie zbytnio do serca takich spraw, Violet. Powiadam ci, wszystko się samo ułoży.

- Oczywiście, cioteczko, że wszystko się ułoży - przyznała Violet bez przekonania. - Wszak wiedziałam, co robię, rzucając się w wir towarzyskiego życia, i teraz zbieram tego pokłosie. Ale przecież wiesz dobrze, że sława pierwszej damy balowego sezonu bynajmniej nie zawróciła mi w głowie. To tylko jedna z dróg wiodących do celu, jakim jest dla mnie rozwikłanie tajemnicy posądzeń, niszczących karierę Blackthorna. Moja nieustająca obecność na balach i rautach, których on nie cierpi, z pewnością nie służy dobrze naszemu związkowi. Na szczęście osiągnęłam, co chciałam, a sezon zbliża się ku końcowi, więc z radością zrezygnuję z kolejnego towarzyskiego obowiązku.

- Słusznie - przytaknęła Roanna. - Sama bym tak uczyniła na twoim miejscu, gdybym tylko miała wybór.

Jesteś w tej szczęśliwszej sytuacji, że nie musisz, jak ja, brać pod uwagę morskiej kariery swojego małżonka. -Zaledwie wyrzekła te słowa,"pojęła swoją niezręczność. - Och, Violet, wybacz. Nie chciałam cię urazić! - dodała szybko, patrząc błagalnie na swoją towarzyszkę.

- Nic się nie stało - zapewniła Violet, by uniknąć niekończącego się ciągu przeprosin, których nie miała ochoty słuchać. - Fakt, iż Blackthorn zrezygnował *Ze służby*, nie jest jego głównym zmartwieniem.

- Nie jest? - powtórzyła jak echo Roanna, nie kryjąc zdziwienia. - Jak będzie wyglądała jego dalsza kariera, skoro porzucił marynarkę - on, dla którego morze było całym życiem?

- Nie trzeba się martwić na zapas, cioteczko - powiedziała z uśmiechem Violet. Przez dwa długie tygodnie, kiedy dyżurowała u wezłowia Philippe'a, miała aż nadto wiele czasu, aby przemyśleć dalszą strategię postępowania w sprawie Blackthorna. Była pewna, że gdyby Dane nie zjawił się nagle na tarasie, sir Oliver Landford odkryłby przed nią w gniewie swoje karty.

Ale jeśliby nawet tak się stało, musiałyby jeszcze znaleźć dowód, że działał na szkodę Dane'a. Tylko jaki? Wyobraźnia, wyćwiczona na lekturze awanturnych powieści, podsuwała jej rozmaite, prawdziwie sensacyjne rozwiązania - od tajnej szpiegowskiej korespondencji, poprzez wykradzione dokumenty państwowej wagi do listy tajnych francuskich agentów, które to papiery mogły znajdować się w posiadaniu kontradmirała i posłużyć mu w odpowiednim momencie do ostatecznego zrujnowania kariery Dane'a i doprowadzenia go na szubienicę.

Gdzie mógłby trzymać takie papiery? Oczywiście tam, gdzie jak pod przysłowiową latarnią jest naj-ciemniej - czyli u siebie w domu, dedukowała Violet z błyskiem w oku.

Blackthorn, siedząc u szczytu stołu w swojej rezydencji, rozmyślał ponuro, że dziewiętnaście lat służby na okrętach wojennych zupełnie nie przygotowało go do życia angielskiego earla. Dziesięć metrów blatu ogromnego stołu, pokrytego śnieżnym obrusem, oddzielało go od osoby najbliższej jego sercu, z którą zasiadł do posiłku we dwoje.

Najwidoczniej Violet ma do mnie żal, dumął, z gorzkim uśmiechem odsuwając od siebie parujący półmisek z mięsivem i puddingiem i sięgając po kieliszek czerwonego wina. Z jakiego bowiem powodu wybrała na ich kolację we dwoje, pierwszą od czasu choroby Phirippe'a, tę monumentalną jadalnię, a nie intymne zacisze saloniku? Jakby tego było jeszcze mało, pośrodku dzielącej ich przestrzeni kazała ustawić imponującą kompozycję z wiosennych kwiatów, która nie pozwalała im patrzeć na siebie.

Do stu diabłów, a czego się w końcu spodziewałeś? zaklął w duchu. Nawet słodkie czarodziejki mogą w końcu stracić cierpliwość. Dane był doskonale świadom, że jego zachowanie w ciągu ostatnich kilku tygodni w każdym szczególe odbiegało od wyobrażeń o małżonku, który cieszy się szczęściem u boku pięknej, świeżo poślubionej żony. Jeśli pragnął ostudzić uczuciowe potrzeby Violet, doprawdy wybrał najlepszy sposób, znikając bez wyjaśnienia na całe dni

i większość nocy. Co gorsza, od czasu pamiętnych szaleństw w karecie jadącej przez miasto ani razu nie skorzystał z wdzięków swojej słodkiej czarodziejki.

Boże jedyny, gdyby tylko wiedziała, jak szaleńczo pragnął jej przez ten czas! Ileż razy, przechodząc nad ranem obok drzwi sypialni Violet, bliski był decyzji, że przerwie jej sen, aby pozostać z nią do pierwszego piana koguta. Nie uczynił tego, gdyż bał się pytań, na które nie był jeszcze przygotowany.

Jak na ironię zaczęło mu się wydawać, że w czasie owej wymuszonej separacji Violet posiadała własne tajemnice, których strzegła równie zazdrośnie jak on swoich.

Blackthorn pociągnął długi łyk z kieliszka i wygodniej rozparł się na rzeźbionym krześle. Jego fiołkowo-oka czarodziejka szykuje mu niespodziankę. Zastanawiał się tylko, jaką. Do czarta, nadeszła pora, aby przejąć ster. Kochana Violet wreszcie przekona się, że Dane Trevor nie pozwoli dłużej manewrować sobą.

Chwycił kieliszek, wstał i powoli ruszył w drugi koniec stołu.

Violet z trudem panowała nad przyspieszonym biciem swego serca. Nie mogła nie zauważyć, że Dane, ubrany w ciemny, wytworny surdut, z nienagannie obciętymi i gładko przyczesanymi włosami uwydatniającymi jego wyraziste rysy, prezentował się jeszcze lepiej niż w kapitańskim mundurze. Wyprostowała się w krześle, zdwajając czujność, gotowa do nieuniknionego starcia.

- Jestem pewien, że wybaczy mi pani to śmiałe najście, milady - powiedział, zasiadając obok niej. - Nie

mam dziś ochoty samotnie spożywać darów bożych. Jak smakuje ci pieczeń? Mam nadzieję, że kucharz przyrządził ją właściwie?

- Jak najbardziej - odparła, choć dotąd nie tknęła ani pieczeni, ani szparagów, a już tym bardziej pasztetu z gołębi i zupy z wołowych ogonów, które podano wcześniej. - Zdaje mi się natomiast, że wasza wiel-możność nie objawia zbyt dużego apetytu.

- To prawda, winien jestem przeprosiny mistrzowi kuchni, który bardzo pragnął mi dogodzić - odparł Dane, ani na moment nie spuszczał oczu z jej twarzy. Violet spuściła wzrok, wykazując nagle zainteresowanie swoją porcją.

Blackthorn westchnął ciężko.

- Violet, czy nie sądzisz, że moglibyśmy rozmawiać w inny sposób?

- Tak uważasz, mój panie? - Zerknęła na niego w ułamku sekundy, aby znów utkwić wzrok w talerzu. Do licha, nie może pozwolić, aby kolejny raz omotał ją swoim diabelskim urokiem! - Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

- Oczywiście, że nie masz - zgodził się natychmiast, nie kryjąc ironii. - Jest przecież najzupełniej naturalne, aby mąż i żona jedli obiad rozdzielni długością stołu przeznaczonego dla kilkudziesięciu gości.

- Przecież wiesz, że nie jest to naturalne - odparła. Widząc, że nie ma sensu dalej udawać, odsunęła talerz i splótła dłonie na blacie. - Jeśli chodzi o wybór miejsca, pragnę ci wyjaśnić, że kominek w naszym pokoju stołowym dymi i zanim nie oczyszczą komina, będziemy zmuszeni jadać tutaj. Niepotrzebnie doszu-

kujesz się ukrytych podtekstów w prostych sprawach, Blackthorn.

- A jednak myślę, że potrafię czytać między wierszami - odparł, z trudem tłumiąc odruch, by chwycić Violet za ramiona i potrząsać, dopóki zza sztywnej, salonowej maski nie wyłonią się prawdziwe uczucia, które tak bardzo starała się ukryć. - Stąd wiem, że prawdziwym powodem twojej dziwacznej strategii jest moje zachowanie w ostatnim czasie. Przyznaję, zupełnie nie sprawdzam się w roli męża.

Dane z irytacją stwierdził, że jego szczere wyznanie winy wywołało zaledwie nikły błysk ożywienia w oczach Violet.

- Nawet jeśli tak twierdzisz, Blackthorn - powiedziała spokojnie, jakby jedynym jego przestępstwem było pochłapanie obrusa zupą - nie zamierzam dodatkowo umacniać cię w poczuciu winy. Musisz uporać się z wieloma poważnymi kłopotami, a ja, prawdę mówiąc, nie mam nawet czasu zastanawiać się, jak dajesz sobie z nimi radę. Rozumiesz, mam swoje własne sprawy.

Dane popatrzył na śliczną twarz żony spod zmrużonych powiek. Jasne! Otoczona tłumem wielbicieli jak za panieńskich czasów, z łatwością mogła zapomnieć o mężu.

- Skoro o tym mowa, domyślam się, że ty i nieoceniona ciotka Roanna z niecierpliwością wyczekujecie kolejnej atrakcji balowego sezonu - rzekł z ironią.

- O, tak - rozpromieniła się Violet, chowając zaciśnięte dłonie pod stół, aby ukryć ich drżenie. - Przecież wiesz, że bawimy się nieustannie i do utraty tchu.

- Nie masz pojęcia, jak mnie to cieszy - warknął

Blackthorn, poirytowanym gestem odprowadzając służącego, który z nieszczęśliwą miną poniósł z powrotem do kuchni tacę z homarem i tartą morelową. - Rozumiem, że apetyt nie służy ci nadal, podobnie jak mnie? - zapytał szorstko.

- Nie - odparła. Na sam widok jedzenia żołądek skurczył się jej boleśnie. - A wracając do tematu, jest właśnie tak, jak powiedziałaś: mam tyle swoich spraw, że nie zostaje mi już czasu dla ciebie.

- Rozumiem - wycedził. - Niepotrzebnie martwiłem się, że szybko zmęczy cię towarzyska karuzela w Londynie i będziesz chciała powrócić do wiejskiej sielanki Devonu. - Czarne źrenice obserwowały ją z ogromną uwagą. - Można wiedzieć, jakie plany ty i twoja cioteczka macie na dzisiejszy wieczór? Pytam, gdyż pragnąłbym - o ile to oczywiście możliwe - znaleźć się na moment w twoim towarzystwie, aby poprosić cię o taniec.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Violet uniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

- Naprawdę, mój lordzie? - zapytała ostrożnie, modląc się, aby Dane nie dostrzegł radosnego błysku nadziei w jej twarzy. - Cieszę się, że pragniesz ze mną zatańczyć, ale muszę cię rozczarować. Niestety, tak się złożyło, że ciocia Roanna zaprosiła mnie dzisiaj do teatru.

- Ach, tak? - Blackthorn, niebezpiecznie tracąc czujność, zapatrzył się w fiołkowe oczy. - Czy idziecie tam we dwie?

- Prawdę mówiąc, zostałyśmy zaproszone do łoży lady Granville i sir Henry'ego - wyjaśniła Yiolet, dzi-

więc się, jak gładko kłamstwo przechodzi jej przez usta. -
Znając twój stosunek do sir Henry'ego, nie będę nalegała, abys
dotrzymał obietnicy. Zresztą - dodała z jawną ironią - sądzę,
że masz swoje plany na ten wieczór.

- Słusznie sądzisz - powiedział Blackthorn, czując
niemiły ucisk w żołądku. Violet podejrzewa go o ro
mans z Gabrielle! Dostrzegł to w jej oczach, które
czekały na zaprzeczenie.

Och, piekło i szatani! Myliła się, a on, związany słowem
honoru, nie mógł wyprowadzić jej z błędu.

- Co do sir Henry'ego, uważam, że moja obecność
zaszkodziłaby miłej atmosferze tego spotkania. Może wybiorę
się z tobą do teatru innym razem.

- Mam nadzieję - odparła sztywno, znów wbijając wzrok w
talerz. Dane nie mógł dobitniej dać do zrozumienia, że własna
małżonka nic dla niego nie znaczy. Boże, jak mogła naiwnie
sądzić, że zna jego duszę. Nie zna jej wcale!

Marzyła już tylko, aby uciec od niego i zaszyć się w pokoju
sam na sam z własnymi, smętnymi myślami.

- Ciocia Roanna oczekuje mnie za godzinę w powozie -
powiedziała pospiesznie. - Pójdę więc, jeśli pozwolisz, bo
muszę się przebrać.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywał - odparł chłodno.

Podniósł się z krzesła i podał jej rękę. Zrobiła ruch, by
odejść, ale przytrzymał ją.

- Violet...

- Tak, mój panie?

Blackthorn przygryzł wargi.

- Nie musisz tak się do mnie zwracać, Violet, Nie pamiętam, kiedy zostałem dla ciebie earlem.

Zmierzyła go surowym spojrzeniem.

- Wtedy, kiedy zacząłeś się zachowywać jak urodzony arystokrata. Czy chcesz jeszcze czegoś ode mnie, wasza wielmożność?

Gniew błysnął w ciemnych oczach Dane'a i przez chwilę wydawało się, że coś powie, ale przygryzł wargi i puścił jej dłoń.

- Nie, niczego. Życzę przyjemnej zabawy, milady.

Violet dygnęła głęboko i wypadła z pokoju, jakby goniły ją demony. Nawet nie usiłował jej pocałować! To było najtrudniejsze do zniesienia - bo jeśli nawet zyskała pewność, że nie zależy mu na niej, nie miała siły, by zabić w sobie wspomnienie gorących, zmysłowych warg.

Zanim wróciła do siebie, wymknęła się na ulicę i zamówiła fiakra, aby o dziesiątej czekał na nią za rogiem. Nie zamierzała dłużej zadreć się żalną sceną w jadalni. Czowała, że musi coś zrobić. W pośpiechu zrzuciła suknię i ubłagała pokojówkę, aby pożyczyła jej swoją, prostą i skromną, uszytą z szarego płótna. Szybkim ruchem zebrała bujne włosy, spięła je w ciasny węzeł i ukryła pod muślinowym czepcem. W chwilę później smukła postać w długim, czarnym płaszczu wyszła z domu kuchennymi schodami i wymknęła się na ulicę stajenną furtką.

Noc była pogodna i spokojna. Srebrne oblicze księżycy od czasu do czasu przesłaniały chmury i Violet miała dziwne poczucie, że w ulicznych cieniach czają się szpiedzy, śledzący każdy jej krok. Z ulgą do-

strzegła ciemną bryłę pojazdu i dorożkarza skulonego na koźle.

Podąła mu adres i usadowiła się na wytartych poduszkach siedzenia. Koń ruszył, koła zaturkotały na bruku, a myśli Violet popłynęły nowym torem.

Jak mogła się łudzić, że łączy ją z Blackthornem coś więcej niż tylko zmysłowe zauroczenie? Ale nawet ono nie wystarczyło, by mogła utrzymać go przy sobie. Wkrótce po ślubie wziął sobie kochankę - i to nie byle kogo, tylko madame Gabrielle Benneau, piękną Francuzkę, mużę filozofów i literatów, obracającą się w podejrzanych politycznie kręgach. Ta znajomość miała swój ukryty sens...

Znienacka sprawa i szczegóły, które Violet wcześniej uznała za nieistotne, nabrały nowego, niepokojącego znaczenia. W gospodzie Dane, półprzytomny z gorączki, mówił po francusku. Przyzywał swoją zmarłą francuską żonę, która w dodatku była siostrą kapitana Philippe'a Lamberta, jednego z wybitniejszych dowódców napoleońskiej floty.

Jak mogła przeoczyć fakt, iż Dane przebywał w Londynie w czasie, kiedy przechwycono tajny list, sygnowany znakiem Kruka? Mało tego, potajemnie zakradł się do rezydencji Granville'a właśnie tego wieczoru, kiedy ktoś napadł sir Henry'ego z wyraźnym zamiarem wykradzenia mu ważnych rządowych dokumentów. Nigdy też nie wyjaśnił jej, w jakich okolicznościach został postrzelony, ani czemu był przekonany, iż porucznik Freeman i jego ludzie przybyli do gospody, aby go aresztować. Pytania piętrzyły się, domagając się odpowiedzi.

W tej chwili mogła być pewna tylko jednego - że człowiek, którego poślubiła, nie uważał za stosowne wyjaśnić żadnej z tajemnic, które go otaczały. Ona zaś, zachwycona swoim dzielnym kapitanem, bohaterem morskich potyczek, bezpodstawnie uwierzyła w jego szlachetne intencje.

A jednak bez względu na wszelkie okoliczności obciążające Dane'a nadal nie była w stanie przyjąć do wiadomości, że jest owym groźnym francuskim agentem. I nie potrafiła wyrzec się miłości.

Zawiódł jej zaufanie, ale nie zdradził króla ani ojczyzny. Czuliła to sercem i była pewna, że się nie myli. Powtarzała sobie te słowa, wysiadając z dorożki na rogu ciemnej ulicy.

Zapłaciła dorożkarzowi i poleciła, by przyjechał po nią za godzinę. Szybkim krokiem ruszyła przed siebie, zbierając siły przed czekającym ją zadaniem. Wierzyła, że zdoła znaleźć dowód niewinności Blackthorna albo dowód świadczący o winie kogoś innego. Czuliła się jak wojownik ruszający do rozstrzygającej bitwy.

Trzypiętrowa, elegancka rezydencja tętniła życiem. Okna jarzyły się blaskiem, a na podjazd co raz zajeżdżały powozy z gośćmi. Violet podeszła pod drzwi dla służby i zatrzymała się, przyjmując skromną, wyczekującą postawę. Wkrótce wyszła do niej wysoka, chuda kobieta, która zmierzyła ją bystrym okiem ochmistrzyni, przywykłej do dyrygowania sprawami służby i domu.

- Kim jesteś, moja panno, i czego tu szukasz?

- Nazywam się Daisy Prill, proszę pani - dygnęła Violet. - Jestem pokojówką lady Rochelle. Moja pani złamała obcas w tańcu i przysłała po mnie, żebym

przywiozła jej te egipskie sandałki, co je niedawno kupiła. - Skwapliwie wysuwała spod płaszcza zawiniątko z butami. - Czekaj na mnie na górze, w saloniku obok gabinetu wielmożnego pana.

- To biegnij, kochana, na co czekasz? - rzuciła niecierpliwie ochmistrzyni, odwracając się, żeby zarządzić położenie obrusów. - Schody dla służby są tam - rzuciła na odchodnym, pokazując drzwi w drugim końcu służbówki. - Pokój znajduje się na drugim piętrze, czwarte drzwi na prawo. Trafisz na pewno.

- Tak, proszę pani - mruknęła Violet, szybko przemykając pośród zaafierowanej służby.

Dzięki wskazówkom ochmistrzyni bezbłędnie trafiła do gabinetu sir Oiivera. Była niemal dumna z własnych przestępczych talentów, które objawiły się tak niespodziewanie. Kto wie, czy gdyby urodziła się w innej rodzinie, nie zostałaby mistrzynią złodziejskiego fachu!

Zapaliła lampę i omiotła bystrym spojrzeniem rzędy książek na regale, skórzaną sofę, fotele i rozłożyste, dębowe biurko. Pilnie szukała czegoś, co wskazałoby jej tajną skrytkę, gdzie mogły być schowane ważne dokumenty, bądź ukryte przejście do innego pomieszczenia. Wreszcie jej uwagę przyciągnął wielki, niemal naturalnych rozmiarów portret sir Landforda, wiszący na ścianie w wycięciu pomiędzy półkami. Fakt, że dżentelmen kazał się namalować w pozie rzymskiego cezara, w todze, w wysokich butach do konnej jazdy i kapeluszu w piórem, nie był sam w sobie niczym dziwnym, zważywszy na modną manierę - ale po raz pierwszy widziała, aby ktoś powiesił obraz w takim miejscu.

Zaciekawiona, obwiodła palcami tylną stronę ramy i aż zadrżała z przejęcia, natrafiwszy na wypukły przycisk w ścianie. Nacisnęła go i z bijącym sercem odstała do tyłu. Obraz gładko podjechał do góry, odsłaniając ukryty otwór wejściowy.

Gratulując sobie w duchu tak szybkiego rozszyfrowania tajemnicy sir OHvera, w podnieceniu nie zauważyła, że drzwi gabinetu rozwarły się bezszelestnie za jej plecami. Tym bardziej nie dostrzegła wysokiej postaci, odzianej w czerń, która weszła do środka, zamykając drzwi za sobą, i zmierzała ku niej.

Violet wysunęła lampę przed siebie i śmiało wkroczyła w ziejący mrokiem otwór. Czarna postać zbliżyła się do niej, wyciągając rękę. Kiedy Violet przystanęła na chwilę, rozglądając się po pomieszczeniu, silna dłoń opadła na jej usta, a stalowe ramię unieruchomiło ją jednym chwytem.

- Spokojnie, dziecinko - szepnął jej do ucha męski głos. Dłoń, zatykająca usta, cofnęła się.

Violet poczuła niewiarygodną ulgę.

- Blackthorn! Co tu robisz, u diabła?

Mąż znacząco położył jej palec na ustach.

- Śledziłem cię od chwili, kiedy wyszłaś z domu. Wiedziałem, że coś knujesz, już kiedy skłamałaś mi, że wychodzisz z ciotką do teatru. Wiedziałem, że Ro-anna jest zaproszona na bal admirański. Ale powiedz mi lepiej, Violet, dlaczego, na Boga, wdarłaś się do domu sir Landforda w przebraniu pokojówki?

- Żeby znaleźć dowody - wyjaśniła. Co też skłoniło Dane'a, aby iść za nią, skoro rozstali się w gniewie i wydawało się, iż jej sprawy są mu całkowicie obo-

jętne? - Dowody, że nikt inny, tylko Landford kryje się za atakami na ciebie i także na sir Henry'ego. *On* jest zamieszany w tę aferę, Dane, jestem tego pewna.

- Wcale nie byłbym zdziwiony - przytaknął, zgnębiony poczuciem winy. Jak mógł posądzać swoją czarodziejkę o przyziemne i nieuczciwe zamiary! Znając Violet, powinien wiedzieć, że nigdy nie bywa samolubna. Wszak popełniła przestępstwo dla jego dobra!

- Och, Violet, chyba sam diabeł cię tu przywiódł - westchnął, podchodząc bliżej. - Czy zdajesz sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, wkradając się do tej siedziby zła? Nie mówiąc już o tym, że możesz być oskarżona o nieuprawnione wtargnięcie do czyjegoś domu, czy, nie daj Boże, o kradzież?

- Możesz być pewien, Dane, że przedsięwzięłam wszelkie środki ostrożności - odpowiedziała Violet, usuwając się w bok, aby sprawdzić zawartość wielkiej skrzyni stojącej pod ścianą. - Masz może przypadkiem nóż?

- Widzę, że muszę stać się twoim współnikiem w przestępczej robocie - mruknął, wyciągając sztylet.

Violet, drżąc z podniecenia, patrzyła, jak Black-thorn klęka przed skrzynią i manewruje cienkim ostrzem w zamku.

- Skoro już mowa o przestępstwie, to jak ty się tu dostałeś?

- Przez parterowe okno od tyłu, moja zdumiewająca czarodziejko - odparł z uśmiechem. Rozległ się głośny szczełk i zamek puścił. - Gotowe - oznajmił, unosząc wieko i wyciągając ze środka naręczę dokumentów.

- No i co? - niecierpliwiła się, zaglądając mu przez ramię. -
Masz coś ciekawego?

- Rozczaruję cię, dziecinko, ale nie widzę tu niczego, co
mogłoby obciążać sir Landforda. Dokumenty hipoteczne,
jakieś kwity, listy, nic specjalnego. Jeszcze trochę biżuterii, i to
wszystko.

Ale Violet już go nie słuchała. Cała krew w jednym
momencie uciekła jej z twarzy. Uklękła przy skrzyni i drżącą
ręką sięgnęła po coś, co leżało na dnie.

Był to naszyjnik pięknej roboty, ze szmaragdów i
diamentów. Violet uniosła go do lampy i zafascynowana
wpatrywała się w blask kamieni, chłonąc każdy szczegół.

Blackthorn zmarszczył brwi.

- Co to jest? Musiałś widzieć wcześniej ten naszyj
nik, prawda?

Violet popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

- Tak - odparła powoli, a słowa z trudem przecho
dziły jej przez gardło. - Należał do mojej matki.

Powolnym ruchem odłożyła klejnot do skrzyni i podniosła
się z kolan. Stała nieruchomo, odwrócona tyłem do
Blackthorna, kurczowo przyciskając dłonie do piersi.

- Zamknij wszystko, Dane, i chodźmy stąd - po
wiedziała głucho. - Nie zostanę ani chwili dłużej
w tym strasznym miejscu. Chcę do domu.

- Miałam szesnaście lat i *maman* postanowiła, że na kilkanaście dni przeniosę się do dziadka, do Devon - opowiadała Violet, wpatrzona w smugę księżycowego światła wpadającą do sypialni. - Zaproszono rodziców na rejs jachtem - dwa tygodnie żeglowania wzdłuż wybrzeża, połączonego ze zwiedzaniem różnych miejsc. Ucieszyli się z tego zaproszenia, bo dawno nie pływali razem. Ja też byłam zachwycona, że tacie i mamie, którzy przecież nie byli już młodzi, chce się jeszcze przeżywać morskie przygody i cieszyć własnym towarzystwem jak za dawnych lat. Nie przyszło mi do głowy, że więcej już ich nie zobaczę. Dopiero kiedy okazało się, że pod pretekstem rejsu popłynęli do Francji, aby odzyskać złoto, które kiedyś ukrył tam ojciec, zrozumiałam, że zostali podstępnie zgładzeni. Podobnie jak mój brat, Gideon, podejrzewałam, że Landford i jego brat, lord Blaidsdale, musieli w jakiś sposób dowiedzieć się o zamiarach taty. Lecz nie mieliśmy żadnych dowodów i z czasem musiałam pogodzić się z faktem, że sprawa jest na zawsze zamknięta. Mama i tata zginęli i nic już nie przywróci ich do życia. Ale po tym, co odkryłam dzisiaj... - przy-

tuliła się do Blackthorna, walcząc z powracającą rozpaczą. - Dane, jak mogę żyć, znając prawdę? I wiedząc, że to odkrycie i tak niczego nie zmieni? Boże, co powinnam zrobić?

Co miał jej odpowiedzieć?

Poczekamy, zobaczymy. Tylko tyle, myślał, tuląc swoją czarodziejkę. Żaden sąd nie skaże Landforda za morderstwo i rabunek tylko na podstawie doniesienia, że znaleziono u niego naszyjnik, należący do zmarłej matki Violet.

Właśnie bezsilność była powodem jej rozpacz. Dla sądu klejnot stanowił dowód bez wartości. Co innego przy honorowym rozstrzygnięciu sprawy - w tym przypadku oznaczałby pojedynek. Markiz Vere nie może się dowiedzieć, co znaleźli w tajnej komnacie Landforda. Violet musi przeżywać swój dramat w tajemnicy.

Chociaż... istniało jeszcze jedno wyjście. Przecież nie była jedyną osobą, która poznała prawdę o naszyjniku...

Blackthorn, tuląc żonę w ramionach, chłodno rozważał szanse. Nie zawahałby się zabić Landforda w pojedynku nawet za cenę ekstradycji z Anglii. Wszystko było lepsze niż ból i rozpacz w pięknych oczach jego ukochanej żony.

Niestety, znał ją na tyle dobrze, by podejrzewać, że i tym razem wzięłaby na swoje barki ciężar niesławy i wygnania, które podzieliłaby z nim. Na to nie mógł się zgodzić. Zatem zabicie Landforda w honorowym pojedynku należało uznać za ostateczność.

A póki co, rozmyślał ponuro Dane, pozostaje tylko czekać. Jedyną nadzieją pozostała Gabrielle Benneau. Może wreszcie uda się jej spoić Landforda, tak jak

obiecała, i zrećźnie, jak tylko ona to potrafi, wyciągnąć od niego kompromitujące wyznania. Na razie, stwierdził, udało mu się nieomal skłócić z własną żoną. Konradmirał był górą i Blackthorn czuł się coraz bardziej bezsilny. Nic dziwnego, że tak łatwo stracił panowanie nad sobą w czasie pamiętnego incydentu na tarasie. Z drugiej strony, rezygnując wówczas w porywie gniewu ze służby w marynarce, wytrącił swoim przeciwnikom ważny argument z ręki. Dotąd sądzili, że skoro zależy mu na morskiej karierze, nie odważy się wystąpić jawnie przeciwko nim. Poza tym inną sprawą było spiskowanie przeciwko zwykłemu kapitanowi, który musiał przestrzegać zasad regulaminu wojskowego, zaś zupełnie inną wystąpienie przeciwko możnemu earlowi, który ma rodzinne powiązania w wysokich sferach wojskowych i politycznych.

Dane zacisnął wargi, uświadamiając sobie, jak niewiele brakowało, aby Furneaux przepadł pod troskliwą „opieką” pana Wu, który z pewnością działał na czyjeś zlecenie. Opiumowa mafia miała rozległe powiązania. Steven Furneaux zbyt długo znajdował się w jej rękach i ciągle jeszcze nie mógł dojść do siebie. Ponadto Blackthorn podejrzewał, że było coś jeszcze, co dręczyło Stevena, odbierając mu wolę życia.

Zimna furia owładnęła Darte'a na myśl o tych, którzy skorumpowali jego dzielnego pierwszego oficera, człowieka honoru, stojącego u progu wspaniałej kariery. Jakim okrutnym szantażem załamali jego ducha, czyniąc z niego ludzki wrak, posłuszny instrument zbrodniczych knowań?

A teraz i Violet, drżąca jak listek w jego ramionach,

doznała dotknięcia straszliwego zła. Z bólem wpatrywał się w jej twarz, pobladła i zmartwiała ze zgrozy. W drodze powrotnej do domu siedziała obok niego, w ciszy przeżywając na nowo dawny koszmar.

Tulił ją do siebie, przeklinając chciwość i głupotę człowieka, który nie potrafił się rozstać z cenną błyskotką, należącą do jego ofiary. Boże, dlaczego Violet musiała zobaczyć ten naszyjnik?

Gdy zajechali pod dom, bez pytania wziął ją na ręce i zaniósł wprost do sypialni. Tam, gdy wreszcie doszła do siebie, kochał się z nią czule i z troską, dbając wyłącznie o jej potrzeby. A Violet odpowiadała na jego pieszczoty tak, jak jeszcze nigdy przedtem nie uczyniła tego żadna kobieta - jak szlachetny instrument, cudownie zestrojony z każdym odcieniem emocji, z każdym drgnieniem pożądania. Nawet nie podejrzewał, że tyle subtelności kryje się w jego duszy. Dopiero przy Violet pojął, jaką radością jest dawanie dobra i otaczanie opieką.

Nie potrafił powstrzymać się od ironicznego uśmiechu. Do diabła, zaczynał celebrować swoją męzowską rolę, czego nigdy nie czynił przy Lynette.

A jego cudowna Violet rozumiała wszystko. Zobaczył to w jej oczach lśniących jak dwa jeziora, pochłaniających go swoją głębią, podczas gdy delikatnie pieścił piękne, chętne ciało.

Kiedy przyszła chwila spełnienia, przenosząca ich oboje w olśniewającą krainę, gdzie czas zatrzymał się w miejscu, i później, gdy powoli wracali do rzeczywistości, Dane jeszcze nigdy nie czuł tak niezwyklej, wręcz porażającej bliskości drugiego człowieka.

Violet była również świadoma ich nowej, szczególnej więzi. Leżąc w ciemnościach u boku Dane'a, zaczęła mu opowiadać o tragicznej śmierci rodziców, o podejrzanych okolicznościach wypadku i własnym narastającym przekonaniu, że Blaidsdale i jego brat uknuli spisek, by doprowadzić jej ród do ruiny.

- Czy możesz być tego pewna, Violet? - zapytał spokojnie Blackthorn, usiłując poskładać elementy łamigłówki w jeden spójny obraz. - Czy ryzykowałiby zabójstwo i rabunek? Złoty skarb nie musi być aż taką pokusą dla kogoś, kto już posiada znaczny majątek. Zastanów się, czy istnieje inne wytłumaczenie obecności naszyjnika twojej matki w skrytce Landforda.

- Oczywiście, może istnieć inne wytłumaczenie - przytaknęła z roztargnieniem. Ciągle jeszcze nie potrafiła jasno myśleć. - Po stokroć wolałabym mieć pewność, że rodzice nie zostali zamordowani, lecz zginęli śmiercią żeglarzy, których pokonał sztorm. Co nie zmienia mojego przekonania, że Blaidsdale jest potworem pozbawionym ludzkich uczuć, zdolnym do każdej zbrodni. Nigdy nie ukrywał, że nienawidzi mojego ojca. Tata nie rozmawiał o tym ze mną, ale mam poważne podejrzenia, iż źródła tej nienawiści trzeba szukać w czasach, kiedy obaj uczyli się jeszcze w Eton. Mama wspomniała kiedyś o jakichś szkolnych nieporozumieniach, które przerodziły się w dozgonną wrogość. Nie wytłumaczyła dokładnie, o co chodziło, ale wiem, że miała na myśli tatę i Blaidsdale'a.

- I uważasz, że Landford odważyłby się na wszystko, nawet na morderstwo, w imię braterskiej miłości?

- Hm... - zastanowiła się Violet. - Może rzeczywiście

się myślę. Ciotka Roanna powtórzyła mi kiedyś słowa wuja Richarda na temat sir OHvera, który jego zdaniem nie potrafił zdobyć autorytetu jako dowódca okrętów ani zyskać uznania wśród najwyższych kadr Admiralicji. Mniej więcej siedem lat temu miał miejsce skandaliczny epizod, w wyniku którego Landford stanął przed sądem morskim, oskarżony o tchórzostwo i niedopełnienie obowiązków służbowych. Nie wiem, o co dokładnie chodziło, ale proces został umorzony, a cała afera szybko zatuszowana. *Jestem* przekonana, że sir Oliver nie awansował do swego obecnego stopnia z powodu wojennych zasług, tylko na skutek poparcia brata, mającego wpływy na królewskim dworze. Było tajemnicą poliszynela, że Landfordowi powierzano najmniej odpowiedzialne zadania. Na ten temat sam wiesz pewnie więcej, bo przecież służyłeś pod nim.

- Przeciwnie, moja wiedza jest raczej nikła. Miałem wątpliwy zaszczyt spotkać sir Ohyera tylko dwa razy - odparł Blackthorn, nie wspominając, że siedem lat temu siedział we francuskim więzieniu. - Raz w czasie pamiętnego balu u lady Stanhope, a drugi raz na Malcie, gdy nakazał mi przewieźć sir Henry'ego Granville'a na Gibraltar.

- Sir Henry'ego? - Violet, zdziwiona, uniosła głowę. - Miałeś go na pokładzie „Antiope” w czasie tamtej słynnej potyczki z francuskim okrętem? Więc dlatego zakradłeś się do jego domu? Tylko nie zaprzeczaj, kochany, bo i tak ci nie uwierzę!

- Dobrze, nie będę zaprzeczał, moja ty dociekliwa czarodziejko - powiedział z uśmiechem Dane. Violet wyraźnie odzyskiwała swoje przyrodzone talenty,

których nie powstydzilaby się hiszpańska inkwizycja.

- No więc? - naciskała. - Wyjaśnij mi wreszcie, po co zakradłeś się wtedy do rezydencji sir Henry'ego? I kto go napadł? Jestem pewna, iż wiesz, kto. Mało tego, ośmielałem się twierdzić, że z jego powodu musiałeś szukać schronienia w mojej sypialni. No, mów! - boleśnie szturchnęła go palcem pod żebro, widząc, że się waha.

- Ty diablico! - jęknął, a potem błyskawicznie przeszedł do czynów. Za moment Violet leżała, przygwożdżona do poduszek stalowym chwytem jego ramion. -Najchętniej przełożyłbym cię przez kolano i dał porządnego klapsa, zamiast zaspokajać twoją babską ciekawość, ale obawiam się, że i tak nie dałabyś mi spokoju.

- Och, Blackthorn - zachichotała - nie wiedziałam, że boisz się łaskotek. Kto by pomyślał, że wystarczy poskrobać paluszkami bohatera morskich potyczek, by skoczył do sufitu?

- Tak się składa, że miałem dwie starsze siostry, które uwielbiały rzucać się na mnie, unieruchamiać w bezlitosnym uścisku i zadawać mi takie właśnie siostrzane tortury - burknął urażony. Dawno zapomniana scena z dzieciństwa znienacka wypłynęła w jego pamięci.

- Dwie siostry? - Violet nadstawiła uszu, wiedząc, że ma rzadką okazję wejrzeć w przeszłość swego ukochanego kapitana. - Nigdy mi o nich wcześniej nie wspominałeś. Kim są i co teraz się z nimi dzieje?

- Nazywają się Annę i Kate, ale nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz mogą być i jak im się wiedzie. Mam nadzieję, że szczęśliwie powychodziły za mąż i niańczą swój przychówek. Już dawno temu straciłem z nimi kontakt, toteż nie jestem w stanie zaspo-

kość twojej nienasyconej ciekawości w tym względzie.

- Rozumiem. W takim razie wróćmy do sprawy sir Henry'ego. On tam był, prawda, Dane? Kruk? - zapytała, poważniejąc.

- Poddaję się - westchnął Blackthorn. - Jeśli już chcesz wiedzieć, *monsieur le Corbeau* musiał wcześniej uderzyć sir Henry'ego w tył głowy ręką pistoletu i w pośpiechu przerzucił papiery na jego biurku, kiedy niefortunnie zjawiłem się, przerywając mu to zajęcie.

- Tak też przypuszczałam - oznajmiła Violet z triumfującym uśmiechem. - Ty nigdy nie dopuściłbyś się tak tchórzliwego czynu, jak cios zadany z tyłu i wymierzony w człowieka dwa razy niemal starszego od ciebie. Jasne, że musiał być drugi włamywacz.

- Och, jasne - przytaknął Blackthorn, zachwycony, że fiołkooka czarodziejka tak pochlebnie go ocenia.

- No dobrze, i co było dalej? - naciskała niezmordowanie.

- Dalej już pewnie się *domyślasz* - wzruszył ramionami. Coraz bardziej tracił ochotę na drażnienie tego tematu, a za to coraz bardziej zachwycala go Violet z uroczo zmierzwionymi włosami, zarumieniona od niedawnych miłosnych uciech, z oczyma błyszczącymi ciekawością. - Wymieniliśmy z Krukiem kilka spostrzeżeń na temat stanu sir Henry'ego, który właśnie zaczynał dawać oznaki życia. Kruk wyraził głębokie zadowolenie z faktu, iż kapitan Trevor Dane zjawił się w samą porę, tak aby można było obciążyć go winą za napad na gospodarza.

- Cholerny drań! - wykrzyknęła Violet z oburzeniem. - Ale zaraz... - dopiero teraz dotarł do niej praw-

dziwy sens słów męża. - Dane, on cię znał! Tak więc i ty powinieneś znać jego.

- Powiniennem, lecz nie udało mi się go rozpoznać. Był dokładnie zamaskowany, a na dodatek odniosłem wrażenie, że rozmyślnie zmieniał głos.

- Nawet jeśli go nie poznałeś, fakt, iż znał ciebie, znacznie zawęży krąg podejrzanych - stwierdziła rezolutnie Violet. - W sumie nawet się dziwię, że nie rozprawił się z tobą od razu, gdy zjawiłeś się w gabinecie, zamiast wszczynać z tobą rozmowę.

- Chciał się ze mną rozprawić - wyjaśnił spokojnie Blackthorn. - Wypalił do mnie z pistoletu, lecz litościwie chybił. Kiedy otrząsnąłem się z wrażenia i chciałem odplacić mu tym samym, wybiegł z gabinetu i zniknął bez śladu, jakby rozplynął się w powietrzu. Wiem, bo pogoniłem za nim na korytarz. Chciałem zbiec po schodach, ale zobaczyłem w dole grupkę panów, więc uciekłem piętro wyżej.

- Jasne - przytaknęła Violet, z ożywieniem czekająca na chwilę, w której sama zjawi się w tej opowieści. - Obawiałeś się, że zostaniesz posądzony o napad na sir Henry'ego. Nie miałeś innego "wyjścia, musiałeś uciekać. Nie rozumiem tylko, jakim cudem Kruk mógł tak nagle zniknąć, skoro prawie natychmiast pogoniłeś za nim. Na pewno nie pobiegł na górę, bo akurat tam byłam i otwierałam drzwi do swojego pokoju. Z pewnością zauważyłabym przebiegającego mężczyznę w masce. Chyba że...

- Chyba że zrzucił przebranie i szedł na dół, dołączając do owej grupki dzentelmenów - podchwycił Blackthorn.

- Dane... - wyszeptła z niedowierzaniem.

- Tak, tak, moja bystra czarodziejko.

- Kruk był jednym z gości sir Henry'ego. - Violet poderwała się z poduszek, ukazując się mężowi w całej swojej nagiej okazałości.

- To jest prawie pewne - potwierdził, patrząc na nią z nieukrywanym pożądaniem. Zupełnie stracił zainteresowanie śledztwem, Krukiem i sir Granvil-le'em. - Musiał umknąć do najbliższego pokoju, lecz przypuszczam, że nie znalazł tam tak fascynującego towarzystwa jak ja w chwilę później - dodał z błyskiem w oku.

- Zatem miał dosyć czasu, aby zrzucić przebranie i wyjść na korytarz tak, by nie budzić podejrzeń -ciągnęła z zapalem Violet, nieświadoma efektu, jaki wywarła na mężu jej nowa poza.

- Pewnie tak, ale do diabła z tym Krukiem - burknął Dane, niecierpliwie sięgając dłońmi krągłych piersi żony. - Niech idzie do piekła.

- Dokładnie tego samego mu życzę - odparła, tłumiąc budzący się dreszcz zmysłowego podniecenia. -Jeszcze tylko jeden drobiazg, mój kapitanie. Musisz mi wreszcie powiedzieć, dlaczego się tam zakradłeś.

Dane westchnął, wiedząc, że nie osiągnie nic, dopóki nie zaspokoi jej ciekawości.

- Zakradłem się, moja uparta czarodziejko, gdyż miałem nadzieję znaleźć odpowiedź na pytania, które mnie dręczyły. Na przykład: kto strzelił mi w plecy na pokładzie mojego własnego statku? I kto, wiedząc, że przeżyłem, robił wszystko, aby moja kariera legła w gruzach? Nadal uważam, że sir Henry musi

znać odpowiedzi, i mam zamiar wydobyć je od niego, jak tylko rozprawię się z Krukiem.

Violet, słysząc te słowa, poczuła niemiły dreszcz. Przeraziła ją niezachwiana pewność, z jaką Black-thorn oskarżał męża jej chrzestnej matki o zbrodniczy postępek. Z drugiej strony logika rozumowania nieuchronnie wskazywała na sir Granville'a jako na głównego podejrzanego. W tamtym fatalnym momencie jako jedyny na statku nie był członkiem załogi. Zaś kapitan Dane słynął z tego, że jego ludzie poszliby za nim do piekieł.

A jednak Violet, która znała sir Henry'go od najwcześniejszego dzieciństwa, nie mogła uwierzyć, aby człowiek, który brał ją na kolana i śpiewał jej piosenki, kiedy miała pięć lat, który podarował jej słodkiego szczeniaczka yorkshire teriera, kiedy miała osiem lat, i który rozpieszczał ją przy każdej okazji, mógł z zimną krwią zaplanować podstępny mord.

Była gotowa zaproponować swojemu ukochanemu kapitanowi, że niezwłocznie pojedzie z nim do londyńskiego domu sir Henry'ego i poprosi, aby odpowiedział na pytania dręczące Dane'a. Zaledwie jednak zdążyła otworzyć usta, zostały zamknięte gorącym pocałunkiem. Blackthorn wykorzystał chwilę namysłu i sprawnie zarzucił na nią swoje sieci. W pierwszym odruchu chciała się opierać, ale chciwe wargi i dłonie wędrujące po jej ciele sprawiły, że szybko się poddała.

- Obiecaj mi tylko... moja piękna inkwizytorko - wydyszał Blackthorn - ... że odtąd przestaniesz działać na własną rękę. Zaufaj mi... pozwól, że sam zajmę się Landfordem... i innymi. Obiecaj...

Och, to jest straszliwie nieuczciwe, myślała Violet na wpeł przytomnie, preżąc się i rozchylając uda na przyjęcie Dane'a. Ale jak mogła zawieść swojego ukochanego kapitana?

- Obiecuje, Dane - szepnęła, wiedząc, że nadal będzie robiła wszystko, aby przywrócić mu dobre imię.
- Obiecuje, że zawsze będę ci ufać.

Piekło i szatani, nie o taką obietnicę mu chodziło! Trudno, będzie się musiał zadowolić stwierdzeniem, że słodka Violet mu ufa. Słodka, słodka YioJet...

Spieszył się, aby jak najszybciej wynieść ich oboje na szczyty, gdzie wszystkie ziemskie sprawy przestają mieć znaczenie.

Blackthorn zachwiałby się w swojej wierze w obietnice Violet, gdyby widział, jak następnego ranka wychodzi z domu, łapie dorożkę i każe się wieźć pod numer dwudziesty drugi przy Portland Square. W holu oddała lokajowi rękawiczki i pelisę i poprosiła, aby zapowiedziano lady Granville, że przybyła z wizytą jej córka chrzestna, lady Blackthorn.

- Och, jak się cieszę, że przyszłaś, Violet - promieniała lady Granville w kilka minut później, prowadząc ją do pokoju gościnnego, utrzymanego w różowo-lawendowych tonacjach. - Stęskniliśmy się za tobą. Jak czuje się młody lord Fennington? Pamiętam, że kiedy Albert złapał świnkę, zaraz po nim zarazili się Elizabeth, Franklin i Felicia. No, ale to było dawno. Jak te dzieci rosną! Wystarczy choćby popatrzeć na ciebie, kochana Violet. Jeszcze niedawno byłaś podlotkiem, a teraz już jesteś mężatką. Twoja mama

byłaby szczęśliwa i na pewno polubiłaby Blackthor-ne'a.

Violet z czułością patrzyła na swoją matkę chrzestną - pięćdziesięcioletnią panią ubraną w ulubione zielenie, z bujnymi, jasnymi włosami, lekko tylko tkniętymi siwizną. Lady Granville miała rację; mama z pewnością świetnie dogadywałaby się z Dane'em.

Przez następne dwadzieścia minut Violet wysłuchiwała najnowszych ploteczek, ale nic z tych wiadomości nie dotyczyło sir Henry'ego czy kapitana Trevora Dane. Odniosła za to wrażenie, że coś gnębi jej matkę chrzestną, choć bardzo stara się to ukryć.

Lydia nie miała w zwyczaju zagłębiać się w przeszłość, a już zwłaszcza opowiadać anegdotki o swoich dzieciach, kiedy były małe. Tymczasem zdawało się, że poranna herbata upłynie im tym razem na wspomnieniach o Alperciku, który lubił wkładać sobie groszek w uszy, czy wysypkach Felicii. Zupełnie jakby Lydia, cofając się w czas beztroskich wspomnień, chciała „zagadać” terażniejsze kłopoty. Wreszcie Violet nie wytrzymała i korzystając z chwili przerwy w opowiadaniu, zapytała wprost lady Granville, czy coś ją gnębi.

- Mój Boże - westchnęła Lydia, opuszczając wzrok - a więc to jest aż tak widoczne? Powiem ci szczerze, Violet: nie spodziewałam się, że akurat mnie spotka coś takiego.

- Kochana Lydio - Violet w czułym odruchu ujęła jej drżącą dłoń - powiedz mi, co się stało? Chodzi o Alberta czy o dziewczynki?

- Nie, nie, z dziećmi wszystko dobrze, naprawdę -

zapewniła pospiesznie starsza kobieta. - To... - Lydia głęboko nabrała powietrza i z rozpaczą popatrzyła chrzestnej córce w oczy. - Chodzi o sir Henry'ego. - Łykając łzy, wyszarpnęła haftowaną chusteczkę z rękawa sukni i dyskretnie otarła oczy. - Nie uwierzyłabym, gdyby ktoś powiedział mi, że mój mąż da się omotać... wampirzycy niemal dwa razy młodszej od siebie. Po prostu wyśmiałabym go, Violet. A tymczasem *nie dziej niż trzy dni* temu lady Maheux uznała za stosowne oznajmić mi, że widziała, jak Henry wymyka się z domu przy Berners Street. Akurat przejeżdżała tamtędy, bo wybierała się do monsieur Pincho-ta, aby zamówić u niego portret syna. Z początku jej nie wierzyłam, ale paskudna plotka szybko się potwierdziła - mój mąż przyłączył się do tego dziwaczного ogrodowego klubu madame Benneau, a przecież wiesz, że wystarczy, by zbliżył się do kwitnącego kwiatu, aby dostał napadu kichania. Ta Francuzica zwabiła Granville'a do swojego leża i omotała, pewnie po to, żeby wykorzystać go do swoich *niecnych* celów.

Violet spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, że sir Henry przystąpił do *Le Societe des Philosophes du Jardin*. Mój Boże, renesans epikurejskiej filozofii okazał się bardziej zaraźliwy niż świnka!

Gdyby tylko chodziło o uprawianie ogrodu, lady Granville może jeszcze przeżyłaby nową pasję małżonka. Jednak filozofia, uznająca czerpanie przyjemności z życia za naczelną zasadę bytu, jest doktryną naprawdę niebezpieczną dla starzejącego się mężczyzny.

- Lydio ~ powiedziała z powagą - wiem, czego się obawiasz. Ale muszę cię zapewnić, że prawdziwy epi-

kureizrn, oparty na klasycznej filozofii, głosi, że przyjemność i szczęście osiąga się drogą umiarkowania i godnego życia, nie zaś folgowania swoim popędom, jak sądzą niektórzy.

- Cieszę się, że mi to mówisz, Violet. - Lady Gran-yille wcale nie wyglądała na przekonaną. - Lecz jaką mam gwarancję, że owa madame w swoim ogrodzie uprawia właśnie tę przyzwoitą odmianę epikureizmu? Widziałam ją raz w operze, ubraną nader wyzywająco, otoczoną chmarą... ehm... epikurejczyków, młodych i starych. Doprawdy, trudno powiedzieć, aby ktokolwiek z tego towarzystwa wykazywał godne umiarkowanie - zakończyła z przekąsem.

- Naprawdę? - Violet uważniej nadstawiła ucha, myśląc o Blacktliornie. Nie miała jeszcze okazji poznać osobiście madame Benneau i obserwacje Lydii wydały się jej niezwykle cenne. - Ciekawa jestem, Ly-dio, jak ona wygląda? - zapytała z niewinną miną.

Lady Granyille wydmuchała nos w chusteczkę.

- Dokładnie tak, jak kobieta głosząca filozofię przyjemności - stwierdziła cierpko. - Wyzywająca... to najbardziej salonowe określenie, jakie mi się nasuwa, gdyż innych nie ośmieliłabym się głośno wypowiedzieć. Miała na sobie suknię w stylu egipskiej tuniki, z wycięciami po bokach sięgającymi tak wysoko, że nie zostawiały pola do popisu męskiej wyobraźni. Słowem, widać było, że pod spodem nie ma już nic - zakończyła ze zgrozą.

- No, no, intrygujące - mruknęła Violet, przypominając sobie, jak nie dalej niż wczoraj obiecała Da-ne'owi, iż będzie ufać mu bez zastrzeżeń.

- Raczej oburzające - poprawiła ją matka chrzestna, prostując się na sofie. - I pomyśleć, że urodziłam sir Henry'emu czwórkę dzieci, a on na stare lata zadurzył się we francuskiej *femme fatale*, która maluje paznokcie u stóp i nosi pierścionki na palcach nóg. Nie, stanowczo tego nie zniosę!

Mimo tak druzgoczącej opinii Violet skłonna była raczej sądzić, że madame Benneau jest jedną z owych nowoczesnych kobiet, wolnych od konwenansów, które dorównują mężczyznom erudycją i potrafią dyskutować z nimi jak równy z równym; kobiet, które pragną cieszyć się życiem i decydować o własnym losie samodzielnie. Kobiet, których szacowne damy hołdujące tradycyjnemu światopoglądowi, takie jak lady Granville, nie potrafią zrozumieć.

Dlatego przez następne pół godziny Violet starała się wszelkimi sposobami ukoić skołataną nerwy swojej chrzestnej matki, choć musiała w duchu przyznać, że dotychczas zupełnie inaczej wyobrażała sobie krąg ludzi, wśród których obracał się Blackthorn. Z drugiej strony było zrozumiałe, że podtrzymywał znajomość z najbliższą przyjaciółką swojej ukochanej zmarłej żony. Co innego sir Henry Granville, cieszący się dotąd szacunkiem w towarzystwie jako przykładowy mąż i człowiek o niezachwianych zasadach, który nagle zasmakował w *radosnym* epikureizmie, choćby nawet w najbardziej szlachetnej postaci. Wszystko to było tak intrygujące, że Violet poczuła przemożną chęć sprawdzenia, co naprawdę dzieje się w domu przy Berners Street. Nie podejrzewała rozpusty; fakt, że Blackthorn pojawiał się tam regularnie, podsunął jej przy-

puszczenie, iż musi to mieć związek z jego prywatnym śledztwem w sprawie francuskiego agenta. A skoro tak, również nagłe zainteresowanie sir Henry'ego epi-kureizmem mogło wynikać z tych samych przyczyn. Wszak Granville sam o mało nie padł ofiarą Kruka. Kto wie, czy nie zapragnął spenetrować środowiska francuskiej emigracyjnej inteligencji w nadziei, że zyska ważne informacje. Kpiący uśmiešek zaigrał na wargach Violet, gdy wyobraziła sobie sir Henry'ego z zapalem dyskutującego filozoficzne kwestie.

Z drugiej strony, bez względu na swoje ukryte cele, Towarzystwo Ogrodu Filozofów mogło być naprawdę ciekawym kręgiem ludzi, kochających pasjonujące dyskusje na temat istoty natury ludzkiej i sensu życia. A skoro tak, Blackthorn nie powinien mieć nic przeciwko temu, aby jego żona zjawiała się tam od czasu do czasu. Chociażby po to, by zobaczyć, jak wyglądają kontakty Dane'a i sir Henry'ego na gruncie wspólnych zainteresowań.

- Węszy jak pies, który złapał trop - powiedział Blackthorn, zdejmując po kolei surdut, kamizelkę i koszulę. - Trzy dni temu bez zapowiedzi zjawił się przy Berners Street i usiłował coś wyniuchać, podając się za wielbiciela francuskiego neoklasycyzmu.

- Można się było tego spodziewać - uśmiechnął się Vere, który podobnie jak Dane zdążył się już obnażyć do pasa, odsłaniając szczupłe, wysportowane ciało. - Sir Henry - ciągnął, nakładając grubo pikowane, skórzane rękawice treningowe - działa niespiesznie, ale sprytnie. Nie lekceważyłbym go. Nie jest tak sza-

cownym dżentelmenem, za jakiego chciałby być uważany.

- *Od* dawna podejrzewałem, że sir Henry rozgrywa swoją partię w tej aferze - skrzywił się Black-thorn, potrząsając rękoma, aby rozluźnić mięśnie. -Pytanie tylko, w co gra? Dałbym wiele, aby wiedzieć, co naprawdę robił na moim okręcie. Mówiono, że występuje w roli nieoficjalnego doradcy rządowego i został wysłany z Landfordem, aby ocenić ufortyfikowanie Malty.

- Oczywiście miałeś powody, aby nie uwierzyć w tę wersję - podsumował markiz, obserwując spod oka muskularną postać swego przeciwnika. Z milczącym uznaniem odnotował liczne bliźny. Szlachetna sztuka pięściarska, uprawiana przez angielskich dżentelmenów, musiała stanowić szczyt wyrafinowania w porównaniu z krwawymi starciami na pokładach, gdzie wszystkie chwytły były dozwolone.

- Możesz być pewien, że admirał Nelson już dawno dostarczył Admiralicji szczegółowy raport na temat wszystkich morskich punktów obronnych - zauważył ironicznie Blackthorn, ciasno sznurując swoje rękawice. Na próbę uderzył pięścią w dłoń, po czym stanął naprzeciwko Vere'a, przyjmując klasyczną boksterską postawę.

Obaj, skryci za gardą swoich pięści, momentalnie przestali zwracać uwagę na zwykłe odgłosy sali do ćwiczeń Jacka Broughtona - szum rozmów, okrzyki, tupot stóp i głucho uderzenia ciosów. Earl i markiz okrążali się na ugiętych nogach, sprężeni i gotowi do walki.

-Jeśli Granville naprawdę przyjechał tam w roli do-

radcy, niewiele mógłby powiedzieć o warunkach na Malcie. - Blackthorn zrezygnował się przed lewym sierpowym Vere'a i natychmiast zrewanżował się ciosem, który markiz częściowo sparował. - Był na brzegu bardzo krótko, bo zaraz dostałem rozkaz, aby zabrać go na Gibraltar - ciągnął, angażując się w szybką wymianę ciosów. - Miałem nieodparte wrażenie, że Landford z ulgą się go pozbył.

Vere z kocią szybkością odskoczył do tyłu, unikając potężnego haka. Przez cały czas tańczył wokół przeciwnika, unikając zwarcia.

- Widać Granville musiał węszyć koło niego - rzucił z uśmiechem. Doprawdy, coraz lepiej czuł się w towarzystwie swego szwagra. Kiedy Violet namówiła go, aby dyskretnie wprowadził Dane'a w tajniki życia dżentelmena w wielkim mieście, z początku potraktował jej propozycję jako interesujące urozmaicenie londyńskiej nudy. Jednak już w trakcie pierwszej rozmowy z Blackthornem wyczuł, że ma do czynienia z człowiekiem, któremu być może brak jest towarzyskiego poloru, lecz który przedstawia sobą wartości rzadkie w elitarnym świecie - prawdziwie męski charakter, spokój i opanowanie, połączone z niewątpliwą inteligencją i dużą dozą wrażliwości. Czuło się w nim człowieka walki, nawykłego do wydawania rozkazów. Dla Vere'a, spoglądającego z cynicznym dystansem na siebie i ludzi ze swojej sfery, nie bojącego się ryzyka w jaskiniach hazardu czy w nielegalnych pojedynkach, Dane, który musiał grać o życie w ogniu prawdziwych bitew, stał się przedmiotem nieustannej fascynacji.

Jedynie ktoś taki jak Dane ośmieliłby się wdrzeć do opiumowej meliny w samym sercu kontrolowanej przez mafię dzielnicy tylko po to, aby wydrzeć stamtąd jedną ze straconych dusz; ludzkiego wraka, który w innym życiu był jego najdzielniejszym oficerem. Po tym markiz uwierzył, że opowieści o wyczynach Blackthorna na morzu nie były przesadzone.

Do tego wszystkiego dawny kapitan prezentował nie tylko inteligencję, ale i erudycję, której nie powstydziliby się niejedni dżentelmeni, wykształcony w elitarnym Eton. Widać było, że marynarka dbała o poziom swoich ludzi, edukowanych w morskich akademiach. Blackthorn znał równie dobrze historię i klasykę, jak matematykę czy fizykę, a odczytaniem nie odbiegał od innych członków swojej nowej sfery. W przerwach między wojennymi bataliami albo w chwilach ciszy na morzu musiał pochłonąć niejedną tom.

A do tego jeszcze po mistrzowsku opanował sztukę boksowania, przyznał Vere, otrząsając się po celnym trafieniu. Najwyższa pora, aby pokazać, kto tu jest mistrzem. Sprytnie zamarkował cios w głowę, a gdy Dane podniósł gardę, Vere zniżył ramię i wyprowadził piekielną bombę w sam splot słoneczny przeciwnika. Earl zgiął się wpół, krztusząc się i łapiąc oddech.

- Sorry, staruszk - powiedział z udawanym współczuciem markiz, błyskając zębami w uśmiechu. - Chyba na tym skończymy - dodał, patrząc, jak Dane prostuje się powoli. W ostatniej chwili dostrzegł błysk dzikiej radości w oczach przeciwnika, ale było już za późno. Pięść w rękawicy jak grom z jasnego nieba wystrzeliła ku jego twarzy.

- Twoim zdaniem sir Henry jest zamieszany w sprawę Kruka - powiedział Vere w godzinę później. Siedział rozparty na salonowym foteliku, przykładając sobie do policzka krwisty befsztyk. Pomimo tak "wymyślnego okładu pod jego lewym okiem w przyspieszonym tempie rosła okazała śliwka w kolorze jeszcze ciemniejszym niż mięso. - Natomiast moim zdaniem nie jest on człowiekiem zdolnym do zdrady. W końcu nie zostaje się kawalerem Orderu Wielkiego Krzyża za spiskowanie przeciwko królowi.

Blackthorn, pokonując ból nadwyrężonych mięśni, sztywno usadowił się na krześle przed kominkiem w buduarze madame Benneau. Do licha, trudno zaprzeczyć, iż po tym, co zdarzyło się sir Henry'emu w jego własnej rezydencji, można go było co najwyżej posądzać o chęć utracenia kariery kapitana Trevora Dane - ale z pewnością nie o zdradę stanu czy okrutną zbrodnię. Niemniej jednak Granville nadal był podejrzany.

Dane bardzo pragnąłby wiedzieć, skąd wzięło się nagłe zainteresowanie sir Henry'ego artystowskim kółkiem madame Benneau. Jakoś nie mógł uwierzyć, by chodziło o potrzebę intelektualnej dyskusji czy nawet pociąg do ponętnej Francuzki. Sama Gabrielle była niezbyt zachwycona podstarzałym adeptem, który traktował ją jak apodyktyczny tatuś i z trudem tolerował jej wolnomyślicielskie poglądy.

W sumie nasuwało się tylko jedno prawdopodobne wyjaśnienie nagłych dziwactw Granville'a - sir Henry liczył, że Gabrielle może wiedzieć, kim jest Kruk, lub znać okoliczności nagiego zniknięcia młodego dowód-

cy szkunera „Pegasus”, Stevena Furneaux. Dodatkowo podejrzenia Blackthorna umacniał fakt, że Granville, zjawiwszy się bez uprzedzenia w domu przy Berners Street, powołał się na swoją znajomość z byłym kapitanem Trevorem Dane.

Jeśli stary cwaniak uważał, że zdobędzie w ten sposób zaufanie Gabrielle, bardzo się mylił. Ta śliczna i łagodna kobieta przeżyła dramatyczną ucieczkę z Francji i grozę rewolucyjnego terroru. Jej mąż, Pierre, który usiłował uciekać przebrany za wieśniaka, został rozpoznany i zakatowany przez rozwścieżoną tłuszcę. Blackthorn wątpił, by komukolwiek udało się wyciągnąć z Gabrielle coś, czego nie miała ochoty zdradzić. Po mistrzowsku potrafiła udzielać wymijających odpowiedzi na niewygodne pytania, podobnie jak z ogromną zręcznością manewrowała ludźmi, którzy ją otaczali. Jak choćby teraz, pomyślał z rozbawieniem. Dyplomatycznie umieściła sir Hen-ry'ego w pokoju gościnnym, w którym Dane niedawno sam siedział z markizem Vere, a ich obu poprosiła do prywatnego saloniku obok swojej sypialni. Zastanawiał się tylko, dokąd zaprowadzi Landforda, jeśli kontradmirał wreszcie się pojawi. Był pewien, że Gabrielle coś wymyśli, nie dopuszczając, by nieodpowiednie osoby dowiedziały się o swojej tu obecności. Doprawdy, skromny dom przy Berners Street niepojętym sposobem powiększał się do rozmiarów pałacu!

Blackthorn i Vere odruchowo wyprostowali się w fotelach, gdy ciszę przerwał donośny dźwięk. Ktoś niecierpliwie pociągał za rączkę dzwonka u drzwi wejściowych.

- Czyżby nasz szlachetny kontradmirał zdecydował się wreszcie złożyć wizytę? - zastanawiał się Vere.

- Jeśli tak, znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji -dodał zaniepokojony Blackthorn. - Ktokolwiek to jest, Gabrielle prowadzi go do nas na górę.

- Zaiste - mruknął Vere, wpatrując się zdrowym okiem w drzwi. - Będzie zabawnie, mój przyjacielu.

Kiedy kroki ucichły w progu i gałka zaczęła się obracać, Dane odruchowo wstał z fotela. Dębowe drzwi stały otworem.

- Blackthorn! - nowo przybyły gość powiódł zaskoczonym spojrzeniem od earla do markiza. - Na Boga, Vere, i ty tutaj? Co wy tu, do diabła, robicie?

- A co ty, do diabła, robisz tutaj, moja najdroższa lady Blackthorn? .■'■:.

- Vere, co się stało? - dopytywała się Violet, ze zdumieniem spoglądając na mocno naruszoną fizjonomię brata. - Wyglądasz, jakbyś zderzył się po ciemku z latarnią. A ty, Blackthorn... - przeniosła spojrzenie na męża. - Gdyby nie to, że obiecałam ufać ci bez zastrzeżeń, miałabym prawo żądać wyjaśnień, co robisz w buduarze madame Benneau.

- Dokładnie, słodka Violet - powiedział, wciągając ją do pokoju i starannie zamykając drzwi. - Ja z kolei nie wahałbym się zapytać, co ty tutaj robisz.

- Madame Benneau wprowadziła mnie na górę - odparta Violet, jakby sam fakt wystarczył za wyjaśnienie. - Powiedziała, że będzie przez chwilę zajęta w gościnnym, i prosiła, abym zaczekała tutaj. Pochwaliła się, że ma tu dwa bardzo interesujące popiersia, które chciała mi pokazać. Nie dodała tylko, że jedno z nich zostało uszkodzone.

- Gabrielle ma swoiste poczucie humoru - zauważył Blackthorn, podchodząc do swojej czarodziejki. - Ale nie zbaczajmy z tematu. Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Violet. Ostrzegam cię, nie jestem w nastroju do żartów. Dlaczego tu przyszłaś?

- Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, obiecałam to Ly-dii, mojej chrzestnej matce - odparła Violet, metodycznie, palec po palcu, ściągając liliowe rękawiczki z kozłej skórki. - Wydaje się, że epikureizm nie tylko przeżywa swój renesans, ale w niezwykle sposób przyciąga angielskich dżentelmenów, nie pomijając małżonka lady Granville. Coś musi być na rzeczy, skoro w tej chwili w pokoju gościnnym stateczny sir Henry spędza czas sam na sam z założycielką towarzystwa sławiącego uciechy życia. Nic dziwnego, że ty i Gide-on musieliście skryć się w sypialni pani domu.

- Nic nie straciłaś ze swojej bystrości, siostrzyczko - pochwalił Vere, porzucając befsztyk na rzecz kieliszka sherry. - Pragnę jednak zauważyć, iż znajdujemy się w buduarze, a nie w sypialni. Tę okupuje ktoś inny.

- Ktoś inny? - zapytała czujnie Violet i zanim Black-thorn zdążył ją zatrzymać, zanurkowała pod jego wysuniętym ramieniem i wpadła do drugiego pomieszczenia. Tam stanęła jak wryta na widok nieruchomej postaci spoczywającej bezwładnie na łożu. W kręgu blasku rzucanego przez lampę widać było upiornie bladą, zapadniętą twarz mężczyzny niewiele starszego od niej. Ale najbardziej wstrząsnęły nią oczy leżącego - szeroko otwarte, o martwym, niewidzącym spojrzeniu. Gdyby nie niemal niedostrzegalny oddech, poruszający pierś chorego, uznałaby, że widzi trupa.

Violet z ulgą poczuła oplatające ją od tyłu ramiona Blackthorna. Podała im się i bez oporu pozwoliła wyprowadzić się z pokoju.

- Kto to jest? - zapytała drżącym głosem. - Dlaczego leży jak trup?

~ Porucznik Steven Furneaux. Służył jako pierwszy oficer na mojej „Antiope”, ale nie wiadomo, czy kiedykolwiek stanie na pokładzie. Obawiam się, że nie ma dla niego nadziei.

- Nie ma nadziei? Dlaczego? - Violet, wyczuwając jakąś straszną tajemnicę, na próżno patrzyła to na Dane[^], to na Gideona. Obaj uparcie odwracali od niej spojrzenie. - Powiedzcie mi wreszcie, co to znaczy?

- Do licha, Violet, nie powinnaś tu przychodzić. - Blackthorn przeklinał się w duchu, że nie przewidział tej ewentualności. - Co ci mam powiedzieć? Że wyciągnęliśmy go z opiumowej meliny? Że przebywał tam o wiele za długo? Że wyglądał dokładnie tak samo, kiedy przynieśliśmy go dwa tygodnie temu, i od tego czasu nic się nie zmieniło? - Gniewnie obrócił się w stronę kominka. - Wybacz, ale uznałem, że takie opowieści nie nadają się dla uszu damy.

Dla Violet patrzącej na jego nieruchome, szerokie plecy w jednej chwili wiele spraw stało się jasne. Z pewnością to Vere doniósł Blackthornowi o tragicznej sytuacji jego oficera, Woląła nie pytać, skąd Gide-on o tym wiedział. Już dawno przestała się interesować, jakimi ścieżkami chodzi jej brat.

Razem z Dane'em odwiedzili miejsce, którego istnienia nawet sobie nie wyobrażała. Musieli to zrobić w dniu, kiedy obserwowała ich wyjazd z okna, czuwając przy chorym dziecku. Potem przewieźli porucznika do *madame* Benneau, która *wcale* nie *jest* tak rozpustnym i egoistycznym stworzeniem, jak sądziła lady Granville. W rogu sypialni Violet zauważyła leżankę, oddzieloną parawanem od łoża. Francuzka

musiała czuwać przy chorym noc w noc jak niedawno ona sama przy Philippe'ie. Zaś rankami przychodził Blackthorn, aby ją zastąpić.

Nie wszystko jednak było jasne. W umyśle Violet mnożyły się nowe pytania. Skoro Furneaux był pierwszym oficerem Dane'a, wysoko cenionym przez kapitana za odwagę i zdolności, a potem sam w młodym wieku otrzymał dowództwo, musi być człowiekiem szczególnych zalet. Jest mało prawdopodobne, że ktoś taki porzuca nagle służbę, aby popełnić samobójstwo na raty w opiumowej melinie. Gdyby chciał ze sobą skończyć, z pewnością wybrałby wyjście godne żołnierza - na przykład staranowanie nieprzyjacielskiego okrętu. Violet poczuła, że musi natychmiast podzielić się swoimi wątpliwościami z Dane'em.

- Wybacz mi, Blackthorn, jeśli będę zbyt dociekliwa, ale wydaje mi się, że przejęty troską o swojego człowieka zatraciłeś jasność sądów. Rozumiem, że przykro jest patrzeć na upadek kogoś tak obiecującego, ale przecież wielu twoich wspaniałych ludzi zginęło w walce.

- Owszem, w ogniu walki, ale nie w taki sposób - powiedział cicho, mierząc ją posępnym spojrzeniem czarnych oczu. - Do diabła, Violet, wyciągnęliśmy go z piekła!

-Wiem, ale jak tam trafił?

- Myślisz, że nie zastanawiałem się nad tym? - sarknął.

Już na kilka tygodni przed wydarzeniami na Malcie zauważył, że coś gryzie młodego Furneaux. Owszem, jak zwykle wzorowo wypełniał swoje obowiązki, ale Blackthorn wyczuwał w nim dziwne napięcie i wyraźny dystans wobec siebie.

Piekło i szatani! Odgadywał, że coś jest nie w porządku, ale nie zdecydował się, aby wziąć młodego oficera na stronę i szczerze zapytać, czy ma jakieś kłopoty. Uważał, że kapitan nie powinien się wtrącać w sprawy swoich ludzi, a jeśli ktoś zechce, prędzej czy później sam do niego przyjdzie. Lecz porucznik nie przyszedł.

Z własnej winy stracił człowieka i obaj zapłacili wysoką cenę za jego brak wyczucia. A teraz Violet z właściwą sobie bezceremonialną logiką wytknęła mu błąd. Cholera, nie mógł zbyć jej byle czym!

- Posłuchaj, bez względu na to, kto doprowadził porucznika do takiej desperacji, że porzucił służbę i karierę dla najokropniejszego nałogu, jego umysł jest dla nas niedostępny. Piekło, które sam wybrał, zabija go, a on woli umrzeć, niż stawić mu czoła.

- Piekło? Co jest tym piekłem? - Violet ze ściśniętym sercem patrzyła na posępną twarz Blackthorna. Chryste, on obwiniał się za to, co się stało z Furneaux! -Dane, czy jest coś, czego nie chcesz powiedzieć głośno?

- Lepiej jej powiedz, Blackthorn - doradził Vere. Tym razem w jego spojrzeniu nie było odrobiny ironii, jedynie skupiona powaga. Dobrze rozumiał, co się dzieje w duszy szwagra. Sam niedawno wypytywał o blizny na jego ciele, a zwłaszcza o tę jedną, na piecach, świeżo zagojoną. Kiedy jednak popatrzył w twarz Dane'a, zaniechał dalszych pytań. Najwyraźniej chodziło o żołnierski honor, a te sprawy szanował nawet on, skończony cynik. Jednocześnie, znając swoją upartą siostrę, wiedział, że Violet nie spocznie, dopóki nie uzyska odpowiedzi. Nie ma co, będzie musiał przyjść szwagrowi w sukurs.

- Albo pozwól, abym to ja przedstawił swoją teorię - zaproponował i nie czekając na odpowiedź Vio-let, ciągnął: - Otóż sędzę, że Furneaux w jakiś sposób sprzeniewierzył się lojalności wobec swojego kapitana albo przynajmniej wiedział o czymś, co mu grozi, i nie przeciwdziałał temu, co wychodzi na jedno. Zatem, mówiąc szczerze, Dane, uważam, że raczej on jest ci coś winien niż ty jemu.

- Możesz tak uważać - przyznał Blackthorn beznamiętnym tonem. - Ale ja czuję się za niego odpowiedzialny.

- Naprawdę, Dane? - podchwyciła Violet, czując nagły ucisk w gardle. - Czy jest możliwe, że to Furneaux strzelił ci w plecy?

- Nie wiem - odparł Dane udęczonym głosem. Nie spodziewał się, że Vere bezbłędnie wyczuje jego najskrytsze myśli. Ten człowiek miał zdumiewającą zdolność kojarzenia faktów z pozoru niezwiązanych ze sobą. Gideon potrafił trafnie powiązać bliznę na jego plecach z osobą porucznika Furneaux, którego zabrał z Niebieskiego Smoka. Do licha, powinien wiedzieć, że markiz wpadnie na tę myśl. - Nie mam dowodu, że tego nie zrobił. Wiem tylko, że nagle porzucił służbę i okręt, a potem odnalazłem go leżącego w opiumowej śpiączce w najgorszej melinie Londynu.

- I właśnie o to chodzi. - Violet gorączkowo chwyciła Blackthorna za rękaw. - Czy nie dziwi cię, że młody, ambitny człowiek czynu wybrał akurat taki sposób unicestwienia samego siebie? Właśnie otrzymał swoje wymarzone pierwsze dowództwo. Gdyby naprawdę prześladowało go poczucie winy, czyż nie wy-

brałby drogi, która przywróciłaby chwałę jego imieniu? Jak na przykład staranowanie nieprzyjacielskiego okrętu?

- Ona ma rację, stary - powiedział Vere, obdarzając siostrę przeciągłym, posępnym spojrzeniem, od którego ciarki przeszły jej po plecach. - Ja też odnośzę wrażenie, że twój dzielny oficer nie oddał się do browolnie w objęcia opiumowego Morfeusza. Może wiedział o czymś, co ktoś inny chciał za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy. Na Wschodzie znają specyfiki, z pomocą których można zabrać człowiekowi duszę, pozostawiając na wpół żywą cielesną powłokę.

Czarne oczy Blackthorna zabłysły gorączkowo w świetle lampy.

- Jest w tym pewien sens - przyznał. - Furneaux zostaje skutecznie uciszony, lecz nadal żyje. Ci, którzy uczynili z niego żywego trupa, mają gwarancję, że nie zdradzi sekretu. To lepsze niż zbrodnia, bo nikt nie będzie poszukiwał zwłok. I chyba domyślam się, o jaki sekret chodzi - dodał powoli, przypominając sobie dwóch mężczyzn, którzy czyhali na niego w katedrze na Malcie, i tajemniczy pakiet, przekazywany z rąk do rąk. - Furneaux wiedział, kim jest Kruk.

Violet, podobnie jak Gideon, już wcześniej domyślała się, że Dane to powie.

- W takim razie musimy koniecznie przywrócić mu świadomość - stwierdziła z ożywieniem, patrząc na obu mężczyzn. - Gideon, jak możemy mu pomóc?

- Niestety, nie jestem lekarzem - wzruszył ramionami z bezradną miną, której jeszcze u niego nie widziała. Po raz pierwszy Vere nie potrafił wyciągnąć

przysłowiowego asa z rękawa. - Trzeba by się dowiedzieć, jakiego środka użyto. Myślę, że potrzebny byłby ktoś, kto zna się na wschodniej medycynie.

- Znam kogoś takiego! - wykrzyknęła, spoglądając z triumfem na Blackthorna. Jego zgaszone spojrzenie ożywiło się nagle,

- Ja też. W tej chwili przebywa w Devon, w zamku Albermarle - powiedział tonem nie pozostawiającym wątpliwości, iż wie, o kogo chodzi.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Vere. - Czy chcecie powiedzieć, że diuk zaczął studiować wschodnią medycynę?

- Można tak powiedzieć - przytaknęła Violet, wymieniając znaczący uśmiech z Blackthornem. - W każdym razie przestudiował modny traktat o makrobioty-ce. Dokładniej mówiąc, nie chodzi mi o dziadka, tylko o chińskiego kucharza, którego zatrudnił w związku ze swoimi nowymi zainteresowaniami.

- Miałem przyjemność poznać pana Chana - wtrącił Dane. - Kurował moją ranę okładami. Sprawiał wrażenie człowieka mądrego i mającego dużą wiedzę. Pozostaje tylko pytanie, czy jego wielmożność zgodzi się przez jakiś czas obywać się bez swojej ukochanej zupy z wodorostów?

- Och, diuk już jutro może zmienić doktrynę, więc nie ma sensu rozważać takiej kwestii - powiedziała z roztargnieniem Violet, która formułowała już w myśli list do dziadka. - Ważne jest, aby uznał naszą prośbę za interesującą.

- Widzę, że będę musiał popędzić do Albermarle -skrzywił się Vere, unosząc kieliszek w kpiącym toa-

ście. - Nic tak nie zaintryguje naszego dziadka jak widok marnotrawnego wnuka.

Przerwało im energiczne pukanie do drzwi i do pokoju wkroczyła madame Benneau, strojna w suknię o kroju tuniki, uszytą z niebieskiego muślinu uwytatniającego ponętne kształty.

- Ach, *madame la comtesse*, widzę, że zaznajomiła się pani z moją kolekcją - oznajmiła wesoło, zamykając za sobą drzwi. - Jak pani widzi, jeden okaz jest nieco uszkodzony, *n'est pas?* Ale szybko dojdzie do siebie. Proszę - ujęła Violet pod ramię. - Chciałabym przedstawić pani *mes amis*. *Monsieur* Morin i *monsieur* Despaigne bardzo pragną panią poznać. - Za drzwiami, na korytarzu, stała pokojówka. Gabrielle zerknęła przez ramię na Biackthorna. - Sprowadziłam Maggie, żeby posiedziała przy chorym. - Ty i *le marquis* musicie także iść z nami.

Vere, który wstał na widok Gabrielle, podszedł do pokojówki.

- Masz, dziecko - powiedział, wręczając jej trzymany w dwóch palcach płat mięsa - usmaż to dla niego.

- Tak, wasza wielmożność - zachichotała Maggie, dygając. - Może dobre jadlo wyrwie go z otępienia.

Niestety, z każdym dniem upadała w nich nadzieja, że porucznik Furneaux wyrwie się z tajemniczej otchłani, która go więziła. Violet stała się częstym gościem w domu przy Berners Street i przyłączyła się do czuwania przy chorym. Ona jedyna była przekonana, że w ciele pozornie pozbawionym życia kołacze się dusza, która jeszcze nie zgasła. Przysięgłaby, że dostrzegła nikły cień ożywienia w niewidzących

oczach, kiedy Blackthorn podtrzymywał porucznika w pozycji siedzącej, a ona w tym czasie karmiła go rosółem.

Postanowiła nie dopuścić, aby chory pogrzązał się jeszcze głębiej w swojej mrocznej otchłani, i zaczęła czytać mu książki - te najbardziej pogodne, zabawne, których bohaterowie byli szczęśliwi. Od czasu do czasu w nadziei, że ożywi się, słysząc o znanych mu sprawach, czytała mu wiadomości z prasy, dotyczące morskiej blokady oraz angielskiej floty.

Lecz nie tylko Furneaux zabierał jej czas w tym domu. Szybko przekonała się, że madame Benneau jest osobą inteligentną, pełną ciepła i zrozumienia. Polubiła też jej przyjaciół, Morina i Despagne'a - za cięte riposty, błyskotliwą erudycję i wspaniałe poczucie humoru - cechy, których próżno by szukać u mężczyzn, zabawiających ją rozmową na salonach. Gdyby nie tragedia nieszczęsnego Furneaux, Violet czułaby się absolutnie szczęśliwa. Iście rodzinna, serdeczna atmosfera tego przytulnego domu przywróciła jej zepchnięte w niepamięć wspomnienia czasów, gdy jeszcze żyli rodzice.

Po raz pierwszy od kiedy jej siostra Elfrida wyszła za mąż i wyprowadziła się z zamku Albermarle, Violet znalazła pokrewną, kobiecą duszę.

Wkrótce obie kobiety były w tak dobrej komitywie, iż stało się jasne, że lada chwila wypłynie temat Lynette i Philippe'a. Pewnego dnia w sposób absolutnie naturalny uczyniła to sama Gabrielle. Gdy siedziały w saloniku przy herbacie, zapytała po prostu, czy następnym razem Violet mogłaby przyprowadzić

chłopca. W końcu była jego matką chrzestną i nie widziała dziecka od czasu tragicznej śmierci Lynette.

- Biedna Lynette. Jakże mi jej brakuje - westchnęła Gabrielle, smutno kręcąc głową. - Wierzę, iż znalazła upragniony spokój. Nigdy nie mogłam jej wytłumaczyć, że sami tworzymy swoje szczęście. *C'est dommage*, szkoda, że nie zdołała go zaznać. Myślę, że zbyt wiele w życiu straciła, biedactwo. Może gdyby Dane nie był ciągle tak daleko od niej... - wzruszyła ramionami. - Cóż, tak pewnie musiało być. Przynajmniej miała Philippe'a.

- No właśnie, miała synka - przytaknęła Violet, zastanawiając się, czego mogła się obawiać Lynette. Z pewnością drżała o życie Dane'a i jak wszystkie żony żeglarzy wyczekiwała jego powrotu. A poza tym? - Nie poznasz swojego chrześniaka - powiedziała głośno. - Zdażył się zmienić nawet od czasu, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam, a było to niecały miesiąc temu.

¹ - Ma szczęście, że trafił na ciebie, Violet - uśmiechnęła się Gabrielle. - Podobnie jak Dane. On również bardzo się zmienił, choć pewnie o tym nie wie. Nie puszczaj go na morze, *ma chérie*. Wiem, co mówię, bo straciłam męża. ■ ;■-■ ■■

Nie takiej rady Violet oczekiwała od kobiety, która znała Dane'a o wiele dłużej niż ona sama. Zaskoczona i poruszona, wstała z krzesła i podeszła do okna. Po ulicy kręcili się artyści, niosący swoje przybory i sztalugi.

- Nie masz racji, Gabrielle - powiedziała nerwowo. - On musi wrócić na morze. Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć.

- Ja? Dlaczego? - Francuzka wykonała okrągły gest drobną, wypięknowaną dłonią. - Jestem madame Benneau z *Le Societe des Philosophes du Jardin*, Wi dzę dwoje ludzi i myślę, że bardzo się kochają. Nie wielu ma takie szczęście, *ma, cherie*. A szczęście w mi łości to najpiękniejsza rzecz na świecie i zbrodnią by łyby je zmarnować.

Violet milczała. Nie mogła powiedzieć tej miłej kobiecie, że jest w błędzie. Że owszem, kocha Dane'a, lecz on nie kocha jej. Jego sercem na zawsze zawładnęło morze i tylko życie na pokładzie okrętu ma dla niego sens. Podobnie jak wcześniej Lynette, będzie musiała podporządkować się jego racjom.

- Tak, Gabrielle - przyznała Violet. - Zbrodnią by łyby zmarnować szczęście drugiego człowieka. Dlatego całym sercem pragnę, aby Blackthorn odzyskał do wództwo i znów wyruszył w rejs.

Jeszcze tego samego dnia zjawił się pan Chan, przywieziony przez Vere'a z Albermarle. Drobnny, żywy Chińczyk o mądrym spojrzeniu z uśmiechem poinformował lady Blackthorn, że jej dziadek pozostaje w znakomitym zdrowiu i pod nieobecność swego mistrza będzie postępował według jego światłych wskazówek.

- Miło to słyszeć, panie Chan - odpowiedziała Violet, prowadząc go do sypialni madame Benneau, gdzie czekali już Blackthorn i Vere.

- Zobaczmy, co się da zrobić - powiedział Chińczyk po starannym zbadaniu chorego ze szczególnym uwzględnieniem tęczy i paznokci u rąk. - Przywiozłem ze sobą zioła. Całe szczęście, że jesteśmy w Londynie, gdzie w chińskiej dzielnicy będzie moż-

na nabyć potrzebną żywność. Przygotuję listę zakupów. Czy mogliby mnie teraz państwo zostawić z pacjentem?

- Wierzę, że porucznik Furneaux jest w dobrych rękach - powiedziała Violet do Blackthorna, gdy zamknęli za sobą drzwi sypialni. - Martwi mnie tylko jedno: pamiętam, jak dziadek mówił, że te wszystkie orientalne kuracje wymagają wiele czasu, zanim dadzą wyniki. Co nie powinno dziwić, skoro mają doprowadzić do zrównoważenia energii ciała i umysłu. Mogą więc minąć tygodnie, a może miesiące, zanim Furneaux odzyska choć odrobinę swojej osobowości, o ile w ogóle powróci do zdrowia.

- Obawiam się, że nie będziemy w stanie czekać aż tak długo - stwierdził ponuro Blackthorn. Czas płynął nieubłaganie, a ich śledztwo praktycznie nie posunęło się naprzód. - Przed chwilą przyszło mi do głowy, że właściciel Niebieskiego Smoka z pewnością już zameldował swoim przełożonym - kimkolwiek by oni byli - że Furtieaux został zabrany. Kruk będzie więc go szukał. Jak myślisz, ile czasu zajmie mu wyśledzenie, że porucznik znajduje się tutaj?

- Nie mam pojęcia, Dane - odrzekła Violet, wzdrygając się mimowolnie. - Nie pojmuję, dlaczego Kruk w ogóle miałby go szukać. Przecież właściciel Niebieskiego Smoka nie mógł cię znać. Jak więc ten agent miałby połączyć osobę Gabrielle Benneau z Furneaux?

- Dlatego, moja najdroższa siostrzyczko - odezwał się Vere, wychodząc z gotowalni, w której zniknął na pewien czas w towarzystwie gospodyni - że pan Wu zna mnie. Stąd już tylko krok, by skojarzyć moją zna-

jomość z Blackthornem, który nie tylko jest mężem mojej siostry, ale i niedawnym przełożonym nieszczęsnego porucznika.

- I tak, drogą dedukcji, dochodzimy do domu przy Berners Street - dokończył Dane. - I mamy dylemat. Powinniśmy jak najszybciej zabrać stąd naszego pacjenta, aby nie narażać i jego, i Gabrielle.

- Albo? - rzuciła z niepokojem Violet, przekonana, że przenoszenie porucznika Furneaux w momencie, gdy pan Chan rozpoczął kurację, byłoby z gruntu nierozsądne. - Skoro wspomniałeś o dylemacie, musiałeś rozważać jeszcze inne wyjście, czy tak?

- Owszem - przyznał, zerkając na nią czujnie spod oka. - Pomyślałem, że tak długo, jak porucznik jest pod naszą opieką, nie musimy się spieszyć z poznaniem tajemnicy, którą nosi w sobie. Natomiast Kruk nie ma pewności, czy-Furneaux już nam jej nie zdradził.

- Nadal nie rozumiem, jaka może być korzyść z tej wątpliwej przewagi - stwierdziła Violet, przechodząc razem z mężczyznami do saloniku, gdzie Gabrielle niecierpliwie oczekiwała na diagnozę pana Chana. -Jeżeli Kruk uzna, że Furneaux nie zdradził nam jeszcze swojej tajemnicy, i tak będzie się obawiał, iż prędzej czy później to zrobi, a zatem zechce jak najszybciej uciszyć go na zawsze. Jeśli natomiast przyjmie, że Furneaux powiedział nam wszystko, co wie, jedynym rozsądnym wyjściem dla szpiega będzie ucieczka z kraju. W przeciwnym wypadku musiałby zabić wszystkich, którzy przebywali w tym domu od czasu, gdy przywieźliście tu porucznika i mogliście coś od niego usłyszeć. Przyznacie sami, że takie posunie-

cie nie ma żadnego sensu, a Kruk nie jest wszak durniem.

- Jak zwykle podsumowałaś sytuację z druzgoczą-cą logiką, moja ty czarodziejko - powiedział z uznaniem Blackthorn, nagradzając Violet uśmiechem, który ostatnio rzadko gościł na jego wargach.

- Miło mi słyszeć pochwałę z twoich ust, kapitanie - odparła, posłusznie siadając na krzeselku, które jej podsunął. - Ale nawet najmiłszy komplement nie zwalnia cię od odpowiedzi, której jeszcze mi nie udzieliłeś. -Jakie jest według ciebie drugie wyjście?

- ja też chciałabym znać odpowiedź, *mon ami* -wtrąciła Gabrielle, która w przeciwieństwie do Violet nie była pewna, czy *Le Corbeau* uzna wymordowanie ich wszystkich za nierozsądny krok. - Zdradź nam wreszcie, jaki masz plan!

- Popieram - oznajmił Vere, sadowiac się na sofie obok Gabrielle. Nie uszło uwagi Violet, że jego ramię spoczęło na oparciu tuż za plecami Francuzki. Bez specjalnego zdziwienia stwierdziła, że znajomość jej brata z ponętą wyznawczynią epikureizmu musi być bliższa, niż się jej wcześniej wydawało. Wszak był markizem Vere, wcielonym diabłem, magnetycznie oddziałującym na kobiety.

Vere wyciągnął przed siebie długie nogi i rozparł się wygodniej, jeszcze bardziej przybliżając się do Gabrielle.

- Przyznaję, że nie przychodzi mi do głowy, jak można obrócić niepewność Kruka na naszą korzyść - powiedział. - Umieram z ciekawości, co też wymyśliłeś.

- Pomyślałem, że trzeba zwabić go w pułapkę - wyjaśnił Blackthorn, stając przy kominku i opierając się

łokciem o gzyms. - Nawet jeśli nie wiem, kim jest zdrajca, w prosty sposób mogę dać mu do zrozumienia, iż znam jego tajemnicę. Mało tego, nawet zasugerować, że przekażę tę wiadomość Admiralicji w zamian za odstąpienie od zarzutów wobec mnie.

- Niech cię ręka boska broni! - wykrzyknęła Vio-let, podrywając się z krzesła. Nagle z przerażającą jasnością pojęła, co knuje jej ukochany kapitan. W kilku krokach znalazła się przed nim i chwyciła go za kłapy. - Chcesz sam wystawić się na przynętę, tak? Ten zbrodniarz już dwa razy o mało nie wyprawił cię na tamten świat i nie pozwolę, aby zyskał okazję zrobienia tego po raz trzeci, tym razem skutecznie. Dlaczego po prostu nie zostawisz go w spokoju?

- Ponieważ, moja słodka, bojowa Violet - rzekł, więżąc jej przeguby w żelaznym uścisku - ujawnienie tożsamości Kruka jest dla mnie jedynym sposobem uwolnienia się od zarzutów. Wiem, że łapanie przestępców należy do władz, ale mam jeszcze dług wobec Lynette i muszę go spłacić. Obiecałem to sobie i jej.

Violet przymknęła oczy. Taki argument musiał paść i była wobec niego bezsilna. Dane, tak jak wiele razy wcześniej, znów zechce ryzykować życie w imię swoich honorowych racji.

- A co będzie z Philippe'em, jeśli straci ojca? - zapytała w nadziei, że przekona męża. Jednak wyraz twarzy Blackthorna powiedział jej wszystko. Jak zawsze na wzmiankę o chłopcu sposepniał i zamknął się w sobie, jakby zatrzaskiwał drzwi, które nieopatrznie spróbowała otworzyć.

- Philippe będzie rósł tak samo dobrze ze mną, jak

i bez mnie - stwierdził sucho, odsuwając od siebie Violet. - W razie czego będzie miał ciebie. Zaskarbiłaś sobie jego względy, więc obejdziesz się bez ojca, zwłaszcza że i tak prawie go nie zna.

Violet miała poczucie, jakby wymierzono jej policzek. Z rozpaczą zacisnęła dłonie w pięści, gotowa do gorzkiej riposty, ale powstrzymała się siłą woli. Musi zrozumieć, że ten człowiek nie będzie sobą, jeśli do końca nie rozliczy się z przeszłością.

- Wybacz mi - powiedziała, odwracając wzrok od jego twarzy. - Naturalnie masz rację i uczynisz, jak zechcesz. Sama ukułam teorię, że wszystko, co się z nami dzieje, jest rezultatem długiego łańcucha znaczących zdarzeń, więc nie powinnam jej podważać. "W jaki sposób zamierzasz zastawić pułapkę?"

Blackthorn dostrzegł skrywany ból w twarzy Violet i błysk lęku w fiołkowych oczach. Czuł się okropnie w roli brutala i bezdusznego egoisty. Za nic na świecie nie chciałby zranić tej cudownej kobiety, która nigdy nikogo nie skrzywdziła, a która teraz drżała z obawy o jego życie. A jednocześnie był bezsilny. Violet nie zdawała sobie do końca sprawy, że nikt z nich nie może się poczuć bezpieczny, dopóki sprawa Kruka nie zostanie ostatecznie wyjaśniona. Dane przeklinał w myśli dramatyczne wydarzenia, zapoczątkowane incydem w katedrze na Malcie. Piekło i szatani! Tyle pytań czekało na odpowiedź!

- Mam zamiar wysłać wiadomość do dwóch ludzi, którzy wydają się w ten czy w inny sposób zamieszać ni w szpiegowską aferę Kruka - powiedział, nie spuszczać wzroku z Violet odwróconej do niego bokiem.

- Niech zgadnę - rzucił Vere. Przystojne rysy były skupione, poważne. - Landford, to jasne. I Granyille.

- *Alors!* - wykrzyknęła Gabrielle z ożywieniem. - Nie myślę, żeby któryś z nich był *Le Corbeau*. Jeden jest za powolny, a drugi za stary.

- Blackthorn nie podejrzewa, aby Granville był agentem - wyjaśnił Vere, mierząc earla uważnym spojrzeniem spod przymkniętych powiek. - Aby wykraść rządowe tajemnice, nie trzeba zresztą być szczególnie szybkim *czy* sprawnym. Wystarczy mieć *do* nich dostęp poprzez swoje koneksje i być człowiekiem pozbawionym skrupułów. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wiceadmirał Landford zaszczyci swą obecnością nasze skromne grono.

Violet całkowicie zgadzała się z bratem co do Landforda. Gdyby zjawił się tutaj, znęcenie Kruka do pułapki poszłoby łatwiej. Tymczasem w jej rozgorączkowanym umyśle pojawiły się nowe podejrzania, które przerażały ją samą. Uporczywa, nie dająca się stłumić myśl wskazywała na madame Gabrielle Benneau. Jeśli się zastanowić, Francuzka mogła bez trudu zarówno gromadzić tajne wiadomości, jak i kierować szpiegowską siatką. Jej filozoficzny krąg, powołujący się na modne, rewolucyjne hasła równości, wolności i braterstwa, gromadził nie tylko francuskich emigrantów politycznych, ale i wpływowych angielskich dżentelmenów, zwabionych urokiem jego przywódczyni.

Nawet Granville zaprzyjaźnił się z nią, nie mówiąc już o Landfordzie. Kontradmirał był stałym gościem domu przy Berners Street.

Violet zaczęła zastanawiać się, czy to nie Gabrielle

Benneau, przesiadująca przez całą noc przy poruczniku Furneaux, zadbała, aby ten niczego nie zdradził. Oczywiście wyobraźni zobaczyła Francuzkę, jak bez świadków podaje choremu otumaniające specyfiki. W ten sposób zyskiwała również pretekst, aby zatrzymać Blackthorna u siebie. I może Vere'a?

Ponadto znała Philippe'a Lamberta i Lynette. Czy jest możliwe, aby Lynette przypadkiem wpadła na trop zakazanej działalności przyjaciółki i zagroziła Gabrielle, że powie o wszystkim Dane'owi? Wcześniej ponętna Francuzka mogła uwieść jego pierwszego oficera i namówić go do zdrady. Może to właśnie z Krukiem Furneaux miał umówione spotkanie na Malcie? Czy wtedy skłoniono go - groźbą lub przekupstwem - by zamordował swojego kapitana?

Tok rozumowania Violet nabierał niebezpiecznego tempa. Zimna logika podpowiadała jej, iż zamaskowanym osobnikiem, który napadł sir Henry'ego w jego rezydencji, mógł być Paul Despaigne lub Jean Morin albo inna osoba z kółka madame Benneau. Wszak Dane miał wrażenie, że mężczyzna umyślnie zmienił głos, aby nie zostać rozpoznany. Co prawda żaden z Francuzów nie był gościem na tamtym pamiętnym przyjęciu, lecz mógł wkraść się tam niepostrzeżenie, tak jak uczynił to Blackthorn, i w ten sam sposób uciec.

Wielki Boże, wszystkie elementy układanki pasują do siebie, myślała rozgorączkowana Violet, obserwując skrycie Gabrielle, która z ochotą deklarowała pomoc w zastawieniu pułapki na Kruka. Czyżby aż tak pomyliła się w ocenie Francuzki, którą polubiła już na samym początku znajomości?

Jednak, tłumaczyła sobie, najlepsi agenci muszą być jednocześnie świetnymi aktorami, tak by zjednać sobie ludzi i zyskać na nich wpływ. Piękna madame Benneau, o całe pięć lat starsza od niej, potrafiła oszołomić każdego mężczyznę, czego przykładem był choćby jej brat. Sama widziała, jak cyniczny Gideon, którego dotąd nie zdołała usidlić żadna kobieta, skrycie wodził za Francuzką zakochanym wzrokiem.

Dalsze rozmyślenia przerwał jej Blackthorn, który *od* dłuższego czasu obserwował żonę z uwagą, jakby wyczuwał, że w duszy jego czarodziejki dzieje się coś niedobrego. Kiedy pan Chan przekazał wiadomość, że przywracanie porucznika Furneaux do życia może potrwać długo, Dane podszedł do żony i położył jej dłoń na ramieniu.

- Violet - zaczął bez wstępów - chcę, żebyś zaraz pojechała do domu i została tam z Philippe'em, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Proszę, nie oponuj -dodał szybko, widząc sprzeciw w jej oczach. - Mamy mało czasu. Musisz stąd zniknąć, zanim pojawi się Kruk. Jeśli mój plan ma się powieść, wolałbym się nie rozpraszać z powodu troski o twoje bezpieczeństwo.

- Ale ja mam prawo być tutaj, kiedy stawisz czoła Landfordowi i Krukowi - upierała się Violet. - Chyba już zapomniałeś, co znaleźliśmy w tajnej komnacie kontradmirała. Poza tym...

Chciała poprosić Dane'a na stronę, aby przedstawić mu swoje podejrzenia dotyczące Gabrielle, a przynajmniej ostrzec go przed nią. Jednak Blackthorn *nie miał* już ochoty jej słuchać.

- Zostaw to mnie, kochanie - powiedział, biorąc

Violet w ramiona. - Nie zdajesz sobie sprawy, z jak bezwzględny przestępcami mamy do czynienia. Jeśli *Le Corbeau* zjawi się tutaj, będzie myślał tylko o jednym: aby uśmiercić mnie, zanim przybędą Land-ford i Granville. Wróć do domu, Violet, i czekaj na mnie. Obiecałeś przecież, że będziesz mi ufać.

- Powinnaś go posłuchać, *cherie* ~ powiedziała ma dame Benneau, stając przy nich. - Ten twój admirał jest bardzo głupi, ale nie zawaha się przed niczym, na wet przed zbrodnią. Nawet jako pionek w tej grze może być niebezpieczny. Jedź, kochana. Wkrótce wszystko się wyjaśni.

Violet wzruszyła ramionami z urażoną miną, ale czuła, że nie ma wyjścia. Blackthorn pomógł jej założyć pelisę i razem zeszli na dół do czekającej przed domem karety.

- Obiecuj mi, że pojedziesz prosto do Devon i nie będziesz się stamtąd ruszać - powiedział, tuląc Violet do siebie.

- Obiecuję, Dane - wyszeptła, tracąc całą złość w objęciach swego ukochanego kapitana. - A ty daj mi słowo, że będziesz uważał na siebie.

- Daję ci słowo. - Chryste, jego czarodziejka jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, jak w tej chwili. Czemu nie może po prostu pojechać z nią i cieszyć się jej bliskością, zapominając o Kruku i wszystkich nierozwiązanych sprawach? Piekło i szatani!

Violet przywarła do niego w pożegnalnym uścisku. Pocałował ją krótko, łączywie, a potem z trudem odsunął od siebie i podsadził na stopień.

- Powiedz Murdochowi, że odpowiada głową za

twoje bezpieczeństwo - rzucił, zatrzasnął drzwi i dając stangretowi znak, by odjeżdżał.

A jednak kiedy Violet zajęła się do domu przy Gros-venor Square, nie zastała tam potężnego marynarza.

- Bardzo mi przykro, milady - oznajmił Potter, odbierając od niej okrycie - ale pan Murdoch nie raczył powiedzieć, dokąd idzie. Rano zjawił się pewien... ehm, dżentelmen, który pytał o niego. Pan Murdoch bardzo się ucieszył na jego widok, a nawet, powiedziałbym, wpadł w ekscytację. Wkrótce potem odjechali razem dorożką.

- Co to za dżentelmen? - zapytała Violet, ściągając rękawiczki.

- Wyglądał jak człowiek morza, milady. Słyszałem, jak mówił coś o starej „Antiope” i pomocy dla kapitana, dodając, że trzeba się spieszyć. Niestety, więcej nie wiem.

- Dobrze, Potter - skinęła mu głową i ruszyła ku schodom.
- Będę w swoim pokoju.

Violet zmarszczyła brwi i szybko weszła na górę. Pierwsze kroki skierowała do dziennego pokoju Phi-lippe'a. Chłopiec skakał po całym pomieszczeniu na swoim koniku na biegunach, odgrywając bitwę pod¹ Azincourt*.

- Patrz, *maman Violette*, jestem rycerz d'Albert. Mój rumak grzęźnie w bagnie. A pan Greene jest łucznikiem króla Henryka i zaraz mnie zastrzeli.

¹ Bitwa pod Azincourt - słynna bitwa z okresu wojny stuletniej, którą stoczył w 1415 roku król Anglii Henryk V, wygrywając z Francuzami dzięki przewadze swoich łuczników - przyp. tłum.

- Ale zanim zginiesz, pokonasz jeszcze wielu wrogów, mój dzielny rycerzu - uśmiechnęła się Violet, dając znak nauczycielowi, aby wypuścił wymyśloną strzałę.

Philippe dramatycznie chwycił się za pierś i z łomotem zwał z konia, wydając ostatnie bohaterskie technienie.

- Brawo! - pochwaliła, wzywając do siebie gestem pana Greene'a. - Na chwilę porywam twojego łucznika, bo muszę zamienić z nim parę słów - powiedziała do chłopca. - Zaraz do ciebie wróci.

- Timothy - zwróciła się do preceptora - mam prośbę, abyś przez resztę dnia pozostał z Philippe'em w domu, najlepiej w jego pokoju lub w tej sali. Nic się nie stało, lecz earl otrzymał anonimowe pogróżki i uznałam, że należy starannie pilnować dziecka.

- Naturalnie, zrobię, o co pani prosi, miłady - zapewnił pan Greene, nagle poważniejąc. Widać było, że na usta cisną mu się pytania, ale dobre wychowanie nakazywało mu ich nie zadawać. - Może pani na mnie liczyć.

Violet przeżywała katusze niepewności, rozdarta między niepokojem o Blackthorna a gniewem z powodu swojego przymusowego azylu. Próbowła czytać książkę, ale nie rozumiała ani słowa. Przyniesiono kolację, lecz zostawiła tacę nietkniętą. To siadała w fotelu, to chodziła nerwowo po pokoju, aż wreszcie przypomniała sobie, że nie przeczytała Philippe'owi bajki na dobranoc.

Było już po dziesiątej i dziecko z pewnością spało, lecz Violet, nie mogąc wysiedzieć w miejscu, chwyci-

la lichtarz i skierowała się do dziecięcego pokoju. Szła długim korytarzem, mijając kolejne drzwi i notując w myśli, że koniecznie należy wymienić stare, adamszkowe obicia mebli, utrzymane w ponurej krwa-wo-złotej tonacji. Całe szczęście, że zdołała chociaż urządzić na nowo pokój Philippe'a, nadając mu pogodny, pastelowy wystrój. Nagle poczuła, że pragnie po prostu zobaczyć chłopca i utulić go serdecznie, jak mogłaby to uczynić matka. Miał wiele cech ojca - te same czarne oczy, ciemną, gęstą czuprynę i mocny zarys podbródka, zwiastujący męski charakter.

Przekręciła gałkę drzwi i uniosła wyżej lichtarz. Chwiejny blask świec wypełnił wnętrze pomieszczenia i przez chwilę miała wrażenie, że pokój wyskoczył jej na spotkanie. W ułamku sekundy dostrzegła w głębi postać, stojącą nad łóżeczkiem, i pomyślała, że pan Greene aż nazbyt gorliwie wypełnia jej prośbę, czuwając przy chłopcu.

Gdy otworzyła usta, aby go przywołać, ciemna postać odwróciła się ku niej.

Violet zamarła, czując, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

- To ty! - powiedziała z ostateczną pewnością. - Do diabła, powinnam się wcześniej domyślić.

Wysoką postać mężczyzny spowijała czarna, sięgająca ziemi opończa. Nawet gdyby nie zsunął z głowy kaptura i nie zdjął maski z twarzy, i tak by go poznała ~ po tych niezwykłych, orzechowych oczach, które lśniły jak stop płynnego metalu. Tylko teraz, co spostrzegła z drżeniem, w ich spojrzeniu nie było nic z poczciwej bezradności.

- Porucznik Alastair Cordell - powiedziała z lodowatym spokojem, dramatycznie kontrastującym z dzikim lękiem, który zmroził jej serce. To on był Krukiem, agentem *Le Corbeau* - i pochylał się nad śpiącym chłopcem!

- Lady Blackthorn - porucznik skłonił się dwornie. - Proszę wejść i zamknąć za sobą drzwi, jeśli można - dodał bez śladu jękania.

- Nie zrobię tego - odparła stanowczo. Liczyła, że może ktoś ich usłyszy. Niania Tidwell spała w sąsiednim pokoju, a pan Greene mieszkał po drugiej stronie korytarza. - To pan ma stąd wyjść, natychmiast! Nie pozwolę, by niepokoił pan mojego syna, poruczniku.

- Twojego syna, lady Blackthorn? - w napiętej ciszy rozbrzmiał szyderczy śmiech.

Violet z najwyższym przerażeniem pojęła, że Kruk nie zjawił się w pokoju Philippe'a przypadkiem. Na szczęście nie zdążył uczynić dziecku krzywdy. I nie uczyni. Violet była gotowa bronić Philippe'a ze wszystkich sił.

- Tak, mojego syna, porucznika - potwierdziła z naciskiem.
- A teraz proszę, abyś stąd wyszedł. W przeciwnym przypadku będę zmuszona wezwać *pomoc*.

- Nikt ci nie pomoże, lady Blackthorn. Marynarza nie ma w domu, a twój sędziwy lokaj dostanie zadyszki, kiedy będzie próbował wejść na schody. Zaś co do nauczyciela... cóż, nie strzegł chłopaka tak, jak należało.

Violet poczuła mdlący ucisk w żołądku. Dopiero teraz dostrzegła nieruchomą postać Timothy'ego Greene'a, leżącą na podłodze przy łóżku.

- Ty draniu! - wybuchnęła. - Co mu zrobiłeś? Jeżeli...

- On żyje, przynajmniej na razie. Niestety, nie był zachwycony moją obecnością, więc musiałem go uciszyć. Na razie jest pogrążony w błogim stanie nieświadomości, a później może co najwyżej odczuwać ból głowy. Natomiast ty, piękna pani, nie będziesz miała tyle szczęścia. Doprawdy, szkoda. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo podziwiałem cię z daleka. Muszę przyznać, że earl zawsze miał diabelne szczęście do kobiet i tego jednego szczerze mu zazdrościłem. A szkoda, bo mógłbym nauczyć cię wielu sztuczek, które słodka Lynette wyprawiała w moim łóżku. Zapewniam cię, że potrafiłem zaspokoić ją lepiej niż małżonek. Spędziliśmy razem więcej czasu, niż trwały jej małżeńskie powinności. Była ze mną, zanim uciekła z Francji ze swoim ukochanym kapitanem.

- To ty wykorzystałeś ją, kiedy nie miała u swego boku nikogo, kto by ją chronił - powiedziała z odrazą Violet, po raz pierwszy w pełni uświadamiając sobie, jak tragiczne było życie Lynette. - Ona uciekała z Francji przed tobą, a nie przed rewolucyjnym terrorem. Teraz rozumiem, co musiała czuć, kiedy w Anglii znów stanąłeś na jej drodze jak upiór z przeszłości, którą pragnęła na zawsze pożegnać. Czym ją zaszantażowa-leś? Zagroziłeś, że zabijesz syna Dane'a?

- Nie, zagroziłem, że zabiję kapitana, a wcześniej wszcząłem działania w celu zniszczenia jego kariery i wszystkiego, na czym mu zależało. Przyznaję, powinienem już wtedy zabić jego syna - albo dziecko, które uważano za jego syna.

- Philippe jest jego synem - oświadczyła z mocą Violet, przerażona niegodziwością tego człowieka. -Każdy, kto patrzy na niego, widzi, że jest prawym wicehrabią Fennington i dziedzicem Blackthorn. Twoje podłe kłamstwa nie zmienią niczego, Cordell.

- Doprawdy, milady? - zapytał szyderczo. - W takim razie zapytaj swojego kochanego Blackthorna, czy Philippe jest jego synem. Niech ci zdradzi, co powiedziała mu Lynette. Ach, co ja mówię! Przecież nie zobaczysz już swojego mężusia. - Zaczął powoli iść ku Violet, nie kryjąc swoich zamiarów. - Ciekawe, czy szanowny earl będzie zachwycony, gdy przed śmiercią dowie się, czym naprawdę dzieckiem jest jego mały dziedzic!

Cofała się krok po kroku, a Cordell szedł za nią, upojony własną tyradą, nie zauważając, że Violet odciąga go coraz dalej od śpiącego chłopca.

- Nie masz pojęcia, jak się raduję na myśl, że znów

zobaczę Paryż i zażyję światowego życia - mówił, zbliżając się ku niej niespiesznie jak drapieżnik osaczający ofiarę.

Violet wstrzymała oddech, tyłem przekraczając próg pokoju. Jeszcze chwila, a ciśnie mu w twarz świecznik i ucieknie korytarzem.

- Przybyłem tu w zamiarze zabicia tego bękarta, jak obiecałem Lynette - ciągnął porucznik. - Jednak zmieniłem zdanie. Lepiej będzie zabić ciebie i zostawić Blackthorna z bękartem, którego znienawidzi do reszty, nie uważasz? - dodał, przestępując próg.

Violet cisnęła Krukowi w twarz masywny lichtarz z płonącymi świecami. Cordell wrzasnął przeraźliwie, zasłaniając dłońmi oczy, i zatoczył się pod ścianę. Violet gwałtownie rzuciła się do tyłu, prosto w ramiona Blackthorna.

- Philippe! - wykrzyknął Dane, odsuwając żonę od siebie na odległość ramion i badając wzrokiem jej twarz. Z pokoju dobiegł zaniepokojony głos chłopca, który obudził się i wołał swoją *mamon*.

- Nic mu się nie stało, Dane, przysięgam. Odciągnęłam Cordella, zanim zdążył zrobić dziecku krzywdę. On jest szalony. Chciał zabić Philippe'a.

Zadrżała, widząc błysk wściekłości w oczach Blackthorna. Jednym ruchem odsunął ją od siebie.

- Idź do dziecka - polecił, ruszając w stronę ciemnej postaci, słaniającej się w korytarzu. - Woła ciebie.

Violet ze zgrozą dostrzegła w ręku Cordella nóż. W chwilę potem Dane zasłonił sobą mordercę.

- Brakowało nam ciebie na spotkaniu u madame Benneau! - rzekł Blackthorn donośnym głosem. Violet

let tkwiła z miejsca, sparaliżowana z przerażenia. -Na szczęście sir Henry przybył w samą porę, aby zdradzić nam to, czego już dawno powinniśmy się domyślać. Kiedy zrozumiałem wszystko, wiedziałem, gdzie trzeba cię szukać. Nie wystarczyło ci zamordowanie Lynette, Cordell. Potrzebowałeś jeszcze uczynić to samo z dzieckiem, aby oboje na zawsze zniknęli z twojego życia.

- Głupia, myślała, że uciekając z Francji, ucieknie ode mnie - warknął Cordell. Przystojna twarz, zniekształcona nienawiścią, nie przypominała już nieśmiałego oblicza jękającego się porucznika, który podczas balu u lady Stanhope usiłował wyciągnąć od Violet informacje na temat Philippe'a. - Ona należała do mnie i nic nie mogło tego zmienić. Poprzysiągłem sobie, że zabiję i ją, i tego bachora, jeśli powie ci choć słowo o mnie. Na nieszczęście nie miałem pewności, czy usłuźnie nie uczynił tego Lambert, kiedy odwiedziłeś go w więzieniu na Malcie. Oczywiście nie mogłem pozwolić, abyś dalej chodził po tym świecie.

- Oczywiście, że nie - przytaknął Blackthorn. Stał, z pozoru rozluźniony, z opuszczonymi ramionami, a w rzeczywistości sprężony jak drapieznik gotów do ataku. - Ani też nie mogłeś liczyć, że Lynette zachowa tajemnicę, kiedy zaczęła się chwalić, że strzeliłaś mi w plecy na pokładzie mojego własnego statku. Ona wiedziała, że po tym przyjdzie kolej na nią i na Philippe'a.

- Ta suka ukryła dzieciaka, zanim zdążyłem zrobić, co obiecałem - warknął Cordell, obserwując Dane'a spod zmrużonych powiek. - Ale przynajmniej ciebie ześlę do piekieł!

W dłoni Kruka błysnął sztylet. Zaatakował, mierząc w pierś Blackthorna. Dalej "wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Dane uchylił się i w tym samym momencie jego palce zacisnęły się na przegubie Cordella. Dane pchnął przeciwnika na ścianę, kierując ostrze ku jego piersi. Violet, skamieniała ze zgrozy, patrzyła, jak stężała twarz mordercy zmienia się w maskę czystej nienawiści,

- Na co czekasz - wydyszał. - Tak, zabiłem Lynette i zamierzałem zabić twoją bezcenną lady Blackthorn. Przedtem chciałem posmakować jej wdzięków. Miała sama błagać mnie, żebym ją uśmiercił, zanim jeszcze zdążyłbym się nią nacieszyć.

Cordell zamilkł, tak straszne stało się spojrzenie Blackthorna. Stalowe palce zdwoiły uścisk. Nóż wysunął się z bezwładnej dłoni Kruka i z metalicznym trzaskiem upadł na podłogę.

- Zabić ciebie to zbyt proste - powiedział Dane z bezbrzeżną pogardą. - Chcę cię widzieć na szubienicy, Cordell. Chcę patrzeć, jak twoje ciało tam gni je, bo ziemia nie przyjmie takiego zbrodniarza jak ty.

Dane podbiegł do Violet, chwytając ją w objęcia. Żadne z nich nie widziało, jak Cordell sięga do kieszeni płaszcza, wyciąga pistolet i mierzy Blackthorno-wi w plecy.

Wystrzał rozbrzmiał przeraźliwym echem w wąskim korytarzu.

Ciało Cordella drgnęło, osunęło się pod ścianę i znieruchomiało. Na martwej twarzy zastygł wyraz zaskoczenia. Szeroko otwarte, nieruchome oczy wpatrywały się w sufit.

- Wybacz, Blackthorn - powiedział Vere, wychodząc z cienia i stając nad zabitym z dymiącym pistoletem w ręce. - Stwierdziłem, że nie pozwolę mu zastrzelić ciebie, staruszk. - Tracił martwe ciało czubkiem buta. - Czekaj nas jeszcze rewanżowy pojedynek w klubie Gentlemana Jacksona. Tym razem nie dam się zaskoczyć, obiecuję ci.

- Philippe! - krzyknęła Violet, przytomniejąc, i pędem ruszyła do pokoju chłopca. Mały siedział na łóżku, zanosząc się płaczem, a pani Tidwell i Timothy Greene, błady i roztrzęsiony, ale bez widocznych obrażeń, usiłowali go uspokoić.

- *Maman* - załkał mały lord - to był Andre Renaud. Widziałem go, chciał ci zrobić krzywdę. Nienawidzę go. To straszny człowiek. *On skrzywdził ma merę!*

. - Nie płacz, Philippe, już wszystko dobrze. - Violet przypadła do łóżka i chwyciła malca w objęcia. - Re-nauda już nie ma. Widzisz? Nie zdążył mi nic zrobić. Serce załomotało jej gwałtownie, gdy obok wyrosła wysoka, ciemna postać. Z drżeniem uniosła głowę i spojrzała w twarz swego ukochanego kapitana. Wiedział, że Philippe nie jest jego dzieckiem, a mimo to usynowił go i uczynił dziedzicem. Przed paroma minutami poznała straszliwą tajemnicę, która zatruwała Dane'owi życie i kazała tłumić porywy serca wobec synka Lynette. Teraz wiedziała, że ponury sekret już nie będzie ich dzielił. Wszystko się skończyło i ciemny rozdział przeszłości pozostanie od tej chwili zamknięty.

- Renaud już nigdy nikogo nie skrzywdzi - zapewniła, patrząc na Blackthorna. Ich spojrzenia spotkały

się ponad głową Philippe'a. - Tata posłał go do piekła.

- Zapewne już nie dowiemy się, co się stało z prawdziwym Alastairem Cordellem - powiedział Henry Granville, przyjmując od Blackthorna kieliszek brandy. - Można się obawiać, iż Renaud zamordował go, aby posłużyć się jego tożsamością. Nie ma natomiast wątpliwości, że Andre Renaud to agent *Le Corbeau*. Jeśli, da Bóg, porucznik Furneaux wróci do zdrowia, z pewnością potwierdzi ten fakt. Musisz wiedzieć, Blackthorn, że Furneaux nigdy nie zamierzał zwrócić się przeciwko tobie. Z pewnością złoży zeznanie, które ostatecznie oczyści cię z zarzutów, jakie sprowadziła na ciebie afera Landforda. *Lecz* sznurki pociągał Renaud. To on sfalszował rozkaz, za sprawą którego umieszczono Philippe'a Lamberta wraz z załogą na jego własnym statku i *wysiano* do Anglii pod zbyt słabą strażą. Mało tego, jestem skłonny twierdzić, iż Kruk podrzucił Lambertowi klucz do kajdan, kiedy Francuza prowadzono na pokład. Niestety, rzekomy Cordell miał ogromny wpływ na Landforda i z łatwością przyszło mu przekonać kontradmirała, że twoja wizyta u szwagra, więzionego na Malcie, nie wynikała z czysto rodzinnej troski.

- Cóż za okrutna ironia losu - westchnął Blackthorn, stając przy Violet, która siedziała na sofie obok brata. - Philippe Lambert nienawidził Andre Renauda jak nikogo w świecie. Przecież ten człowiek zmarnował życie jego ukochanej siostrze. Dlatego usiłował za wszelką cenę doprowadzić do ujawnienia jego kno-

wań. Jest dla mnie oczywiste, że Renaud w swoim zadufaniu pochwalił mu się, że próbował zabić męża Ly-nette na jego własnym okręcie. Lambert posłał mnie na tajne spotkanie Renauda ze Stevenem Furneaux, by mnie w ten sposób ostrzec. Nie zdołałem rozpoznać żadnego z nich, ale na szczęście porucznik pozostał lojalny wobec mnie. Gdyby okazał się zbrodniarzem, już dawno byłbym martwy.

- Wkrótce potem i tak omal nie zginąłeś - wtrąciła Violet. - Ale skoro nie Steven Furneaux strzelał ci w plecy, to kto?

- Tak się szczęśliwie składa, Blackthorn, że twój dawny sternik, niejaki Murdoch, zna odpowiedź na pytanie Violet - powiedział sir Henry. - Dzisiaj zjawił się u mnie, prowadząc ze sobą jakieś marynarskie indywiduum, które, jak twierdziło, służyło na „Antiope”. O ile zrozumiałem, jest to urodzony buntownik i malkontent, organicznie niezdolny do podporządkowania się twardej okrętowej dyscyplinie. Kazałem kiedyś wy-chłostać go za kradzież mienia jednego z marynarzy.

- A, Tobias Endicott, pamiętam - ożywił się Dane, przypominając sobie okrzyki bólu i nienawistny wzrok ukaranego marynarza. Wrzeszczał tak, że trzeba było przerwać chłostę, zanim wymierzono nakazane przez kapitana dwadzieścia razów. - W tym wypadku nie dało się uniknąć kary cielesnej. Zresztą gdybym nie zarządził takiej kary, jego towarzysze sami wymierzyliby mu sprawiedliwość pod pokładem i wątpię, czy wyszedłby z tego cato.

- Obawiam się, że Endicott nie rozumował w ten sposób - powiedział sir Henry, który dobrze znał nie-

chęć Blackthorna do brutalnych metod utrzymywania dyscypliny na statku. Gdy płynął z Dane'em na Gibraltar, siedząc w czasie sztormu w kapitańskiej kajucie, z nudów przejrzał książkę kar leżącą na stole. Zaledwie dziesięć kar chłosty, zarządzonych w ciągu dwóch lat, było czymś niespotykanym w marynarce znanej z brutalnego traktowania ludzi. - Ten typ stał się idealnym narzędziem dla Kruka. Na szczęście twój nieoceniony Murdoch wyciągnął Tobiasa z jakiejś londyńskiej speluny i nakłonił go, aby przyznał się do wszystkiego - i do tego, że strzelił ci w plecy, gdy walczyłeś z wrogiem, i do tego, że maczał palce w porwaniu porucznika Furneaux. W zamian za szczere przyznanie się do winy będzie zapewne mógł liczyć na złagodzenie kary. O ile wiem, wasz Chińczyk ma nadzieję, że przywróci Furneaux do życia.

- I to dużą nadzieję - powiedział Vere, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się wyjaśnieniom sir Henry'ego. - Zechce pan wybaczyć moją niewiarę, sir, ale nie rozumiem łatwości, z jaką rozgrzeszył pan Landforda, twierdząc, iż nie zdawał sobie sprawy, że uczestniczy w spisku. Przecież rzekomy Cordell był jego osobistym adiutantem i nie wydaje mi się, aby stary Landford nie wywęszył swoim wścibskim nosem, co się dzieje na jego własnym podwórku.

- Widać jego słynny węch stępsiał - Granville wzruszył ramionami, mimo woli podziwiając jawny cynizm markiza. - W przypadku kontradmirała można co najwyżej mówić o rażących zaniedbaniach i nieudolności, ale nie jest to jeszcze współudział w zbrodni i szpiegostwie.

Violet, która podobnie jak Gideon miała zgoła inną opinię o Landfordzie, nie zdołała jej wyrazić. Spoczywająca na jej ramieniu dłoń Blackthorna zacisnęła się znacząco. Sygnał był jasny - powinna zamilknąć. Była pewna, że Dane także chętnie widziałby kontradmirała na ławie oskarżonych, ale w lot pojęła jego sugestię. Admiralicja z zasady chroniła swoich ludzi, jeśli mieli odpowiednie koneksje. Uparte obstawanie przy winie Landforda mogło zaszkodzić rozpatrzeniu sprawy na korzyść kapitana Trevora Dane. Trudno, będzie musiała zapomnieć o wszystkim i żyć ze świadomością, że dawna zbrodnia tego człowieka i jego późniejsze przewinienia nigdy nie zostaną ukarane.

- Natomiast - ciągnął sir Henry - zostało bez żadnych wątpliwości dowiedzione, że kapitan Trevor Dane jest całkowicie niewinny. Z przyjemnością pragnę oznajmić panu, drogi lordzie Blackthorn, że jest pan oficjalnie oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Zostałem także upoważniony do powiadomienia pana o awansie na komandora i objęciu dowództwa eskadry. Naturalnie okrętem flagowym będzie „An-tiope”, zaś panu przysługuje prawo wyboru kapitana, który obejmie na niej dowództwo - o ile oczywiście zechce pan dalej służyć królowi i ojczyźnie na morzu.

Violet znieruchomiała w napięciu, z bijącym sercem czekając na odpowiedź Blackthorna jak na *wyrok*, który miał zadecydować o całym jej życiu. Choć spodziewała się, *co może* nastąpić, nie czuła się gotowa oddać swojego kapitana zazdrosnej kochance, która ponownie upomniała się o niego. Bała się, nie będzie miała odwagi ani wytrwałości Lynette czy ciotki

Roanny, które potrafiły znieść życie w ciągłej rozłące i lęku o los bliskiej osoby. Nie miała już ochoty wracać do samotniczej egzystencji, jaką wiodła przed poznaniem Blackthorna.

Violet z trudem zdobyła się na uśmiech i mocniej ścisnęła dłoń męża.

- Naturalnie, sir Henry, że będę dalej służył królowi i ojczyźnie - odparł Dane z ogromną powagą. ~ Pełniłem służbę w marynarce przez dziewiętnaście lat i zawsze myślałem, że pozostanę na morzu, dopóki starczy mi sił. Teraz jednak, gdy moje życie całkowicie zmieniło kurs, nie mogę przyjąć zaszczytnej propozycji awansu i objęcia własnej eskadry. Pomimo to mniemam, że potrafię z tą samą ofiarnością służyć flocie i krajowi, jakkolwiek w inny sposób. Krótko mówiąc, postanowiłem ubiegać się o fotel w Izbie Lordów.

- Jesteś pewien, że tego naprawdę pragniesz, mój drogi Blackthornie? - dopytywała się Violet, kiedy zostali sami. - Wierz mi, nie zaprotestowałabym słowem, gdybyś oznajmił, że chcesz wrócić na morze. Żeglowanie, służba i walka były całym twoim życiem, a ja usiłowałam zabrać ci to wszystko, wpędzając w małżeńską pułapkę. Wiem, że nie ma szans, abym zajęła w twoim sercu miejsce Lynette. Ale kocham cię, Dane, tak mocno, że moje serce drży przed rozłąką, choć wie, że twoje tęskni za morzem i wolnością.

Blackthorn, który nie tak dawno doszedł do wniosku, że jego jedynym szczęściem jest ta piękna kobieta tuląca się do niego z oddaniem, wiedział, że to, co czuje do Violet, jest nieporównywalne z jego uczuciem do Lynet-

te. Tamta nieszczęśliwa, smutna dziewczyna wreszcie znalazła ukojenie, on zaś został uwolniony z poczucia winy, które dręczyło go od chwili, gdy ożenił się z nią bez miłości. Lynette wiedziała o tym i zadowalała się świadomością, że Dane dotrzyma obietnicy i nie opuści ani jej, ani dziecka. Miał dziwną pewność, że nie potępiłaby go teraz, kiedy łańcuch zaskakujących wydarzeń, zapoczątkowany przez nią samą, doprowadził go do kobiety, która całkowicie zawojowała jego serce.

- Och, moja słodka, nadzwyczajna Violet - powiedział, przyciągając żonę do siebie. - Czy naprawdę uważasz, że potrafiłabyś mnie zmusić do małżeństwa, gdybym sam nie zapragnął tego od pierwszej chwili, kiedy wpadłem do twojej sypialni i skradłem ci pocałunek? Już wtedy pokochałem cię tak głęboko, że nie wyobrażam sobie dłuższej rozłąki. Dostyc napływałem się po tych cholernych morzach. Teraz chcę być tylko z tobą. I z Philippe'em, który, jak słusznie zauważyłaś, nie powinien dorastać bez ojca.

Dane pochylił się nad Violet i zaczął całować ją chciwie, namiętnie i z pasją, aż osłabła, bez tchu uwieszona u jego ramienia. Teraz wiedziała już z całą pewnością: zakończenie niezwyklego łańcucha zdarzeń okazało się dokładnie takie, jakie sobie wymarzyła.